

Zygmunt Zeydler-Zborowski

SZANTAŻ

ROZDZIAŁ I

W „Delikatesach” kupiła piętnaście deka szynkowej kielbasy, pół ćwiartki masła i paryską bułkę. Miała w domu kilka jajek, dżem, trochę szczypiorku, który został ze śniadania. Kolacja zapowiadała się zupełnie niezłe. Stojące na wystawie sklepowej telewizory przypomniały jej, że to dzisiaj piątek i że trzeba kupić „Radio i Telewizję”. Paweł lubił wiedzieć, co warto obejrzeć w bieżącym tygodniu. Podeszła do kiosku. „Popatrz, popatrz, ale babka w dechę” - posłyszła za sobą męski głos. W słowach tych zabrzmiał tak szczerzy zachwyt, że mimo woli uśmiechnęła się nieznacznie. Wiedziała, że się podoba i że jej nowy kostium leży znakomicie. Znajomy sprzedawca odkładał dla niej zawsze „Radio i Telewizję”, „Przekrój” i „Politykę”. Podziękowała skinieniem głowy, wsuwając gazety do siatki.

Szła energicznym, sprężystym krokiem, chwytając kątem oka pełne uznania spojrzenia mężczyzn i zawistne spojrzenia kobiet. Lubiała się podobać. Wiedziała, że to głupia, babska przywara, ale lubiła. Sprawiało jej to dużą przyjemność, kiedy ją podziwiano, kiedy w oczach mężczyzn widziała zachwyt i pożądanie. Pragnęła być kobietą, a przecież przez pół dnia nie była nią, okryta czarną togą, manewrująca pomiędzy paragrafami kodeksu karnego. Dopiero gdy wychodziła z tych sal, gdzie obdarzano ludzi mniejszymi lub większymi porcjami sprawiedliwości, stawała się tym, czym była przede wszystkim - kobietą. Wsiadała w tramwaj, robiła pośpiesznie zakupy i szła do domu, szła spotkać się z Pawłem. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy go znowu zobaczy. Na Żurawiej już prawie biegła. Tak było codziennie.

Przekręciła klucz w zamku i weszła do przedpokoju. Mieszkanie tonęło w mroku.

- Paweł! Jesteś? Paweł! - zawołała niespokojnie. Leżał na tapczanie z zamkniętymi oczami. Pośpiesznie położyła siatkę ze sprawunkami na stole, ściągnęła rękawiczki i siadła koło niego.

- Co ci jest, kochany? Źle się czujesz?

Spojrzał na nią i uśmiechnął się blado, jakby z przymusem.

- Nie, nie, nic mi nie jest. Po prostu chyba trochę się zmęczyłem.

- Biedaku, przepracowujesz się.

- Nie przesadzajmy. Poglądził ją po dłoni,

- No, jak tam ci dzisiaj poszło?

- Ach, powiadam ci, odniosłam fantastyczny sukces. Wygrałam dwie bardzo trudne sprawy. Zapędziłam w kozi róg prokuratora.

- Gratuluję. Staniesz się niedługo sławna.

- Daj spokój. A zresztą nie chcę teraz rozmawiać o sprawach sądowych. Mam dosyć.

Pocałuj mnie.

Delikatnie dotknął wargami jej ust.

- Coś ty dzisiaj taki dziwny? Co ci jest? Pewnie jesteś głodny. Zaraz zrobię kolację.

Zaczekaj.

Wyszła do kuchni, przypasała fartuszek i zaczęła kroić szczypiorek.

- Chcesz, żebym ci pomógł?

- Nie, nie. Odpocznij. Nie ma nic do roboty. Jadłeś obiad?

- Coś tam jadłem.

- Powinieneś się lepiej odżywiać. Zaraz nabrałbyś humoru. Zjesz jajecznicę z kielbasą?

- Mogę zjeść. Wszystko mi jedno.

Wstał i przeciągnął się. Był wysoki, szczupły. Twarz miał pociągłą, śniadą, o niezbyt regularnych rysach i mocno zarysowanej dolnej szczęce. Bujną, ciemną czuprynę zaczesywał do tyłu. Przekroczył już czterdziestkę i siwiał na skroniach, co dodawało mu powagi. Cieszył się ogromnym powodzeniem u kobiet, ale nie korzystał z tego. Kochał Annę i nie miał zamiaru wdawać się w jakieś przelotne flirty. Pobrali się przed trzema laty. Byli ze sobą bardzo szczęśliwi. Słuchając zwierzeń swych kolegów i przyjaciół, nigdy przedtem nie przypuszczał, że małżeństwo może być czymś tak bardzo miłym, tak bardzo udanym.

Usiadł w fotelu i przeglądał przyniesione przez Annę czasopisma. Czuł, że powinien coś powiedzieć, coś wesołego, dowcipnego. Ciągle jeszcze nie mógł otrząsnąć się z ponurego nastroju. Twarz tego człowieka stała mu uparcie przed oczami.

- Chodź na kolację.

Jadali w kuchni. Anna kończyła smażyć jajecznicę. Stanął za jej plecami i wciągał w nozdrza zapach świeżego szczypiorku.

- Siadaj.

Jedli w milczeniu. Po chwili Anna powiedziała:

- Smakuje ci?

- Bardzo. Znakomita jajecznica.

Od początku małżeństwa nigdy jeszcze nie przeżywała takiego dziwnego nastroju. Coś się stało, coś, o czym Paweł nie chciał jej powiedzieć. To ją niepokoiło. Dotychczas był zawsze z nią zupełnie szczery, opowiadał o wszystkich kłopotach, zmartwieniach, dzielił się z nią zarówno wesołymi wiadomościami, jak i troskami. Dlaczego dzisiaj...?

Po kolacji zmyła pośpiesznie. Była zdenerwowana. Pogodny, wiosenny nastrój zniknął bez śladu. Wiedziała już na pewno, że stało się coś niedobrego.

- Chcesz popatrzeć na telewizję? Energicznie potrząsnęła głową.

- Nie, nie. Nie mam dzisiaj nastroju. Chodźmy spać. Zwykle w łazience nucił albo gwizdał jakąś melodię.

Nadsłuchiwała. Cisza. Mył się w zupełnym milczeniu. Kiedy położył się przy niej na tapczanie, dotknęła jego ręki. Dłoń miał muskularną, palce długie, mocne.

- Kochanie, co ci jest? Powiedz. Widzę przecież, że coś cię dręczy. Powiedz. Proszę.

- Ten człowiek bardzo chciał żyć - powiedział cicho.

- Kto? Jaki człowiek?

- Ten, którego dzisiaj operowałem.

- Nie udała ci się operacja?

Wzruszył ramionami.

- Nie mogła się udać. Całe wnętrzności zżarte przez raka. Nic tam nie było do zrobienia.

Przytuliła się do niego.

- Nie denerwuj się, najmilszy. Przecież nie masz sobie nic do zarzucenia.

- Mógł jeszcze pożyć miesiąc, dwa. Nie wiem...

- Bardzo cierpiał?

- Bardzo.

- To chyba lepiej, że przestał cierpieć.

- Tak. Ale on chciał żyć.

- Tyle lat już operujesz, tyle lat patrzysz na śmierć, na ludzkie cierpienie. Dlaczego właśnie dzisiaj...

Podniósł się i, wsparty na łokciu, zaczął mówić szybko, gorączkowo, tak jakby chciał wyrzucić z siebie wszystko to, co go dręczyło:

- Sam nie wiem. Nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Widzisz... czasem tak bywa, że... Ten człowiek miał do mnie ogromne, bezgraniczne zaufanie. Wierzył we mnie, jak w Boga. Był pewien, że ja go uratuję. Nikt nie chciał się podjąć tej operacji. Wszyscy wiedzieli, że to nie ma sensu. Ja się zdecydowałem. On tak mnie prosił, że nie potrafiłem mu odmówić. Zdecydowałem się. Ostatecznie dopóki nie otworzy się jamy brzusznej, to nigdy na pewno nie wiadomo, chociaż w tym wypadku szansa była prawie żadna.

- Zrobiłeś co do ciebie należało.

- Tak. Postąpiłem tak, jak mi nakazywało moje sumienie. Ale nie mogę zapomnieć tej twarzy, tego błagalnego spojrzenia. On bardzo chciał żyć.

Przesunęła dłonią po jego włosach.

- Jesteś przemęczony, kochany, podenerwowany. Powinieneś odpocząć. Mógłbyś może wziąć urlop. Trzeba, żebyś gdzieś wyjechał na odpoczynek.

Uśmiechnął się.

- To byłoby dobre, ale wątpię, żeby mnie puścili. Masę teraz mamy roboty.

- Roboty zawsze będzie dużo. Musisz pomyśleć o swoim zdrowiu.

Przygarnął ją do siebie.

- Jesteś bardzo kochana, że tak się o mnie troszczysz. Pomówimy jeszcze o tym. Na razie chodźmy spać. Jestem piekielnie zmęczony.

Leżała wpatrzona w ciemność. Żal jej było tego wieczoru, na który tak się cieszyła. Zaraz jednak zawstydziała się tego uczucia. Egoistka, wstrętna egoistka. Nie można myśleć tylko o swoich przyjemnościach. Biedny Paweł. Tak się zdenerwował. Ale jeżeli ten jego pacjent miał raka, no to... Ostatecznie tyle ludzi codziennie umiera na świecie i każdy z tych ludzi chce żyć. Paweł musi koniecznie wyjechać gdzieś na odpoczynek. Ta jego dzisiejsza reakcja świadczy chyba najlepiej o tym, że jest krańcowo wyczerpany. Przewróciła się na drugi bok i, zasłuchana w daleki szum ulicy, myślała o jutrzejszym dniu.

Telefon hałaśliwie rozdzwieczał się w ciemności. Paweł już spał. Pośpiesznie chwyciła aparat. W słuchawce rozległ się podniecony kobiecy głos: „Błagam pana, panie doktorze, niech pan nie operuje Filipa. On umrze. Błagam pana!” - Halo - powiedziała Anna. Połączenie zostało przerwane. Paweł poruszył się i spytał sennie:

- Ktoś dzwonił?

- Nic, nic, to pomyłka. Śpij.

Wyciągnęła rękę i dotknęła telefonu, jakby to mogło jej pomóc w zrozumieniu słów, które przed chwilą usłyszała. „Błagam pana, panie doktorze, niech pan nie operuje Filipa...” Co to znaczy? Kim była ta kobieta o niskim, charakterystycznym timbrze głosu? Dlaczego odłożyła słuchawkę? Przecież mogła poprosić do aparatu Pawła. A może wcale nie chodziło o Pawła? Może to była po prostu pomyłka?

Niepokój rósł i wypełniał ciemności. W nocy wszystko wydaje się bardziej groźne, bardziej przerażające. Nie mogła zasnąć. Czowała, że idzie ku nim niebezpieczeństwo, że dni spokojnego życia są policzone. Bała się. Skurczyła się pod kołdrą, jakby chciała schować się przed czymś strasznym. Co robić? Jak przed tym czymś ochronić Pawła? Była bardzo szczęśliwa. Nie pozwoli odebrać sobie tego szczęścia. Gotowa była walczyć.

Zasnęła dopiero przed świtem. Kiedy zadzwonił budzik, była zmęczona, niewyspana, w fatalnym nastroju.

Paweł wrócił z łazienki. Zdążył się już ogolić. Pachniał mydłem i wodą kolońską. Pocałował ją z wesołym uśmiechem. - Dzień dobry, kochanie. - Nagle spoważniał i spojrzał uważnie na twarz Anny. - Mizernie wyglądasz. Co ci jest? Źle się czujesz?

Dotknęła palcem jego warg.

- Wiesz, że cię bardzo Kocham - szepnęła.

- Ty mnie nie zagaduj. Powiedz dlaczego źle wyglądasz. Może jesteś chora?

- Nie, nie, nic mi nie jest. Naprawdę. Po prostu źle spałam.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Tak jakoś. Długo nie mogłam zasnąć, a potem miałam idiotyczne, męczące sny.

Pochylił się nad nią i ruchem serdecznej troskliwości pogładził ją po włosach.

- Czy naprawdę nic ci nie jest? Może zmierzysz gorączkę?

- Daj mi spokój. Nie mam gorączki. Czuję się znakomicie. Wstała i narzuciła niebieski szlafroczek.

Wiążąc krawat, przyglądał jej się uważnie. Spytał:

- O której dzisiaj musisz być w sądzie?

- O jedenastej.

- To po co tak wcześnie wstajesz? Poleż jeszcze. Sam sobie zrobię śniadanie.

- Co za pomysł. Dlaczego nie miałabym przygotować śniadania? Nie jestem chora.

Poszła do łazienki, pośpiesznie się umyła, spięła włosy szeroką klamrą i przy pomocy szminki przywróciła rumieńce swym policzkom. Nie chciała, aby Paweł wyszedł z domu, mając przed oczami obraz jej poszarzałej, zmęczonej twarzy.

Przy śniadaniu rozmawiali o pogodzie, o filmach i o wizycie u Krzywuskich. Kiedy Paweł zapalił papierosa, Anna spytała:

- Masz dzisiaj jakąś operację? - Tak.

- Czy to coś poważnego?

- Nie, głupstwo. Wyrostek.

- Kto jest tym delikwentem? Spojrzał na nią zdziwiony.

- Cóż ty się nagle interesujesz moimi pacjentami? Uśmiechnęła się z nieco sztuczną swobodą.

- Tak sobie zapytałam. Ostatecznie mogę się czasem zainteresować komu wycinasz ślepą kiszkę.

Zgasił papierosa i wstał.

Na ogół nie mam pamięci do nazwisk, ale tym razem pamiętam jak się ten facet nazywa. Filip Warzycki.

- Filip?

- Tak. Filip Warzycki. Być może, że go nawet tutaj widziałaś. Był u mnie ze dwa razy prywatnie. Taki dobrze zbudowany, wysoki, z rudą czupryną.

Skinęła głową.

- Tak, tak, przypominam sobie. Przystojny.

- Owszem. Interesująca twarz.

Paweł wyszedł do przedpokoju i włożył płaszcz. Anna poprawiła mu szalik pod szyją. Wyczuł, że chce coś powiedzieć.

- No co, kochanie?

- Mam do ciebie wielką, ale to bardzo wielką prośbę. Pocałował ją i powiedział z uśmiechem:

- Pewnie znowu zobaczyłaś na wystawie jakąś „szałową” koszulkę.

- Nie, nie, to nie o to chodzi. Chcę cię prosić, żebyś dzisiaj nie operował. Przecież może cię ktoś zastąpić - dodała prędko.

Odsunął ją od siebie zdziwiony, trochę zniecierpliwiony.

- Żeby nie operował? A to dlaczego?

- Proszę cię, Paweł, bardzo cię proszę. Zrób to dla mnie. Wzruszył ramionami.

- Dziwna jesteś. Pracuję w szpitalu i muszę operować. Od tego jestem.

- Niech cię ktoś dzisiaj zastąpi.

Był coraz bardziej rozdrażniony. Oczy mu się zwęziły, nozdrza drżały nerwowo.

- Po pierwsze każdy w szpitalu ma wyznaczoną swoją robotę i nikt nikogo nie zastępuje, a po drugie nie widzę najmniejszego powodu, żeby prosić któregoś z kolegów o zastępstwo. Jak ty sobie to w ogóle wyobrażasz? Że co mam powiedzieć? Że żona mnie prosiła, żebym dzisiaj nie operował, tak?

Objęła go za szyję i próbowała go pocałować. Odwrócił głowę.

- Proszę cię, Paweł. Proszę cię... Przecież możesz to dla mnie zrobić.

Uwolnił się z jej objęć.

- Przestań histeryzować, Aniu - powiedział opryskliwie. - O co ci właściwie chodzi?

- Nie chcę, żebyś dzisiaj operował. Jesteś zdenerwowany tą wczorajszą operacją.

Roześmiał się.

- Dajże spokój. Nie ma o czym mówić. O tamtej sprawie już zapomniałem. Rozkleiłem się trochę wczoraj, to prawda. Tak czasem bywa, że nagle człowieka coś rozmontuje wewnątrz. Ale dzisiaj już wszystko w porządku. Bądź zupełnie spokojna. Zresztą nie mam w programie żadnej trudnej operacji. Zwykły wyrostek bez komplikacji, na zimno.

- Tak cię proszę - szepnęła, przytulając się do niego. Wziął ją pod brodę i pocałował w usta.

* - Nie rozrabiaj, głuptasie. To nie ma sensu. No, do widzenia, bo w końcu spóźnię się do szpitala. Trzymaj się i dzielnie broń swoich klientów.

Pospiesznie zbiegł po schodach. Spojrzał na zegarek. Psiakrew. Ta pogawędka w korytarzu zabrała mu za dużo czasu. Tramwajem już nie zdąży. Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

Rozmowa z Anną zdenerwowała go. Nie przypuszczał, że jest aż tak przewrażliwiona. Postanowił, że nigdy w przyszłości nie będzie z nią rozmawiał na takie ponure tematy.

W szpitalu siostra Maria powiedziała:

- Dzień dobry, panie doktorze. Czekamy na pana.

- Czy wszystko już gotowe do operacji? - Tak.

- Jak się czuje pacjent?

- Znakomicie. Jest w doskonałym humorze. Od samego rana opowiada kawały.

W pokoju lekarzy Paweł zdjął marynarkę i włożył biały kitel. Nowacki, który poziewując przeglądał gazetę, spytał:

- Cóż wy, kolego, jesteście dzisiaj tacy zdenerwowani?

- Ja zdenerwowany? - obruszył się Paweł. - Zdaje się wam.

- Przecież widzę. Nieporozumienia małżeńskie? Paweł nie odpowiedział. Wzruszył ramionami i poszedł obejrzeć swego pacjenta. „Proszę cię, nie operuj dzisiaj” zabrzmiały mu w uszach słowa Anny.

Warzycki leżał w sześciuosobowym pokoju. Był to trzydziestokilkuletni mężczyzna, wysportowany, silny, dobrze zbudowany. Szare, trochę za blisko nosa osadzone oczy miały w sobie coś z drapieżnego ptaka, a wrażenie to jeszcze potęgował wydatny zgięty nos. Gęste, rude włosy wznosiły się nad wypukłym czołem, jak płomienie.

- No, jak samopoczucie? - spytał Paweł.

- Znakomite, panie doktorze.

- Ma pan chęć na maleńką operacyjkę?

- O niczym innym nie marzę.

Paweł uśmiechnął się. Lubił wesołych pacjentów.

- Zaraz spełnimy pańskie marzenia. Czy pojedzie pan na wózku, czy przejdzie się pan spacerkiem?

- Oczywiście, że spacerkiem. Pan wie, że nie przepadam za szpitalną motoryzacją.

- Dobrze. Za chwilę przyjdzie po pana siostra.

Kiedy Paweł mył ręce na sali operacyjnej, znowu usłyszał głos Anny: „Proszę cię, bardzo cię proszę, zrób to dla mnie”. Siostra Maria spytała:

- Czy pan się dzisiaj źle czuje, panie doktorze?

- Ja? Nie. Dlaczego?

- Bardzo mizernie pan wygląda.

- Nic mi nie jest. Czuję się znakomicie - odburknął prawie niegrzecznie. - Czy wszystko gotowe do narkozy?

- Tak.

Warzycki leżał na stole operacyjnym pogodny, uśmiechnięty, pełen ufności. Nie bał się. Czegóż miał się bać? Przecież wszyscy mu mówili, że to tylko zabieg, że za dwa tygodnie będzie już mógł pójść do redakcji.

- Panie doktorze...

- Słucham?

- Niech mi pan nie robi dużego cięcia. To nietwarzowo wygląda.

- Postaram się.

Paweł patrzył na błyszczące narzędzia. „Dlaczego miałbym go nie operować?” pomyślał. Jakby z oddali posłyszał schrypnięty głos Kowalika, który asystował mu przy operacji: „Zaczynamy, panie doktorze?”

- Zaczynamy.

Kiedy pochylił się nad nieruchomym ciałem i kiedy poczuł w palcach twardy kształt lancetu, odzyskał spokój. W tej chwili był już tylko maszyną do operowania ludzi. Ruchy miał pewne, zdecydowane, precyzyjne.

- Piękne cięcie - mruknął z uznaniem Kowalik.

Operacja trwała zaledwie kilka minut. Żadnych komplikacji. Pacjenta przewieziono na łóżko. Paweł mył ręce. „Proszę cię, bardzo cię proszę, zrób to dla mnie” znowu zadźwięczały mu w uszach błagalne słowa Anny. Uśmiechnął się. Biedna mała. Jego wczorajsze opowiadanie wywarło na niej przynębiające wrażenie. Dlaczego właśnie tak się wczoraj rozkleił? Co mu się stało? Przypomniała mu się tamta operacja i te oczy, te pełne ufności,

blagające oczy. Warzycki patrzył dzisiaj na niego z tą samą ufnością. No tak, ale Warzycki to młody zdrowy chłop, a tamten... Tamtemu nikt już nie mógł pomóc.

W korytarzu zaczepił go profesor Suchański.

- Dzień dobry, doktorze. Operował pan już tego dziennikarza?

- Tak. Właśnie skończyłem.

- Jak poszło?

- Wszystko w porządku!

Suchański poprawił sobie okulary na nosie.

- Od rana miałem parę telefonów w sprawie tego pacjenta. To jakiś bardzo ustosunkowany jegomość. Jak to on się nazywa?

- Warzycki, Filip Warzycki.

- A tak, tak, właśnie. Mam wrażenie, że już słyszałem gdzieś to nazwisko.

- Bardzo możliwe. To znany dziennikarz. Mógł pan profesor spotkać się z jego nazwiskiem w radiu, w telewizji czy w jakimś czasopiśmie.

- To bardzo prawdopodobne. Czy nie zechciałby pan teraz zajść na chwilę do mego gabinetu, panie doktorze?

- Proszę bardzo.

Weszli do niewielkiego pokoju, w którym stało biurko, oszklona szafa, ceratowa kanapka i wieszak. Profesor wskazał krzesło.

- Proszę, niech pan siada, panie kolego. Widzi pan, mam do pana taką sprawę. Otóż otrzymałem pismo z ministerstwa, aby wytypować kogoś na zjazd chirurgów w Waszyngtonie. Chodzi oczywiście o wybitnych specjalistów. Ponieważ uważam pana za wybitnie zdolnego chirurga, przeto mam zamiar pana wytypować na ten zjazd. Co pan na to?

- Ależ, panie profesorze - powiedział z ożywieniem Paweł - jestem panu niesłychanie zobowiązany. Taki wyjazd to dla mnie wielka rzecz, jestem przekonany, że da mi bardzo dużo.

Suchański uśmiechnął się z zadowoleniem. Lubił w stosunku do swych młodszych kolegów odgrywać rolę protektora i dobroczyńcy. Poprawił się w fotelu i wyciągnął papierośnicę.

- Zasłużył pan sobie całkowicie na to wyróżnienie - powiedział, częstując Pawła papierosami. - Wie pan przecież doskonale, że ja żadnych tam takich kumoterskich protekczyjek nie uznaję. U mnie grają rolę faktyczne walory człowieka. Rad jestem, że w ten sposób mogę panu dopomóc w jego tak pięknie zapowiadającej się karierze. Trzeba będzie

zaraz zająć się załatwianiem formalności paszportowych, bo to zawsze musi trochę potrwać. Musi się pan zorientować w tych papierkowych kombinacjach. Bo jeśli chodzi o mnie...

Rozległo się stukanie. W drzwiach ukazała się siostra Zofia.

- Telefon do pana profesora w pokoju lekarzy.

Suchański żwawo poderwał się ze swego miejsca.

- Na razie to chyba byłoby wszystko - powiedział, ściskając dłoń Pawła. Życzę powodzenia. - Wybiegł lekkim, posuwistym krokiem. Jak na siedemdziesięcioletniego mężczyznę poruszał się bardzo zwinnie i sprężysto.

Paweł wrócił do swoich zajęć. Odwiedził pacjentów, zrobił kilka opatrunków, wydał siostrom dyspozycje i parę razy zajrzał do Warzyckiego, który już obudził się z narkozy.

- Wszystko w porządku, siostrze?

- W zupełnym porządku, panie doktorze.

- Proszono mnie, aby któraś z sióstr miała dzisiaj w nocy dyżur przy tym chorym. Prywatnie oczywiście. Może siostra zechce się tym zająć i znaleźć kogoś odpowiedniego.

Uśmiechnęła się. Miała okrągłą, rumianą twarz z dwoma symetrycznymi dołeczkami, które pogłębiały się widocznie przy uśmiechu.

- Już o tym pomyślałam, panie doktorze. Siostra Elżbieta będzie dziś w nocy pilnowała pańskiego pacjenta. - Słowo „pańskiego” zostało wypowiedziane ze specjalnym naciskiem. Dla nikogo nie było tajemnicą, że siostra Elżbieta jest nieprzytomnie zakochana w Pawle i że gotowa jest zrobić wszystko, byle tylko mu się przypodobać.

Z pewnym zniecierpliwieniem ściągnął brwi. Nie lubił jakichkolwiek aluzji na temat tej dziewczyny.

- Dziękuję - powiedział sucho i energicznym krokiem ruszył w głąb białego korytarza.

*

- Czołem, kolego, czołem. Gratuluję.

- Czego? - spytał powściągliwie Paweł. Od dawna już zorientował się, że Rawicki zazdrości mu kariery i że nie omija żadnej okazji, żeby mu szkodzić.

- Jak to czego? Wyjazdu do Ameryki.

- To wy już wiecie...

- Oczywiście. Cała klinika o niczym innym nie mówi. Stajecie się sławni. Gratuluję, serdecznie gratuluję.

- Dziękuję - mruknął Paweł i wszedł do pokoju lekarzy. Nie było tu nikogo, tylko Joanna siedziała przy bocznym stoliku i robiła jakieś notatki. Była ciemną brunetką o mocno zarysowanych, energicznych rysach twarzy i czarnych jak smoła oczach. Kiedyś, przed laty,

flirtowali ze sobą, ale nic jakoś z tego nie wyszło. Może zawiniły okoliczności, a może Joanna nie była pewna jego uczucia. Rozeszli się. Paweł ożenił się, a Joanna wyszła za mąż z rozsądku, za dużo starszego od siebie profesora politechniki. Mówiono, że nie przestała kochać Pawła, ale to były takie sobie, ludzkie gadania. Ich wzajemne stosunki ułożyły się na płaszczyźnie przyjaźni i koleżeństwa. Oboje wystrzegali się wspomnień i wszystko byłoby właściwie w porządku gdyby nie chorobliwa wprost zazdrość męża Joanny. Profesor Mokrzycki dowiedział się bowiem o romansie z Pawłem i zadreślał żonę scenami, żądając, aby porzuciła pracę w szpitalu, aby przenieśli się do innego miasta, aby zrezygnowała z zawodu lekarza i tak dalej, i tak dalej. Paweł nieraz radził, żeby przeniosła się chociaż do innej kliniki, ale Joanna nie chciała o tym słyszeć, twierdząc, że najmniejsze ustępstwo z jej strony pociągnęłoby nowe żądania i że pogorszyłoby tylko sytuację.

- Rzuć tego starego durnia. Przestań się męczyć - mówił, gdy przychodziła zdenerwowana do szpitala po awanturze w domu.

- To nie takie proste - odpowiadała.

- Dlaczego nie proste? Co ci daje to małżeństwo? Forse? Zarobisz na życie.

Uśmiechnęła się wtedy jakoś dziwnie i mówiła:

- Ty pewnych rzeczy nie jesteś w stanie zrozumieć. Ty w ogóle niewiele rozumiesz.

Wzruszał ramionami i tak się zazwyczaj kończyła taka ich rozmowa. Z czasem przestał się interesować małżeńskimi perypetiami Joanny. Miał coraz więcej własnych kłopotów, a poza tym doszedł do przekonania, że mimo całej przyjaźni, jaka ich łączyła, nie powinien się mieszać do tych spraw.

Usiadł przy oknie i zapalił papierosa.

- Mizernie wyglądasz - powiedziała, podnosząc oczy znad kartki papieru.

- Zmęczony jestem. Mam tego wszystkiego dosyć.

- Przejąłeś się wczoraj tą operacją.

- Trochę. To nie było przyjemne.

Wsunęła do kieszeni fartucha długopis i zebrała ze stolika notatki.

- Tak. Rozumiem cię. Znam to uczucie. Czasem przechodzą całe miesiące i człowiek jest zupełnie nieczuły na tę ludzką jatkę, a czasem... Czy wiesz, że wczoraj tu był ojciec tego chłopaka. Już po twoim wyjściu. Rozmawiał z Rawickim.

- Tak? - mruknął obojętnie Paweł - Nie wiedziałem. Joanna wstała i obciągnęła na sobie fartuch.

- Zostawiam cię w samotności. Mam jeszcze jedną operację. Także bardzo wątpliwa historia, ale próbować trzeba.

Wyszła cicho z pokoju. Lubił ją za to, że nigdy nie trzaskała drzwiami.

Siedział zamyślony, patrząc na żarzącego się papierosa. Dźwięczały mu w uszach słowa Joanny „Ludzka jatka, ludzka jatka”. Psiakrew. Nic tylko ta ciągła, beznadziejna walka ze śmiercią. Czasem uda im się przedłużyć jakiemuś człowiekowi życie na kilka czy na kilkanaście lat, ale wreszcie wszystko kończy się tak samo. Trochę wcześniej, trochę później. Do diabła, po co przypomniiała mu tego chłopaka?

Ktoś zastukał delikatnie, nieśmiało.

- Proszę - powiedział Paweł i spojrzał ku drzwiom. Weszła i zatrzymała się onieśmielona. Miała jasne włosy, duże niebieskie oczy i twarz rafałowskiej madonny.

- Czy pan doktor Szrot?

- Tak. Czym mogę pani służyć?

- Jestem Warzycka. Przyszłam w sprawie mojego męża. Uścisnął wąską, delikatną dłoń i wskazał krzesło.

- Proszę, niech pani siada.

- To pan operował Filipa, prawda?

- Tak, ja.

- Chciałabym wiedzieć, jak się udała operacja.

- Znakomicie. Mąż pani jest młodym, silnym mężczyzną, a zresztą usunięcie wyrostka to nie jest nic skomplikowanego, szczególnie jeśli się robi operację na zimno, tak jak to miało miejsce w tym wypadku. Zapewniam panią, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Proszę się nie niepokoić. Najdalej za osiem, dziewięć dni mąż będzie w domu. Wstała.

- Dziękuję panu, panie doktorze, serdecznie panu dziękuję. Bo widzi pan... - dodała ciszej, jakby zawstydzona -... bo ja bardzo kocham Filipa. - Tyle było szczerego uczucia w tym wyznaniu, że Paweł aż się zmieszał. Odprowadził Warzycką do drzwi i na pożegnanie pocałował ją w rękę, czego nigdy nie robił. Następnie raz jeszcze poszedł odwiedzić swego pacjenta.

Warzycki był już zupełnie przytomny i uśmiechnął się życzliwie.

- Jak się czujemy, redaktorze? - spytał Paweł, badając puls chorego.

- Znakomicie, tylko cholernie pić mi się chce, a siostrzyczka nie chce mi przynieść piwa.

Paweł bezradnym ruchem rozłożył ręce.

- Na razie o picciu nie ma mowy. Trudno. Trzeba trochę pocierpieć. W nocy zrobimy kroplówkę z soli fizjologicznej. To panu przyniesie ulgę. Często się zdarza, że w takich wypadkach następuje silne odwodnienie organizmu i stąd to pragnienie. Niestety, na razie nie

mogę pana poczęstować piwem ani nawet płynnym owocem. Trzeba się uzbroić w cierpliwość.

- Jakaś pani czeka na pana doktora - powiedziała siostra Zofia.

- Na mnie? - zdziwił się Paweł.

- Tak. W pokoju lekarskim.

- Dobrze. Zaraz idę. Aha, siostrze, proszę zrobić w nocy kroplówkę. - Tak jak zwykle.

Kobieta, która czekała na Pawła, była wysoka. Miała głęboko osadzone szarzielone oczy, błyszczące gorączkowym blaskiem na tle bladej, bezkrwistej twarzy. Ciemne, gęste włosy gładko przylegające do głowy upięte były z tyłu w twardy mocno związany kok. Mówiła niskim, melodyjnym głosem, który zadźwięczał może trochę zbyt teatralnie w lekarskim pokoju. Oświadczyła, że jest kuzynką Warzyckiego i że przyszła dowiedzieć się o jego zdrowie.

- Przed chwilą była tu u mnie pani Warzycka - powiedział nieco zniecierpliwiony Paweł. - Zapewniłem ją, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i że nie ma najmniejszego powodu do jakichkolwiek obaw.

- Czy pan jest pewny, panie doktorze, że Warzyckiemu, że Filipowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo?

- Nie ma mowy o niebezpieczeństwie. Operacja była łatwa, bez komplikacji.

- W każdym razie chciałabym bardzo, ale to bardzo prosić pana doktora, żeby pan był łaskaw otoczyć Filipa specjalną opieką.

- Mogę pani zaręczyć, że chory będzie miał zapewnioną jak najlepszą opiekę. Dzisiaj całą noc będzie przy nim pielęgniarka, tak jak tego sobie życzyła rodzina. Proszę się nie niepokoić. Naprawdę nie ma podstaw do jakichś obaw.

- Dziękuję, panie doktorze. Mam nadzieję... - Nie dokończyła. Wstała i wyciągnęła rękę na pożegnanie. - Dziękuję.

Po wyjściu zielonookiej kobiety Paweł podszedł do okna i przez chwilę patrzył na drzewo obsypane świeżą zielenią. Słyszał jeszcze ten niski, niezwykle sugestywny głos.

Weszła Joanna.

- Słyszałam, że masz dzisiaj niebywale powodzenie u kobiet - uśmiechnęła się.

Paweł zaklął.

- Niech to wszyscy diabli. Jakbym tak codziennie operował takich pacjentów, jak ten dziennikarz, to musiałbym tu chyba kawiarnię założyć. Już mnie szlag trafia. Nie powinni tu wpuszczać tych wszystkich pociotków. Nic innego nie robię, tylko informuję o stanie zdrowia pana Warzyckiego. Tyle szumu o głupi wyrostek.

- Nie przejmuj się - powiedziała Joanna. - A poza tym musisz zrozumieć, że dla ciebie to jest „głupi wyrostek”, ale dla rodziny delikwenta to poważne przeżycie.

- Jak ci poszła operacja? - zapytał Paweł.

- Nieźle. Wszystko odbyło się prawidłowo, ale czy pacjent wyjdzie z tego, to Bóg raczy wiedzieć. Stary człowiek, sterany życiem. Już wychodzisz? - spytała, widząc, że Paweł zdejmuje kitel.

- Tak. Trochę wcześniej się dzisiaj urywam. Zrobiłem już co do mnie należało. Po co będę się tu pętał.

Do spotkania z Anną miał jeszcze dużo czasu. Szedł więc wolno ulicą, przystawał przed wystawami sklepowymi, przyglądał się mijającym go w pośpiechu ludziom. „Każdy z nich może się jutro znaleźć na stole operacyjnym” - myślał. Ta roześmiana blondynka, ten barczysty, wyprostowany młody człowiek, ta krocząca z pretensjonalną godnością pani, rumiany, dobrze odżywiony ksiądz, robociarz w granatowym kombinezonie.

Każdy, absolutnie każdy może nosić w sobie chorobę, o której nie wie, może stać się niespodziewanie jego pacjentem. I wtedy kończy się wszystko to, czym dotychczas żyli ci ludzie. Pozostaje tylko biała sala operacyjna, błyszczące narzędzia i zamaskowana, bezosobowa twarz chirurga. Miłość, praca, szczęście, plany na przyszłość, wszystko uzależnione jest od ruchu ręki uzbrojonej w lancet. Koniec może przyjść tak nagle i tak niespodziewanie, że nieraz nawet nie ma czasu się zdziwić. „Nie mogłem uratować tego chłopaka, nie mogłem. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy”.

Przyśpieszył kroku i usiłował otrząsnąć się z ponurych myśli. Nie chciał, żeby Anna zobaczyła go znowu w posępnym nastroju. Nie mógł zrozumieć co mu się stało, dlaczego nagle zrobił się taki wrażliwy? Skąd te filozoficzne rozmyślania? Czyżby rzeczywiście był tak bardzo przemęczony pracą?

Z Anną umówił się w „Cristalu”. Przyszła, jak zwykle punktualnie. Miała na sobie elegancki jasnobezowy kostium, zamszowe pantofelki i zgrabny brązowy kapelusik. Bardzo w niej to cenił, że zawsze umiała się ładnie, gustownie ubrać.

Usiedli pod oknem i zamówili obiad.

- No jak ci dzisiaj poszło?

W głosie jej wyczuł pewien niepokój. Spojrzał zdziwiony.

- Doskonale.

- Miałeś zdaje się operować tego dziennikarza. Paweł poruszył się niecierpliwie.

- Ach dajcie mi wreszcie spokój z tym facetem. Od rana o niczym innym nie mogę porozmawiać tylko bez przerwy o Filipie Warzyckim. Można oszaleć.

- Udała się operacja? - spytała nie zważając na jego rozdrażnienie.

- Oczywiście. Dlaczego miała się nie udać?

- A Warzycki...?

- Żyje, żyje i będzie żył jeszcze sto lat. Błagam cię Aniu, mówmy o czym innym.

- Nie rozumiem dlaczego jesteś taki zdenerwowany. Dotknął jej ręki i uśmiechnął się.

- Przepraszam cię, kochanie, ale naprawdę już mnie zmęczył ten Warzycki. Bez przerwy ktoś się dopytuje o jego zdrowie.

- Kto się tak dopytuje?

- Jego żona, kuzynka, profesor, wszyscy dookoła. Ale wiesz co? Mam dla ciebie nowinę. Wyobraź sobie, że profesor Suchański chce mnie wysłać do Waszyngtonu.

- Do Waszyngtonu?

- Tak. Na międzynarodowy zjazd chirurgów. Anna aż podskoczyła na krześle.

- Ależ to wspaniale. To ogromne wyróżnienie. Wyobrażam sobie, jak się cieszysz.

- Ja myślę.

- Może byś zabrał mnie ze sobą?

- Z wielką chęcią, tylko obawiam się, że ten numer nie przejdzie.

- Oczywiście, że nie. Przecież żartuję. Bardzo się cieszę z tej twojej podróży. Przewietrzysz się, zobaczysz kawał świata, poznasz nowych ludzi.

Pochylił się do jej ucha i szepnął:

- A nie zdradzisz mnie?

- Oszalałeś. A gdzież ja bym znalazła bardziej interesującego mężczyznę od ciebie?

Przyjrzał jej się podejrzliwie.

- Zdaje się, że usiłujesz brać mnie pod włos. Energicznie potrząsnęła głową.

- Ależ skąd. Wcale cię nie bujam. Naprawdę tak myślę. W tej chwili jesteś dla mnie najbardziej atrakcyjnym mężczyzną na świecie. Zresztą gdyby było inaczej, to nie wysłałbym za ciebie. Nikt mnie do tego nie zmuszał.

Paweł pochylił się i pocałował ją w rękę. - Bardzo cię kocham - powiedział.

- To się znakomicie składa, bo ja ciebie także. Roześmiał się. W tej chwili kelner postawił przed nimi filiżanki z barszczem.

- Co robimy po obiedzie?

- Chętnie poszłabym gdzieś do kina, ale musimy wracać do domu.

- Dlaczego?

- Bo Elżbieta zapowiedziała swoją wizytę. Chce ci pokazać Krysię.

- A co jest Krysi?

- Nie wiem, ale z tego, co mówi Elżbieta, to chyba przepuklina.

- Dawno mała choruje?

- O, to już trwa pewnie parę miesięcy.

- Na miłość boską, dlaczego Elżbieta nie przyprowadziła jej do mnie? Przecież to może grozić poważnymi komplikacjami.

- Wiesz, jaka jest Elżbieta. Tak trudno jej się jest na coś zdecydować.

- No dobrze, ale tu chodzi o zdrowie, a może nawet o życie jej dziecka. W pewnych sytuacjach trzeba się trochę szybciej zdecydować.

- Wytłumacz jej to.

- Kiedy miała przyjść?

- Teraz. Mniej więcej o tej porze.

Zjedli pośpiesznie obiad i na Litewskiej wsiedli w taksówkę.

Elżbietę spotkali na schodach. W przeciwieństwie do siostry była jasną blondynką o delikatnej, porcelanowej cerze. Duże, zawsze trochę zdziwione niebieskie oczy miały w swym spojrzeniu coś z bezradności małego dziecka. Trudno było uwierzyć, że to jest matka piętnastoletniej dziewczyny.

- Gdzie Krysia? - spytał Paweł.

Elżbietę zawsze trochę onieśmiał energiczny i rzeczowy ton szwagra. Wzięła pod rękę Annę, jak by u niej szukała oparcia.

- Krysia niedobrze się czuje, leży. Właśnie chciałabym cię prosić, żebyś... Jeżeli oczywiście nie jesteś za bardzo zmęczony.

Paweł przerwał jej niecierpliwym ruchem ręki. Niepotrzebne gadulstwo i przesadna delikatność tej kobiety drażniły go.

- Zaraz jedziemy. Wezmę tylko moją torbę. Pojedziesz z nami? - spytał, zwracając się do Anny.

- Pojadę.

Elżbieta z Krysią mieszkały na Odolańskiej. Inżynier Sadzicki wyjechał przed kilkoma laty służbowo do Wenezueli i już nie wrócił. Złośliwi twierdzili, że głównym powodem tej decyzji był kontrast pomiędzy limfatyczną, beznamiętą żoną, a pełnymi temperamentu, ognistymi Hiszpankami. Początkowo przysyłał rodzinie paczki, ale z biegiem czasu i ten dowód ojcowskiego uczucia stawał się coraz rzadszy. Elżbieta pracowała jako bibliotekarka i żyła spokojnie wraz z córką, wspomagana materialnie przez bliższą i dalszą rodzinę. Wszystkie wysiłki, aby znaleźć jej nowego męża spełzły na niczym. Mężczyźni

wpadali przy niej w romantyczny, melancholijny nastrój, który jednak nigdy nie wróżył trwałszych związków.

Krysia leżała pod niebieską kołdrą. Po matce odziedziczyła duże, jasne oczy i przeźroczystą cerę. Uśmiechnęła się do Pawła.

- Dzień dobry wujku. Jak to dobrze, że przyszedłeś. Co prawda trochę się boję, że będziesz mnie chciał kroić.

- Zobaczymy.

Paweł umył ręce i zbadał chorą.

- No tak, nie ulega wątpliwości - przepuklina. Musiałaś gdzieś skoczyć czy upaść.

- Skakałyśmy w szkole ze schodów i jeden chłopak mnie pchnął.

- No właśnie. Trzeba będzie zrobić małą operacyjkę. Mam nadzieję, że będziesz dzielna. Nie boisz się, prawda?

- Jak by mnie jakiś obcy doktor kroił, to bym się bała, ale jak ty, wujku, będziesz mnie operował, to nic a nic się nie boję. Przecież ty jesteś najlepszym chirurgiem w Warszawie, prawda?

Paweł uśmiechnął się.

- Rozumiesz przecież, że nie wypada mi się chwalić. Jest bardzo wielu lepszych ode mnie.

Energicznie potrząsnęła jasną głową.

- O nie, nie. Ja wiem na pewno, że ty, wujku, jesteś najlepszy. Czytałam o tobie w gazetach. Zrobiłeś taką jakąś bardzo trudną operację. Byłam wtedy z ciebie okropnie dumna. Pokazywałam ten artykuł w szkole. Wszystkim mówiłam, że ten znakomity chirurg, to mój wujek. Czy moja operacja także będzie bardzo skomplikowana?

- Raczej nie bardzo. To prosta sprawa.

- I jak zrobisz tę operację, to nie będziesz więcej sławny?

- Chyba nie.

- Szkoda. Myślałam, że przyczynię się do twojej lekarskiej sławy.

Pogłaskał ją po głowie.

- Na razie pomyśl o tym, żeby jak najprędzej być zdrową. Spójrz, jak się mama wymizerowała. Zamartwia się tobą.

- E, mama to się zawsze wszystkim martwi.

- A ty nie masz nic innego do roboty tylko skakać w szkole ze schodów - westchnęła Elżbieta. - Czy to nawet wypada, żeby panienka z dobrego domu...

- Wcale nie jestem z dobrego domu - uśmiechnęła się Krysia. - Tandeta. W kuchni już tynk odpada, a w łazience zacieka.

Elżbieta frasobliwie pokręciła głową.

- Oj dziecko, ciebie się tylko żarty trzymają. Ileż ja się przez ciebie namartwię. Gdybyśmy nie mieli w rodzinie lekarza, to sama nie wiem co bym zrobiła.

- Odwiozłabyś mnie do szpitala i jakiś inny lekarz operowałby mnie.

- Łatwo ci mówić. Czy to można teraz mieć zaufanie do nieznanego lekarza i to jeśli chodzi o operację. Gdzie tu szukać dobrego chirurga?

- Ale ponieważ wujek jest znakomitym chirurgiem, to nie potrzebujesz się o mnie martwić. Prawda, wujku?

- Myślę, że prawda.

Paweł obandażował chorej brzuch, zapisał lekarstwa i obiecał, że jutro postara się ją zabrać do kliniki.

- Bardzo jestem ciekawa, jak to jest w tym szpitalu - powiedziała na pożegnanie Krysia. - Nigdy jeszcze nie byłam w szpitalu.

W drodze powrotnej Anna kupiła w SAMie na rogu Żurawiej pudełko szprotek i pół razowego chleba.

- Jesteś głodny?

- Nie. Jestem zły.

- Na mnie?

- Ale skąd. Na Elżbietę. Nie chcę mówić źle o twojej rodzinie, ale to skończona idiotka. Przecież już dawno trzeba było wziąć Krysię do szpitala.

- Myślę, że Elżbieta bała się operacji - powiedziała Anna. - Bała się oddać Krysię do szpitala. Ona bardzo kocha to dziecko, właściwie żyje tylko dla niej.

- Ależ to nie ma sensu...

- Nie mów źle o Elżbiecie. Ona jest bardzo nieszczęśliwa. Tak jej się wszystko nie ułożyło.

Kiedy otworzyli drzwi i znaleźli się w przedpokoju, Anna pocałowała Pawła w policzek.

Wiesz, że bardzo lubię nasze mieszkanie. Jest mi w nim z tobą bardzo, bardzo dobrze. Jestem szczęśliwa.

Zjedli kolację, a potem obejrzel jakiś amerykański film.

- Nie lubię telewizji - skostatował Paweł i zaczął się rozbierać.

Około dwunastej zgasili światło. Anna przysunęła się do Pawła i objęła go za szyję. - Bardzo cię kocham - szepnęła.

Zadzwoił telefon. Głos siostry Teresy był drżący ze wzruszenia: - Czy to pan, panie doktorze? Stało się nieszczęście. Pan Warzycki zmarł przed chwilą.

ROZDZIAŁ II

Niespodziewany zgon Warzyckiego wywołał w klinice sensację. Od samego rana szeroko komentowano ten wypadek, a zawistni koledzy nie szczędzili oczywiście krytycznych uwag pod adresem Pawła, chociaż nikt nie potrafił sprecyzować konkretnych zarzutów. Mówiono ogólnie o tym, że otwarcie jamy brzusznej jest zawsze sprawą poważną i że nigdy nie należy lekceważyć pozornie najprostszych nawet operacji. Czy jednak w tym wypadku chirurg popełnił błąd, czy zaniedbał czegoś? Na to pytanie nie dawano wyraźnej odpowiedzi.

Profesor Suchański zaprosił do swego gabinetu na rozmowę Pawła i pielęgniarkę, która dyżurowała przy chorym.

- Jakżeż to się stało, siostrze?

Teresa była jeszcze pod wrażeniem śmierci swego pacjenta. Zdenerwowana, mizerna, oczy miała zaczerwienione. Mówiła szybko trochę chaotycznie:

- Sama nie wiem dlaczego... Nie rozumiem... Przecież tyłu widziałam już po operacji ślepej kiszki... Doprawdy, panie profesorze...

- Pani miała dyżur w nocy przy chorym? - Tak.

- Jak się chory czuł?

- Bardzo dobrze.

- Nie skarżył się na coś?

- Skarżył się na pragnienie. Prosił, żeby mu dać pić. Zwilżałam mu wargi wilgotną watą. Potem zrobiliśmy z siostrą Zofią kroplówkę. Żartował z nami, opowiedział nawet jakiś dowcip.

- Nie miał poczucia duszności? Nie skarżył się na ból głowy?

- Nie.

- Więc zrobiliście kroplówkę. A następnie...?

- Następnie chory usnął.

- A kiedy pani zauważyła, że coś jest nie w porządku?

- Wyszłam na chwilę z pokoju, żeby napić się wody. Chory spał i na razie nie potrzebował mojej pomocy. Kiedy wróciłam...

- Jak długo nie było pani przy chorym?

- Dokładnie nie pamiętam. Piętnaście, dwadzieścia minut, może pół godziny.

- Pół godziny piła pani wodę? - zdziwił się profesor.

- Nie. Spotkałam na korytarzu doktora Rawickiego, który miał dyżur.

Porozmawialiśmy chwilę.

- I potem wróciła pani do pacjenta? - Tak.

- I co panią zaniepokoiło?

- Wygląd chorego. Leżał na wznak i tak jakoś... bardzo się przestraszyłam.

Podbiegłam do niego i zobaczyłam, że...

- Co pani wtedy zrobiła?

- Zaraz zawołałam doktora Rawickiego, który stwierdził zgon. Potem zatelefonowałam do pana doktora Szrota, bo przecież pan doktor Szrot operował tego pacjenta...

Profesor skinął głową i powiedział z odcieniem zniecierpliwienia w głosie:

- Tak, tak, rozumiem. Dziękuję pani. Może pani iść do swoich zajęć.

Kiedy Teresa wyszła z pokoju, Suchański zapalił papierosa i spojrzał pytająco na Pawła.

- Co pan o tym sądzi, panie doktorze?

- Nie wiem. Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

- Twierdził pan, że operacja udała się doskonale.

- Tak było w istocie.

- A pacjent umarł.

Na bladej, zapadniętej twarzy Pawła pojawiły się ceglaste wypieki.

- Zrobiłem, panie profesorze, co do mnie należało - powiedział głucho.

- Oczywiście, oczywiście - przytaknął skwapliwie Suchański. - Znam przecież pańską sumienność, panie kolego. Nie czynię panu żadnych wyrzutów. Chciałem po prostu posłyszeć pańską opinię w tej sprawie. Paweł sięgnął po papierosy leżące na biurku.

- Powtarzam, że nie wiem dlaczego to się stało. Absolutnie nic nie wskazywało na to, że Warzyckiemu może grozić jakieś niebezpieczeństwo. Młody mężczyzna, silnie zbudowany, zdrowe serce. Zabieg dokonywany był na zimno. Żadnego stanu zapalnego. Wszystko odbyło się zupełnie prawidłowo. Nie wiem.

- Hm. - Profesor odsunął się od biurka i przeciągnął dłonią po siwych włosach. - Sprawa jest przykra, bardzo przykra. Rzecz jasna, że to jest zawsze bardzo nieprzyjemna historia, jak pacjent niespodziewanie umiera, ale w tym wypadku... No cóż... nie muszę chyba

panu tłumaczyć, że ten Warzycki był osobistością dość znaną i że jego śmierć może bardzo poważnie zaszkodzić nie tylko opinii naszej kliniki, ale i pańskiej opinii.

- Nic na to nie poradzę - mruknął Paweł. Suchański zgasił papierosa, wstał i przeszedł się po pokoju.

- Więc pan, panie doktorze, nie widzi jakiejś realnej przyczyny, która by mogła usprawiedliwić zgon Warzyckiego?

- Nie, nie widzę.

- Pozostaje nam oczywiście jeszcze sekcja, którą trzeba będzie zrobić. Zobaczymy. No to na razie do widzenia. Nie zatrzymuję pana.

Po wyjściu profesora, Paweł powlókł się ociężale do pokoju lekarzy. Drzwi były uchylone. Posłyszał drwiący głos Rawickiego.

- Wyrostek także trzeba umieć zoperować.

- Nie wątpisz chyba, że Paweł umie - odpowiedziała Joanna.

- Może i umie, nie wiem. W każdym razie jakbym tak ja miał się operować, to wolałbym, żeby mi to zrobił kto inny, ktoś nieprzeznaczony do wyższych celów.

Rawicki jeszcze coś mówił. Paweł już nie słuchał. Odwrócił się i szedł korytarzem wolnym, ociężałym krokiem. Ogarnęło go zupełne zniechęcenie. Miał tego wszystkiego dosyć. Najchętniej rzuciłby operacje, pacjentów, całą klinikę i wyjechał gdzieś na głuchą wieś, gdzie nikt by go nie znał i gdzie nikt by nie wiedział, że on jest chirurgiem. Co to byłoby za rozkosz móc przez jakiś czas nie operować, nie myśleć i nie mówić o chorobach i o medycynie. Bo nawet jeżeli wyjeżdżał na urlop, co ostatnio zdarzało mu się coraz rzadziej, to natychmiast spotykał znajomych i przyjaciół, którzy uważali za swój obowiązek rozmawiać z nim o najnowszych zdobyczach wiedzy lekarskiej, wypytywali o operacje, skarżyli się na swe dolegliwości.

W Zakopanem czy nad morzem żył w dalszym ciągu w kręgu tych samych zagadnień i właściwie czuł się nieomal tak, jakby nie opuszczał kliniki.

- Panie doktorze. Drgnął i odwrócił się.

- Czekają na pana na sali operacyjnej.

- Dobrze. Już idę.

Tym razem asystował mu Kalinowski, młody, świeżo upieczony lekarz.

- Dzień dobry, panie Tadeuszu - powiedział Paweł, siląc się na swobodny, beztroski ton.

Pacjent leżał już na stole operacyjnym. Był to dwudziestoparoletni chłopak, dobrze zapowiadający się bokser w wadze półciężkiej. Operacja pęcherzyka żółciowego. Wcześniej rozwinięta kamica.

- Gotowe do narkozy?

- Gotowe.

Paweł przez chwilę przyglądał się muskularnemu ciału młodego atlety. Gdzieś głęboko na samym dnie podświadomości zrodził się niepokój. A jeżeli znowu... Poczł na sobie wyczekujący wzrok Kalinowskiego. Zbyt energicznie pochwycił lancet.

Teraz już nie ma czasu na wahanie, niepokoje, wątpliwości. Padają słowa szybkie i twarde, jak ostrze chirurgicznego noża. Ludzie pochyleni nad operacyjnym stołem pracują z precyzją maszyny. Ani jednego zbędnego gestu, ani jednego niepotrzebnego spojrzenia. Raz puszczony w ruch mechanizm do krajania ludzi, działa nieomylnie.

Paweł skończył w rekordowym czasie i odetchnął z ulgą. Operacja udała mu się znakomicie. Człł, że słowa uznania wypowiediane przez asystujących mu ludzi są szczere. To była rzeczywiście dobra robota. W jednej chwili opuściło go zniechęcenie, niepokój, apatia. Znowu poczuł się sobą, odzyskał wiarę we własne siły. Zapomniał o Warzyckim, który nie dalej jak wczoraj, leżał tu na tym stole. Na korytarzu podeszła do niego Joanna.

- No i jak? Jak ci poszło z tym bokserem?

- Znakomicie. Wygrałem pierwszą rundę.

- Ale mecz jeszcze nieskończony. Spojrzał na nią uważnie.

- Co masz na myśli?

- Nic. Tak sobie zażartowałam.

- Masz rację - powiedział poważniejąc. - Dopóki pacjent nie wyjdzie ze szpitala, mecz trwa.

- Czekają tu rodzice tego chłopca. Pomów z nimi chwilę. Uspokój ich.

Stary Bartosik był ślusarzem. Miał duże, siwiejące wąsy i niebieskie oczy o łagodnym spojrzeniu. Zmieszał się trochę na widok lekarza w białym fartuchu. Ukłonił się niezgrabnie i powiedział:

- Bo my proszę pana doktora, w sprawie naszego chłopaka.

- To nasz jedyny syn - dodała, jakby się usprawiedliwiając, Bartosikowa, drobna, chuda kobieta ze zniszczonymi rękami i smutną, pożółkłą twarzą.

Paweł uśmiechnął się przyjaźnie.

- Wszystko w porządku. Mogą państwo być zupełnie spokojni. Za dwa, trzy tygodnie syn wróci do domu.

- Można mu przynieść, panie doktorze, coś do jedzenia? - spytała Bartosikowa. - Sasiadka przywiozła wczoraj ze wsi parę kilo boczku. Piękny boczek. Mogłabym przynieść Stasiowi. Niechby się biedaczysko wzmocnił po tej operacji.

Paweł opanował drżenie warg i potrząsnął głową.

- Na razie choremu nic nie wolno dawać do jedzenia. Musi być na ścisłej diecie. Mógłby umrzeć, gdyby się teraz najadł boczku.

- A co, nie mówiłem ci, matka? - mruknął Bartosik, spoglądając gniewnie na żonę. - Po operacji jedzenie musi być delikatne.

, - Chciałam... - szepnęła zawstydzona. - Chciałam, żeby się Stasio wzmocnił.

- Jeszcze przez parę miesięcy po wyjściu ze szpitala będzie musiał być na diecie. Nie wolno jeść ciężkostrawnego.

- Bo gdyby Stasiowi było coś potrzebna, panie doktorze, to my przecie...

Bartosik pociągnął żonę za rękę.

- No chodźmy, matka, chodźmy. Nie przeszkadzajmy panu doktorowi.

Paweł serdecznie pożegnał rodziców młodego boksera. Raz jeszcze zapewnił ich, że Staszek czuje się dobrze i odprowadził ich do drzwi. Ten wąsaty rzemieślnik, przypominający rysunki Kostrzewskiego, i jego zahukana, nieśmiała żona, zrobili na nim bardzo miłe wrażenie.

Tego dnia Paweł już więcej nie operował. Był zadowolony. Nie chciał się do tego przyznać, ale ostatnie dwa śmiertelne wypadki, a specjalnie niczym nieusprawiedliwiony, nagły zgon Warzyckiego, wywarły na nim tak przygnębiające wrażenie, że z pewnym niepokojem wchodził do sali operacyjnej. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest to stan przejściowy, że na skutek przeciążenia pracą nerwy zaczynają mu odmawiać posłuszeństwa, tym nie mniej jednak czuł wyraźną niechęć do operowania i postanowił przez pewien czas ograniczyć swoją działalność na terenie kliniki do niezbędnego minimum. Wierzył w to, że szybko wróci do równowagi i że znowu będzie mógł pracować tak jak dawniej. Udana operacja pęcherzyka żółciowego przywróciła mu wprawdzie w pierwszej chwili pewność siebie, ale zaraz pojawiła się refleksja. Przecież ten wyrostek także udał mu się doskonale. Nie miał sobie nic do zarzucenia. Pod wpływem tych myśli poszedł odwiedzić Bartosika.

Chłopak obudził się już po narkozie i leżał spokojnie. Był jeszcze trochę odurzony i co chwilę przymykał oczy. Paweł zbadał puls, sprawdził bandaż i wydał siostrze polecenie, dotyczące najbliższych godzin.

- Która z sióstr ma dzisiaj nocny dyżur?

- Ja - odpowiedziała siostra Zofia. - I chyba Marysia.

- Gdyby z tym chłopcem były najmniejsze nawet komplikacje, proszę natychmiast dzwonić do mnie do domu.

- Dobrze panie doktorze.

Na korytarzu podeszła do niego Teresa i powiedziała:

- Jakiś chłopiec przyniósł list do pana doktorze. Paweł zdziwiony wziął do ręki kopertę zaadresowaną na maszynie, rozerwał ją i wyjął kartkę papieru pokrytą pośpiesznie, nerwowym pismem. List był bez nagłówka. „Proszę spowodować, aby moja żona zmieniła natychmiast miejsce pracy. Ostrzegam, że nie będę dłużej tolerował tych flirtów. Jeżeli pan nie przestanie się interesować moją żoną, zniszczę pana. Potrafię to zrobić. Mokrzycki”.

Paweł wsunął list do kieszeni spodni i podrapał się w zamyśleniu za uchem. Zastanawiał się, jak ma postąpić. Czy pokazać to Joannie? Chyba tak.

Zanim jednak doszedł do pokoju lekarskiego. Zmienił zdanie. Po co? Nie miało sensu denerwować Joanny. I tak dosyć ma kłopotu z tym starym maniakiem. Niespodziewanie Joanna sama zaczęła rozmowę na ten temat.

- Słuchaj, Paweł, czyś ty nie dostał jakiegoś listu od mego męża?

- A bo co? - spytał, pragnąc zyskać na czasie.

- No mów, dostałeś czy nie?

- Dostałem.

- Spodziewałam się tego. Był tu dzisiaj i zrobił mi potworną awanturę.

- Tu w szpitalu? Kiedy to było?

- Jak operowałeś tego boksera.

- Ale o co mu poszło?

- Jak zwykle scena zazdrości. Oczywiście o ciebie. Popełniłam wczoraj jeden błąd.

- Jaki?

- Powiedziałam Karolowi, że mam nocny dyżur w szpitalu.

- A tymczasem ty pielęgnowałaś chorą ciocię.

- Nie bądź zbyt domyślny. Uśmiechnął się.

- Nie trzeba tu chyba zbyt domyślności. I jak się twój mąż dowiedział, że nieco rozminęłaś się z prawdą?

- Przyleciał w nocy do szpitala.

- Do szpitala?

- No właśnie. Tego przecież nie mogłam przewidzieć. Dowiedział się, że Rawicki ma dyżur i wyszedł w tym przekonaniu, że ty i ja... że ja z tobą...

- Nie możesz mu tego wytłumaczyć, że to nie ja?

- Próbowałam. Nie wierzy.

Paweł zamyślił się. Wyjął papierosa. Po chwili znowu się odezwał:

- Słuchaj, Joanno, musisz to jakoś załatwić. Nie możesz narażać się na ciągłe awantury, a mnie na skandale, bo w końcu do tego dojdzie. Dzisiaj dostałem od twego męża list z pogrozkami. Napisał, że mnie zniszczy, jeżeli ty nie przestaniesz tutaj pracować.

- Chyba się nie przejmujesz takimi głupstwami?

- Nie przejmuję się - powiedział bez przekonania Paweł. - Ale w końcu to nie należy do przyjemności. Poza tym dzisiaj list, a jutro przyjdzie tu szanowny małżonek i wsypie mi do herbaty trucizny. Jako profesor chemii ma w tym zakresie szerokie możliwości.

Joanna niecierpliwie ściągnęła brwi.

- Nie mów głupstw. Karol nie byłby zdolny do czegoś podobnego.

- To nigdy nie wiadomo. Mężczyzna w tym wieku, ogarnięty obsesją, zdolny jest do różnych rzeczy. W każdym razie radzę ci, żebyś tę sprawę możliwie jak najszybciej załatwiła.

- Ale jak to załatwić? - powiedziała cicho Joanna.

- Rozejdź się z nim. To chyba najprostsze.

- Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

- Mam swoje powody.

Paweł wzruszył ramionami. Zaczynało go to wszystko już drażnić.

- Rób jak uważasz, ale ja nie chciałbym być ciągle napastowany przez twego męża. Jeżeli to potrwa dłużej, to będę musiał się z nim rozmówić.

Spojrzała na niego zaniepokojona.

- Nie, nie. Bardzo cię proszę. Ja sama to załatwię. Zadzwoił telefon. Joanna podniosła słuchawkę. - To do ciebie - powiedziała.

Posłyszał głos Elżbiety. Powiedziała, że Krysia gorzej się dzisiaj czuje i pytała, czy może ją przywieźć do szpitala.

- Oczywiście - rzucił w słuchawkę Paweł. - Bierz taksówkę i zaraz przywoź małą.

- Nowa pacjentka? - spytała Joanna.

- Siostrzenica mojej żony.

- Gdzie ją położysz?

- W tym małym pokoju. Wczoraj zwolniło się łóżko.

- Zdaje się, że profesor rezerwował to łóżko dla jakiegoś swojego pacjenta.

- Nic nie szkodzi. Pogodzimy się z profesorem. Wszedł Rawicki. Obrzucił szybkim spojrzeniem Pawła i Joannę i uśmiechnął się domyślnie.

- Operował pan dzisiaj, panie kolego? - spytał siadając.

- Tak, tego młodego boksera.

- Operacja oczywiście udała się.

- Owszem, zupełnie nieźle się udała - powiedział Paweł, nie zwracając uwagi na ironiczny ton Rawickiego.

- Miejmy nadzieję, że pacjent wyżyje.

- Nie rozumiem co pan chce przez to powiedzieć. Rawicki zaśmiał się swym niemiłym gardłowym śmiechem.

- Absolutnie nic. Tak sobie zażartowałem. Paweł spojrzał na niego ze złością.

- Nie sądzę, żeby to był udany żart.

- Może przestaniecie się kłócić? - zaprotestowała Joanna. Wyjęła papierosy z kieszeni fartucha i poczęstowała Pawła.

- Dziękuję. - Zapalił papierosa i wyszedł z pokoju. Był wściekły. „Bałwan, skończony bałwan” - mruzczał. Drwiący ton i pogardliwy uśmiech Rawickiego wyprowadziły go z równowagi. Na korytarzu dogoniła go Joanna.

- Nie denerwuj się, Paweł. Coś ty? Kazik żartował. Wiesz przecież, że w gruncie rzeczy bardzo cię lubi.

- Tak mnie lubi, że utopiłby mnie w łyżce wody - warknął Paweł.

- Daj spokój. Jesteś zdenerwowany. Mam do ciebie prośbę.

- Słucham?

- Czy mógłbyś mnie dzisiaj w nocy zastąpić na dyżurze? Zamienimy się po prostu. Następnym razem ja wezmę twój dyżur. Bardzo mi na tym zależy.

Paweł spojrzał na nią uważnie.

- O, widzę, że to coś poważniejszego. Tak dzień po dniu, a raczej noc po nocy.

- Nie, nie, to nie to o czym myślisz. Dzisiaj właśnie chcę być w domu, żeby załagodzić nieco atmosferę rodzinną. Nie chciałabym, żeby Karol... No więc jak, zgadzasz się?

- Jeżeli to ma uratować twoje szczęście małżeńskie - uśmiechnął się Paweł - to oczywiście odbędę dzisiaj dyżur za ciebie.

- Dziękuję ci.

Odwróciła się i odeszła, kołysząc się lekko w biodrach. Przez chwilę patrzył w ślad za nią. Zastanawiał się nad tym, jak to się stało, że tak szybko zdołał się uwolnić spod wpływu tej kobiety. Kiedyś przecież sama myśl o niej wytrącała go z równowagi i przyprawiała go o niepokój, budziła pożądanie tak silne, że nie potrafił mu się oprzeć. Dlaczego to się

skończyło? Nie umiał sobie odpowiedzieć na to pytanie. A może się nie skończyło? Może tylko okoliczności tak się złożyły, że nigdy nie doszło do pełnego rozkwitu ich miłości. Nonsens. Przecież kocha Annę i jest z nią bardzo szczęśliwy. Czy nie można kochać dwóch kobiet? Teoretycy norm moralnych orzekli, że mężczyzna jest istotą monogamiczną, że powinien żyć z jedną kobietą i tylko tę jedną kobietę kochać, a kościół katolicki chce, żeby ten stan rzeczy trwał niezmiennie przez całe życie. To są teorie, mające niewiele wspólnego z rzeczywistością. Z tych filozoficznych rozważań wyrwał go głos siostry Zofii.

- Jakaś pani do pana, panie doktorze.

Elżbieta była bardzo zdenerwowana. Miała zaczerwienione od płaczu oczy i mizerną twarz.

- Nie spałam całą noc - skarżyła się słabym głosem. - Krysia bardzo źle się czuła. Nie wiem, czy to te lekarstwa tak na nią podziałały.

- Gdzie Krysia? - spytał Paweł.

- W taksówce. Nie wiedziałam, czy będzie miejsce w szpitalu.

- Jeżeli ci powiedziałem, żebyś przywiozła małą, to znaczy, że miejsce będzie. Może chodź?

- Nie bardzo. Ma bóle.

- Zaraz poślę po nią nosze.

Wydał polecenie posługaczom i poszedł porozumieć się z profesorem. Suchański był zły, że go się stawia wobec faktu dokonanego, ale wreszcie dał się udobruchać i bez większych sprzeciwów zgodził się przyjąć na klinikę nową pacjentkę.

- Pan ją będzie operował, panie kolego? Paweł skinął głową.

- Ja.

- Kiedy?

- Myślę, że jutro. Jeżeli oczywiście nie zajdą jakieś dodatkowe komplikacje.

Krysia rzeczywiście czuła się gorzej niż poprzedniego dnia. Z wysiłkiem uśmiechnęła się do Pawła.

- Zdaje mi się, wujku, że trzeba zrobić tę operację.

- I mnie także tak się zdaje. Pokaż, gdzie cię boli. Uważnie zbadał chorą.

- Kiedy będzie operacja? - spytała cicho.

- Nie wiem. Może nawet jutro. Boisz się?

- Jak ty mnie, wujku, będziesz operował, to się wcale a wcale nie boję. Wiem przecież, że jesteś najlepszym chirurgiem w Warszawie.

Uśmiechnął się i pogładził dziewczynę po jasnej głowie.

- Leż teraz spokojnie i postaraj się zasnąć. Musisz nabrać sił.

Na korytarzu podeszła do niego Elżbieta.

- Czy uważasz, że stan Krysi jest ciężki? - spytała. W spojrzeniu jej wyczytał straszliwy niepokój.

- Ale skądże. Sprawa jest trochę zaniedbana, ale nie ma mowy o jakimś ciężkim stanie. Jutro ją zoperuję i będzie wszystko w porządku.

- Więc nie grozi jej niebezpieczeństwo?

- Absolutnie żadne. Możesz być zupełnie spokojna.

- Bo widzisz, dla mnie to dziecko jest wszystkim, wszystkim i gdyby... - Łzy zabłysły w jej dużych, przerażonych w tej chwili oczach.

Paweł serdecznym ruchem wziął ją pod rękę.

- Mówię ci przecież, kochanie, że nie ma żadnego powodu do obaw. Nie denerwuj się, idź spokojnie do domu. Wszystko będzie dobrze.

- Dziękuję ci - szepnęła. - Bardzo ci dziękuję. Do widzenia. Przyjdę jutro. Pozwolisz?

- Oczywiście.

Odprowadził ją na schody, a potem wrócił i poszedł do gabinetu profesora.

- Bardzo przepraszam, że ja tak niespodziewanie sprowadziłem na klinikę tę małą, ale nastąpiło u niej pewne pogorszenie i dlatego... Miałem panu profesorowi powiedzieć o tym dzisiaj z samego rana, ale zupełnie zapomniałem.

- Zauważyłem, że jest pan ostatnio zdenerwowany - powiedział Suchański. W głosie jego zabrzmiała ledwie dostrzegalna nuta zniecierpliwienia.

Z kliniki wyszedł Paweł po trzeciej. Nie umówił się z Anną na obiedzie. Miała dużo spraw w sądzie i nie mogła przewidzieć kiedy będzie wolna. Nie lubił tych dni, kiedy Anna późno wracała do domu. Był wtedy zły, niezadowolony, gderał i prosił, żeby przestała pracować. - Chcę mieć żonę, a nie adwokata - mówił. W takich sytuacjach odpowiadała niezmiennie: - Zarób tyle, żeby na wszystko wystarczyło, a ja bardzo chętnie przestanę pracować. - Nie znajdował dalszych argumentów do dyskusji, milkł, ale humor pogarszał mu się jeszcze bardziej.

- Przepraszam, panie doktorze.

Odwrócił się i spojrzał zdziwiony. Przed nim stał starszy, może sześćdziesięcioletni mężczyzna, wysoki, dobrze zbudowany, o postawie i ruchach sportowca. Bujna, zupełnie biała czupryna efektownie kontrastowała z opaloną na ciemny brąz, suchą twarzą. Szare oczy, osadzone pod ciemnymi krzaczastymi brwiami, patrzyły z intensywną przenikliwością.

- Słucham pana? - powiedział pytająco Paweł.

- Jestem Mokrzycki, profesor Karol Mokrzycki.

Paweł opanował pierwszy obronny odruch i automatycznie uściśnął wyciągniętą ku sobie dłoń. Był tak zaskoczony tym spotkaniem, że nie wiedział co powiedzieć. Bąknął więc tylko niewyraźnie - Bardzo mi miło - i czekał. Początkowo obawiał się, że mąż Joanny zrobi mu publiczną awanturę, Mokrzycki jednak niczym nie zdradzał rozdrażnienia, czy gniewu. Przeciwnie, uśmiechał się bardzo życzliwie i w całej jego postawie nie wyczuwało się groźby.

- Chciałbym chwilę z panem porozmawiać, panie doktorze. Jeśli więc nie ma pan nic przeciwko temu, to może wstąpimy gdzieś na kawę.

Paweł zawahał się, ale Mokrzycki panował już całkowicie nad sytuacją. - O tutaj, zaraz za rogiem jest bardzo miła, zaciszna kawiarenka. Dają tam nawet zupełnie możliwą kawę. Sądzę, że o tej porze znajdziemy wolny stolik.

Wolny stolik znaleźli i kawa rzeczywiście była dobra. Paweł z dużym zainteresowaniem przyglądał się temu eleganckiemu, starszemu panu, którego, wystudiowane, oszczędne ruchy miały w sobie raczej coś z dyplomaty, aniżeli z naukowca. Wizerunek nakreślony przez Joannę daleko odbiegał od rzeczywistości. W tym opanowanym, doskonale wychowanym, wytwornym mężczyźnie trudno było odnaleźć starego, stetryczalego, maniacko zazdrosnego męża.

- Przepraszam, że pana tak bezceremonialnie zaczepiłem na ulicy - powiedział usprawiedliwiając się Mokrzycki. - Dziwi pana zapewne moje zachowanie.

Paweł uśmiechnął się uprzejmie.

- Bardzo się cieszę, że pana poznałem, panie profesorze. Mokrzycki wyjął z kieszeni srebrną papierošnicę.

- Przyznaję, że postąpiłem wbrew zasadom dobrego wychowania, ale czasami okoliczności zmuszają nas do rezygnowania z konwenansów. Nie mogłem czekać, aż nadarzy mi się okazja spotkać pana na gruncie towarzyskim. Proszę mi więc wybaczyć ten drobny nietakt.

- Ależ, panie profesorze, bardzo dobrze się stało, żeśmy się poznali - powiedział szczerze Paweł. - Muszę się panu przyznać, że myślałem nawet o tym, żeby pana odwiedzić.

- Byłby pan miłym gościem w moim domu.

- Bo chciałem jakoś wyjašnić tę trochę niezręczną sytuację - mówił dalej Paweł. - Mam wrażenie, że pan sobie pewne rzeczy może trochę niewłaściwie interpretuje.

- Ma pan na myśli moją żonę?

- Tak. Mam na myśli Joannę.

- Ja także chciałem pomówić z panem, panie doktorze, o Joannie. Bo widzi pan sprawa przedstawia się w ten sposób, że...

- Jeżeli pan pozwoli, panie profesorze - przerwał z ożywieniem Paweł - to chciałbym zaraz na początku naszej rozmowy wyjaśnić sytuację. Muszę więc przede wszystkim pana zapewnić, że nie ma pan absolutnie żadnych powodów do zazdrości. Z Joanną znamy się od dawna i nie będę ukrywał faktu, że w swoim czasie flirtowaliśmy trochę ze sobą, ale flirt ten miał charakter zupełnie niewinny i żadne z nas w tej historii nie było poważniej zaangażowane. Takich flirtów, panie profesorze, każda kobieta ma na swoim koncie kilka czy kilkanaście i to jest nie do uniknięcia. Ja w tej chwili jestem żonaty, kocham moją żonę i mogę pana zapewnić, że z Joanną łączą mnie jedynie więzy przyjaźni. Daję panu na to słowo honoru, że nie ma absolutnie powodów do zazdrości.

- Ależ, drogi panie - uśmiechnął się Mokrzycki. - Ja nie jestem zazdrosny.

Paweł był wyraźnie zbity z tropu.

- Nie jest pan zazdrosny?

- Nie. I właśnie o tym chciałem z panem pomówić. Bo widzi pan, Joanna chce ze mnie zrobić nieznośnego zazdrosnego starca. Wszystkimi sposobami pragnie mnie wcielić w rolę Grzegorza Dyndały. A ja nie jestem zazdrosny. Paweł spojrział z niedowierzaniem na mówiącego.

- Nie rozumiem.

- Ba. Nie tylko pan jest w tej sytuacji - powiedział Mokrzycki. - Ja także nie rozumiem.

- Ale dlaczego Joanna...? W jakim celu..?

- Niezbadane są tajniki duszy kobiecej, panie doktorze.

- No dobrze, ale dostałem dzisiaj list od pana - przypomniał sobie Paweł.

- To nie ja pisałem ten list, to Joanna.

- Joanna?

- Tak. Początkowo prosiła mnie, żebym coś takiego napisał, a kiedy stanowczo odmówiłem, powiedziała, że napisze sama. Przypadkowo mamy bardzo podobny charakter pisma. Sprawa zaszła tak daleko, że uważałem za swój obowiązek pomówić z panem. A propos, czy pan ma przy sobie ten list?

- Mam.

- Czy mógłby mi go pan zwrócić?

- Ależ oczywiście. Bardzo proszę. - Paweł sięgnął do kieszeni i wyjął list. - Proszę. - Spozrzegł, że długie, wypielęgnowane palce profesora, chwyciły pomiętą kopertę trochę zbyt skwapliwie.

Mokrzycki wyprostował się, jakby odzyskanie tego kawałka papieru przyniosło mu ulgę.

- Dziękuję panu, panie doktorze. I mam do pana jeszcze jedną prośbę. Wolałbym, żeby Joanna nie wiedziała o naszym spotkaniu.

- Może pan liczyć na moją dyskrecję - zapewnił Paweł. Mokrzycki obdarzył go czarującym uśmiechem.

- Jest pan bardzo uprzejmy. Dziękuję. - Wyjął portfel, chcąc zapłacić za kawę. - O nie, nie - zaprotestował gwałtownie, widząc, że Paweł sięga do kieszeni. To przecież ja pana zaprosiłem. Pan pozwoli, że załatwię tę drobnostkę.

Paweł miał ochotę jeszcze o coś zapytać, ale spostrzegł, że Mokrzycki zaczął się nagle bardzo śpieszyć. Nie chciał go więc zatrzymywać.

Rozstali się przed kawiarnią. Paweł stał przez chwilę zamyślony. Widział jak mąż Joanny oddała się szybkim, energicznym krokiem i jak wsiada do taksówki.

Zjadł jarski obiad w restauracji „Zdrowie”. Nie czuł smaku spożywanych potraw. Ciągle jeszcze był pod wrażeniem rozmowy z profesorem Mokrzyckim. Właściwie nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Dlaczego Joanna chciała wmówić w niego, że mąż jej jest tak chorobliwie o nią zazdrosny, że urządza sceny, awantury? Dlaczego Mokrzycki polował dzisiaj na niego przed szpitalem? O co mu naprawdę chodziło? Czy rzeczywiście o ten idiotyczny list? Czy można w to uwierzyć, że pisała go Joanna? Wszystko to było co najmniej tajemnicze. Przynależał Mokrzyckiemu, że nie powie o ich spotkaniu Joannie. Czy powinien dotrzymać tego przyrzeczenia? A jeżeli ten facet ma po prostu szmergla i cała ta rozmowa była jedną wielką symulacją? Mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. W takim wypadku raczej powinien by powiedzieć o tym Joannie. Do diabła. Ta cała głupia historia zaczynała się komplikować. Nie znosił takich sytuacji, w których nie wiedział jak ma postąpić.

Zapłacił za obiad i szybkim krokiem ruszył w kierunku Marszałkowskiej. Po drodze kupił bochenek chleba i dwa pęczki rzodkiewek.

Anna już była w domu. Leżała na tapczanie i gryzła czekoladę.

- Tyle czasu siedziałeś w szpitalu?

- Spotkałem znajomego. Poszliśmy na kawę - zaczął się tłumaczyć. - Potem byłem na obiedzie. Tak mi zeszło. Myślałem, że dzisiaj później przyjdiesz.

Anna przestała jeść czekoladę i przyjrzała mu się uważnie.

- Paweł, coś ty taki zdenerwowany?
- Zdenerwowany? Nic podobnego. Zdaje ci się.
- Chodź tu. Usiądź koło mnie. Ociągając się podszedł do tapczanu.
- No siadaj. Coś ty taki mętny? Co się stało? Miałaś jakieś przykrości?
- Nie, nie. Zmęczony jestem. Dotknęła jego ręki.
- Wiesz, że stęskniłam się za tobą. Pocałuj mnie.

Pochylił się nad nią i dotknął wargami jej ust.

W tej chwili nie wiadomo dlaczego stanęła mu przed oczami twarz Joanny. Skojarzenie, którego nie umiał sobie uświadomić.

Widocznie wyczuła w nim jakąś obcość, bo odsunęła się od niego i spytała rzeczowym, beznamiętnym głosem:

- Jak ci poszło dzisiaj w szpitalu?
- Doskonale.
- Operowałeś?
- Daj mi spokój z operacjami - odburknął niezbyt uprzejmie.

Spojrzała na niego niemile zaskoczona.

- Co cię znowu ugryzło?
- Przepraszam cię - powiedział skruszony - ale tak mam dosyć spraw szpitalnych w szpitalu, że już w domu chciałbym mówić o czymś innym.
- Pozwól, że cię jeszcze zapytam, czy Elżbieta przywiozła Krysię na klinikę?
- Przywiozła. Jutro będę operował.
- Jak oceniasz stan Krysi?
- Pozytywnie. Nie przewiduję żadnych komplikacji.
- Wyobrażam sobie, co przeżywa biedna Elżbieta. Muszę do niej zadzwonić.
- Kupiłem rzodkiewki - powiedział Paweł, chcąc zmienić temat rozmowy.
- Ja także. - Roześmiała się. Miała zwyczaj śmiechem rozładowywać niemiłą atmosferę. Przychodziło jej to z tym większą łatwością, że Paweł odznaczał się dużym poczuciem humoru.

Spojrzał na nią pogodniej.

- Było coś ciekawego w sądzie? - spytał.
- E, takie tam zwykłe sprawy. Nic nadzwyczajnego. Wiesz co? Mam ochotę pójść dzisiaj wieczorem do kina. Przejrzyj gazetę.
- Niestety, dzisiaj nie mogę. Mam dyżur w szpitalu.
- Przecież miałaś mieć dopiero w przyszłym tygodniu.

- Tak, ale muszę dzisiaj zastąpić Joannę. Spochmurniała.

- Słuchaj no, Paweł, czy ta Joanna nie ma przypadkiem w stosunku do ciebie zbyt dużych wymagań. W zeszłym tygodniu jeździłeś za nią w jakiejś sprawie do Łodzi, teraz znowu masz za nią mieć nocny dyżur.

- Żadne wymagania. To są zwyczajne koleżeńskie przysługi. Chyba nie jesteś jeszcze ciągle zazdrosna o Joannę?

- Może i jestem.

- Dajże spokój. Tłumaczyłem ci przecież... Przerwała mu energicznie.

- Wiem, wiem. Słyszałam już to wszystko sto razy.

- O co ci właściwie chodzi?

- O nic. Po prostu wołałabym, żeby Joanna mniej się trochę tobą wysługiwała.

- Śmieszna jesteś.

- Może i śmieszna, ale mi się to nie podoba.

- Nie możesz żądać, żebym zerwał stosunki z moimi przyjaciółmi. To są kaprysy. A zresztą ty także masz swoich przyjaciół. Nie miałem pretensji jak poszłaś z tym cymbałem na Juliette Greco.

Poderwała się. Nie mogła od razu zareplikować, gdyż przeszkadzał jej w tym duży kawał czekolady. Wreszcie jednak wyksztusiła:

- Po pierwsze, Marian to nie jest żaden cymbał, tylko bardzo miły chłopak, a po drugie, sam mi zaproponowałeś, żebym z nim poszła. Kupiliśmy bilety, ty nie mogłeś pójść więc... Nie rozumiem dlaczego się czepiasz.

Paweł nagle się roześmiał. Podeszedł do Anny i objął ją w pól.

- A wiesz, że jesteś bardzo ładna, kiedy się złościś. Podobasz mi się. Dajmy spokój tym kłótniom.

- No, kiedy ty zawsze zaczynasz - powiedziała już łagodniej.

- Ja zaczynam? Ja? Przecież to ty rozrabiasz. Wystarczy, żebym wspomniał o Joannie i awantura gotowa.

Położyła mu palec na wargach.

- Daj już spokój, bo wszystko się zacznie od początku. Coś ci zaproponuję. Kupiłam szarlotki z kremem, które tak lubisz. Zrobię herbaty. Chcesz?

- Pewnie, że chcę. Wypili herbatę, zjedli szarlotki, a potem nastavili telewizor. Narzekanie na program telewizyjny było niezawodnym sposobem na likwidowanie niesnasek małżeńskich.

I tym razem system nie zawiódł. Po godzinie patrzenia na mały ekran zapanowała między nimi idealna harmonia. Paweł przekręcił gałkę i powiedział:

- Sprzedam to świństwo. Mam już tego dosyć. - Spojrzał na zegarek. - Przykro mi, kochanie, ale będę musiał niedługo iść. Zadzwoń do ciebie ze szpitala.

- Zaczekaj, naszykuję ci coś do jedzenia. W nocy będziesz głodny.

Wstała z tapczanu i poszła do kuchni. Patrzył za nią z uśmiechem. Za każdym razem konstatował z prawdziwą satysfakcją, że jest bardzo zgrabna.

Zawinęła kanapki w pergaminowy papier. Wsunęła je do plastikowego woreczka i powiedziała:

- Odprowadzę cię do tramwaju.

Niedawno padał deszcz. Powietrze było świeże, wilgotne. Na mokrych chodnikach rozlewało się światło ulicznych latarni.

Anna przytuliła się do męża.

- Bardzo cię lubię.

Nadjechał tramwaj. Pocałował ją pośpiesznie w policzek i wskoczył do drugiego wozu.

W szpitalu Paweł przede wszystkim odwiedził Krysię. Spała spokojnie, oddychając równo, rytmicznie. Teresa, która miała nocny dyżur, powiedziała, że chora przez cały czas czuła się zupełnie dobrze, bóle ustąpiły i nawet nabrała apetytu.

- Kto z panią ma dzisiaj dyżur?

- Marysia. Czy panu doktorowi przynieść herbaty?

- Proszę, ale może trochę później. Jak się czuje ten staruszek na dużej sali?

- Słabo. Prosił o księdza.

- Posłałyście kogoś?

- Poszedł Michał.

Paweł zajrzał do chorych. Najdłużej zatrzymał się przy łóżku starego zegarmistrza, który właściwie już od paru dni dogorywał. Zmierzył puls chorego i do wyschniętej piersi przyłożył stetoskop. Przez chwilę wsłuchiwał się w słabe, arytmiczne uderzenia zamierającego serca. Na pozołkłej twarzy starca pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

- Niech pan da spokój, panie doktorze. Niech pan nie męczy mnie i siebie. Nie warto. Prosiłem, żeby przyszedł do mnie ksiądz. Doktorzy już mi nic nie pomogą.

- Posłano po księdza.

Paweł porozmawiał jeszcze chwilę z siostrą i poszedł do pokoju lekarskiego. Stracił humor. Tyle lat był przecież lekarzem, a jednak śmierć robiła na nim zawsze duże wrażenie. Nie przyznawał się do tego przed nikim, nie przyznawał się do tego nawet przed samym sobą.

Zdjął marynarkę, wyciągnął się na tapczanie i zapaliwszy papierosa, zaczął czytać jakąś powieść kryminalną. Podczas nocnych dyżurów uznawał tylko tego rodzaju lekturę.

Zadzwoił telefon. Jakiś męski głos spytał: - Czy mogę mówić z siostrą Marią?

Paweł wyszedł na korytarz i zawołał: - Siostra Maria do telefonu. - W tej chwili spostrzegł, że z Teresą rozmawia jakiś starszy barczysty mężczyzna w białym fartuchu. - Kto to jest? - spytał.

- A to nowy felczer z urologii - uśmiechnęła się Marysia. - Zakochał się się w naszej Teresce. Stary wariat. Mógłby być jej ojcem.

Rozmowa telefoniczna trwała krótko. Marysia powiedziała: - Dziękuję - i wyszła, nucąc cicho jakąś piosenkę. Paweł wrócił do swego kryminału. W momencie pełnym napięcia rozległo się stukanie do drzwi.

- Proszę - mruknął Paweł, nie odrywając oczu od książki. Weszła siostra Teresa. Niosła na tacy termos z gorącą herbatą, szklanę i cukiernicę.

- Jest herbata dla pana doktora.

- Dziękuję - powiedział nie patrząc na nią i dalej czytał. Po dłuższej chwili doszło do jego świadomości, że ktoś jest w pokoju. Podniósł głowę i zobaczył, że Teresa stoi oparta o drzwi. Oczy dziewczyny błyszczały nienaturalnym, gorączkowym blaskiem.

- Czy ma pani do mnie jakiś interes? - spytał zdziwiony. - Tak.

Powiedziane to było takim tonem, że zaniepokoił się.

- O cóż to chodzi? - spytał.

- Muszę z panem pomówić.

- Proszę, niech pani mówi.

- Pan przecież wie, że ja pana kocham. Ja bez pana żyć nie mogę.

- Bardzo proszę, niech pani nie wraca do tych głupstw - powiedział energicznie.

Podeszła bliżej, oparła ręce o biurko i zbliżyła ku niemu rozpaloną twarz.

- To nie są głupstwa. Ja pana naprawdę kocham. Próbowałam to w sobie zwalczyć, ale nie mogę. Błagam pana, niech mnie pan nie odrzuci. Ja oszaleję, ja zrobię coś strasznego.

Wstał.

- Panno Tereso, ja mam już tego dosyć. Bardzo proszę, żeby pani przestała histeryzować.

- Nie podobam się panu - powiedziała ze łzami w oczach. - Nie jestem przecież taka brzydka.

- Nie, nie jest pani brzydka.

- Więc dlaczego, dlaczego pan odtrąca moją miłość? Niecierpliwie wzruszył ramionami.

- Niechże pani da spokój. Jestem żonaty, kocham żonę i nie mam ochoty na żadne romanse.

Spojrzała na niego błagalnie.

- Ja przecież wcale nie żądam, żeby pan dla mnie rozchodził się z żoną. Chcę być pańską kochanką, chcę mieć z panem dziecko.

Paweł spojrzał na nią osłupiały.

- Co pani wygaduje?

- Tak. Chcę mieć z panem dziecko, bo pan jest wspaniałym człowiekiem, najwspanialszym jakiego w życiu spotkałam.

Przygryzł wargi. Bał się, że lada chwila, wybuchnie śmiechem.

- Wie pani co? Coś pani doradzę. Niech pani pójdzie do neurologa i niech pani jak najprędzej znajdzie sobie męża.

Wyprostowała się. W oczach jej błysnął gniew.

- Pożałuje pan tego - syknęła przez zaciśnięte zęby. Wyszła zamykając energicznie drzwi za sobą.

- Idiotka - mruknął i wrócił na tapczan. Sięgnął po kryminał, ale zdołał przeczytać zaledwie kilka stron, gdy wbiegła bez pukania siostra Maria.

- Panie doktorze, prędko. Zdaje się, że ten staruszek umiera.

Zerwał się.

- Już idę. Niech pani przyszykuje adrenalinę.

Stary zegarmistrz leżał na wznak z głową odrzuconą do tyłu. Oczy miał na wpół przymknięte. Naciągnięta na kościach policzkowych poółkła skóra wydawała się jeszcze bardziej przezroczysta. Otwarte usta z trudem chwyciły powietrze.

Paweł wiedział, że to już koniec, ale kazał zrobić zastrzyk z adrenaliny i z kamfory. Obowiązek lekarski nie pozwala spokojnie umrzeć człowiekowi. Do końca za wszelką cenę trzeba utrzymywać życie, choćby to było zupełnie beznadziejne, choćby to tylko przedłużało męki konania.

Starzec z wysiłkiem poruszył głową, jakby chciał prosić, żeby mu dano spokój. Siostra Maria energicznym ruchem wbiła igłę w zwiotczałe, stygnące ciało.

- Nie doczeka rana - szepnęła.

Paweł poczuł, że ktoś stoi za nim. Odwrócił się. Zobaczył człowieka w sutannie. Skinął głową księdzu i wyszedł na korytarz. „Coś w rodzaju zmiany warty” - pomyślał. Poszedł do Krysi.

Spała w tej samej pozycji, w jakiej ją zastał z wieczoru. Drobna zaróżowiona od snu twarzyczka miała w sobie tyle z dziecięcej bezradności, że aż go to wzruszyło. Rozrzucone włosy złożyły się jasną plamą na poduszce. „Jeżeli ty mnie, wujku, będziesz operował to niczego się nie boję” - zadźwięczały mu w uszach pełne ufności słowa.

ROZDZIAŁ III

Patrzył na nieruchome, drobne ciało. Czuł jak mu tężeją mięśnie twarzy i łzy napływają do oczu. Z trudem poruszył wargami. - Jak to się stało?

Gdzieś jakby z oddali postłyszał głos Joanny: - Porażenie prądem. Odwrócił głowę. Zobaczył jej bladą przerażoną twarz.

- Porażenie prądem?

- Musi być jakiś defekt w koagulacji.

Skoczył do aparatu i zaczął oglądać przewody. Ręce mu drżały. - Zerwane uziemienie! - ryknął. Wyprostował się i przekrwionymi oczami potoczył po obecnych. Najbliżej stał anestezjolog. Paweł chwycił go za gardło i zacisnął palce. - Zerwane uziemienie! - powtórzył w szale rozpaczliwej wściekłości.

Joanna potrząsnęła go za ramiona.

- Paweł, uspokój się! Paweł!

Przeciągnął dłonią po mokrym od potu czole. Zdjął gumowe rękawiczki i wyszedł z sali operacyjnej.

Na korytarzu czekała Elżbieta. Chwyliła go za rękę.

- No i co? Wszystko w porządku, prawda? No powiedz, że wszystko w porządku! - krzyknęła, widząc jego zmienioną twarz. Wyrwał jej się brutalnie. Wybiegł z kliniki. Słyszał, że Joanna woła za nim: - Paweł! Paweł! - Nie zatrzymał się. Na schodach ściągnął z siebie fartuch i rzucił go przechodzącemu posługaczowi.

Ulica była zalana słońcem. Przystanął i zmrużył oczy. Ogarnęło go gwałtowne pragnienie ucieczki. Uciec od wszystkiego i od wszystkich, od szpitala, od sali operacyjnej, od Elżbiety, od Joanny. Iść przed siebie bez celu. Nie myśleć. Zapomnieć. Już nigdy w życiu nie zobaczyć nikogo z tych ludzi.

Całym wysiłkiem woli opanował się. Kupił w kiosku paczkę papierosów i wrócił do szpitala.

W drzwiach kliniki natknął się na Joannę. Wzięła go pod rękę i powiedziała: - Tak mi strasznie przykro. Ale to przecież nie twoja wina.

Odsunął ją od siebie.

- Zostaw mnie.

- Profesor chciał z tobą mówić.

*

Suchański twarz miał skupioną, poważną. Automatycznym gestem wskazał krzesło.

- Niech pan siada.

Przez chwilę milczał. Robiło to takie wrażenie, jakby żaden z nich nie chciał zacząć tej rozmowy. Pierwszy odezwał się Suchański.

- Jak to się właściwie stało, panie kolego?

Paweł z trudem przełknął ślinę. Straszliwie zaschło mu w gardle.

- Przypuszczałem, że będę zmuszony zrobić szerokie cięcie. Kazałem włączyć koagulację.

- Przy przepuklinie? - zdziwił się Suchański.

- Tak. Sprawa była trochę zaniedbana i dlatego...

- Rozumiem, rozumiem - przerwał mu Suchański. - Fatalny zbieg okoliczności.

- O jakim zbiegu okoliczności pan mówi, panie profesorze? - spytał Paweł.

- Mówię o tym porażeniu prądem.

- Uziemienie było zerwane. Suchański poruszył się niecierpliwie.

- No to co z tego? Znam kliniki na których przez dłuższy czas używano koagulacji bez uziemienia, wprawdzie na jednej klinice to się skończyło tragicznie, ale takie wypadki należą do rzadkości. Ma pan ostatnio pecha, panie kolego.

- Nie ulega żadnej wątpliwości, że mam pecha - przyznał Paweł.

Suchański zastanawiał się chwilę zanim spytał:

- Nie sądzi pan chyba, panie kolego, że ktoś naumyślnie zerwał uziemienie?

Paweł był zaskoczony tym pytaniem.

- Naumyślnie? A któżby mógł taką rzecz zrobić naumyślnie?

- Mówiono mi, że pan złapał Majewskiego za gardło Sądziłem więc, że może pan przypuszcza...

- Ależ nie, skądże - zaprzeczył żywo Paweł. - Byłem tak wstrząśnięty tym co się stało, że po prostu straciłem na chwilę panowanie nad sobą. Kolega Majewski stał najbliżej i zapewne dlatego. Bardzo mi przykro, panie profesorze, ale są momenty, kiedy nerwy odmawiają posłuszeństwa. Będę musiał przeprosić kolegę Majewskiego.

Suchański skinął głową.

- Ja myślę. O mało go pan nie udusił. Gdyby nie pani Mokrzycka, mógłby być dzisiaj drugi trup na sali operacyjnej.

- Czy pan ma do mnie jeszcze jakąś sprawę, panie profesorze? - spytał Paweł.

- Nie. Na razie dziękuję panu.

- Ja natomiast mam do pana prośbę.

- Słucham.

- Chciałbym dzisiaj wcześniej wyjść z kliniki.

- Nie mam nic przeciwko temu. Może pan wyjść zaraz. Rozumiem pańskie zdenerwowanie.

Dzień był słoneczny, prawie upalny. Drzewa błyszcząły świeżą niezakurzoną jeszcze zielenią. Ptaki hałasowały wśród gałęzi szpitalnych drzew.

Paweł minął portiernię, izbę przyjęć i wyszedł na ulicę. Włókł się wolno, zmęczonym, starczym krokiem. Nie zastanawiał się dokąd idzie. Nieustannie miał przed oczami obraz spokojnie śpiącego dziecka. W uszach dźwięczały mu pełne naiwnej ufności słowa: „Jeżeli, ty mnie będziesz operował, wujku, to ja się niczego nie boję”. Teoretycznie nie miał sobie nic do wyrzucenia, ale nie mógł pozbyć się myśli, że zawiódł czyjeś zaufanie, że jest winien śmierci tego dziecka. Uczucie to było tak nieznośnie natrętne, tak obsesyjne, że chwilami rodziło się w nim przerażenie. A jeżeli tak będzie zawsze? Jeżeli nie potrafi zapomnieć tego, co się stało?

Wstąpił do jakiejś trzeciorzędnej restauracji i kazał sobie podać setkę wódki.

Kelner przyjrzał mu się podejrzliwie. - A co na zakąskę? - spytał.

- Nic.

Paweł rzadko pił alkohol. Setka zmąciła mu trochę umysł. Poczul się lepiej. Zapłacił i kontynuował swą bezcelową wędrówkę po ulicach. Kiedy wódka przestała działać znowu wstąpił do jakiejś knajpy i znowu wypił setkę. Tym razem zagryzł kawałkiem śledzia.

Mijały godziny. Był coraz bardziej zmęczony i coraz bardziej pijany. Odpoczął na jakimś skwerku. Bał się wrócić do domu. Co powie Annie? Jak ona to przyjmie?

Był już późny wieczór, kiedy znalazł się na Żurawiej. Ostatecznie nie mógł całą noc włóczyć się po ulicach. Zgubił klucz od windy. Z trudem doszedł na czwarte piętro.

Anna otworzyła mu drzwi. Słyszała jego kroki. Była bardzo zdenerwowana, ale zaraz w przedpokoju położyła mu palec na wargach. - Nic nie mów - poprosiła cicho. - Wiem wszystko. Nic nie mów.

Pocałował ją w rękę i poszedł do swego pokoju, w którym pracował i przyjmował pacjentów.

- Będiesz coś jadł? - spytała Anna przez uchylone drzwi.

- Dziękuję. Nie jestem głodny.

- Zmęczyłeś się. Chodź się położyć.

Poszedł za nią posłusznie. Pomogła mu się rozebrać. W nocy po raz pierwszy słyszała jego płacz.

Nazajutrz była niedziela. Anna pojechała do Elżbiety na Mokotów. Paweł nie mógł się na to zdobyć.

Nie namawiała go. Wiedziała, że i dla Elżbiety tak będzie lepiej. Umówili się o trzeciej na obiedzie w „Salusie”.

Ogolił się, wykąpał, a potem słuchał radiowego koncertu życzeń. „Panu doktorowi Janowi Grabowskiemu z Leszna za dokonanie skomplikowanej operacji i uratowanie życia córce naszej Krystynie najserdeczniejsze słowa wdzięczności przesyłają szczęśliwi rodzice, załączając jednocześnie melodię...” - Przekręcił gałkę wstał z tapczanu i zapalił papierosa. Czy kiedykolwiek będzie mógł zapomnieć o tym co się stało? Musiałby chyba zerwać z całym swoim dotychczasowym życiem, znaleźć się w zupełnie nowym środowisku. Przede wszystkim Anna będzie mu nieustannie przypominać tę tragiczną operację. Czy dlatego musi się z nią rozejść? Przecież ją kocha. Ale czy będzie mógł z nią żyć nadal? Śmierć tego dziecka już stanęła pomiędzy nimi. Oboje będą udawać, będą starannie unikać drażliwego tematu. Jak długo to będzie trwało? Czy w ogóle kiedyś się skończy? Wspólnie zbudują gmach milczenia, który będzie ich dzielił coraz bardziej. To prawda, że czas zamazuje wszystko w ludzkiej pamięci. Ale Elżbieta nie zapomni nigdy, a Anna będzie się ciągle widywać ze swoją siostrą. To się nigdy nie skończy. Chyba, żeby zabrał Annę i wyjechał gdzieś na koniec świata. Jako lekarz, jako chirurg da sobie radę wszędzie.

Czy będzie mógł jeszcze operować? Nieufnie przyjrzał się swoim rękom. Czy odważy się kiedykolwiek dotknąć chirurgicznego noża?

Poczuł potrzebę ruchu. Ubrał się pośpiesznie i wyszedł.

Dzień był słoneczny. Po porannym deszczu ogrody pachniały wilgotną zielenią. W Łazienkach odświętnie ubrani ludzie cieszyli się wiosną.

Paweł patrzył na roześmiane, wesołe twarze i nie mógł zrozumieć jak to się właściwie stało, że jeszcze przed kilkoma dniami on sam był wesoły i szczęśliwy. Przed kilkoma dniami, a teraz...? „Ma pan pecha, panie kolego” - zabrzmiały mu w uszach słowa profesora Suchańskiego. Tak, ostatnio miał najwyraźniej pecha. A wszystko to zaczęło się od tej

przekłętej operacji. Nikt nie chciał się tego podjąć. Wszyscy wiedzieli, że to rak i że operacja nic nie pomoże. Ale ten chłopak tak bardzo chciał żyć, błagał, żeby go ratować. Suchański wtedy powiedział: „Jak pan chce niech pan operuje, ale to szkoda czasu”. Postanowił zaryzykować. Myślał, że może da się usunąć zrakowaciąle kiszki. A potem Warzycki. To już było coś zupełnie niezrozumiałego. I wreszcie Krysia. Trzy śmiertelne wypadki w jednym tygodniu. Za dużo, stanowczo za dużo.

- Jak się masz Paweł. Kopę lat.

Szeroka twarz Krasiewicza jaśniała w powitalnym uśmiechu.

- Cześć Marian.

Krasiewicz wziął Pawła pod rękę.

- No, co u ciebie słyhać? Jak Ania? Coś trochę przymizerniałeś.

- Za dużo pracuję - mruknął wymijająco Paweł. - Zmęczony jestem.

Nie lubił Mariana. Uważał go, nie bez racji zresztą, za niebieskiego ptaka. Krasiewicz miał zawsze dużo pieniędzy, ale nikt właściwie nie wiedział, czym się zajmuje i z czego czerpie swe dochody. Jedni mówili, że jest na utrzymaniu jakiejś starszej damy reprezentującej inicjatywę prywatną, inni uważali go za zawodowego szmuglera, a jeszcze inni twierdzili, że to gra w karty przynosi mu znaczne zyski. Był wesoły, dowcipny, inteligentny. Zdobywał sobie bez trudu ludzką sympatię, a szczególnym powodzeniem cieszył się u kobiet. Swego czasu flirtował trochę z Anną, która zawsze miała do niego słabość i lubiła jego towarzystwo.

- Słuchaj no Pawełku. Tyle czasu nie widzieliśmy się, że trzeba oblać to spotkanie. Zapraszam cię na małą przekąskę do „Grand Hotelu”.

Paweł zaczął się wykręcać, mówiąc, że nie jest głodny, że nie ma dużo czasu, ale Krasiewicz nie chciał o niczym słyszeć.

- Chodź, chodź, nie certuj się. Przecież cię zapraszam. Wiem, że służba zdrowia nie opływa w dostatki. Napijemy się po koniaczku, zjemy kawałek jakiejś rybki, czy sałatkę z drobiu, pogadamy. Chodź, jak Boga kocham. Żonki się chyba nie boisz. Ania równa babka, krzywdy ci nie robi. Dostyc już tego spacerku po Łazienkach. Wilgoć tu jak diabli. Jeszcze reumatyzmu dostaniemy.

Nie było rady. Paweł zrezygnował z oporu i ruszyli ku wyjściu. Na rogu Szucha wsiedli w trolejbus. Krasiewicz był niezwykle rozmowny, opowiadał o swoich najnowszych kobietach, o wycieczkach zagranicznych, w których brał udział, wreszcie wybuchnął śmiechem, ponieważ przypomniał mu się jakiś znakomity, według jego mniemania, kawał.

Pochylił się więc do ucha przyjaciela i wyszeptał ową sprośną historyjkę, z której Paweł połowy nie dosłyszał.

Wysiedli na Kruczej i weszli do „Grand Hotelu”. Joanna właśnie odbierała płaszcz z szatni. Towarzyszył jej jakiś starszy pan, niski, dość tęgi, mocno łyrawy. Paweł uklonił się dosyć oficjalnie i wszedł z Krasiewiczem na salę restauracyjną.

- Co to była za babeczka? - spytał Marian, gdy usiedli przy stoliku.

- Profesorowa Mokrzycka. Nie znasz jej?

- Nie. Całkiem możliwa. A ten grubasek to szanowny małżonek?

- Nie. Nie wiem, kto to jest.

Podszedł kelner. Krasiewicz z wprawą stałego bywalca zamówił wódkę eksportową i najrozmaitsze przekąski.

- Miał być tylko kawałeczek rybki i kieliszek koniaku - zaprotestował Paweł.

Marian poklepał go przyjacielsko po plecach.

- Będzie i koniak, będzie - powiedział uspokajająco.

Jeden kieliszeczek koniaku urósł do pół litra eksportowej, a maleńka przekąska zamieniła się w wystawny obiad. Krasiewicz zamawiał najdroższe potrawy, kazał podać oryginalnego „burgunda” do pieczystego i wreszcie przy czarnej kawie pojawiła się na stole butelka „Martela”. Paweł, który nie odznaczał się specjalnie mocną głową i nie był przyzwyczajony do picia, po tym obiedzie ledwie trzymał się na nogach. Zapomniał oczywiście o spotkaniu z Anną.

- Szkoda, że tu twojej szanownej małżonki nie ma z nami - powiedział w pewnej chwili Marian.

Paweł spojrział na niego nieco mętnym wzrokiem.

- Umówiłem się z nią na obiedzie w „Salusie”. Która to godzina?

- Dochodzi czwarta.

- Nie bujaj.

- Słowo daję. Zobacz.

Paweł spojrział na zegarek i zerwał się od stolika.

- Do diabła, przecież ja się na trzecią umówiłem z Anną. Muszę lecieć.

Marian powstrzymał go ruchem ręki.

- Daj spokój. Do tej pory nie siedzi i nie czeka na ciebie w „Salusie”. Zjadła obiad i poszła do domu, albo do jakiejś kумы na plotki. To bardziej prawdopodobne. Teraz już się nie masz co śpieszyć. Napijemy się jeszcze po koniaczku.

Paweł potrząsnął głową.

- Nie, nie, ja już dziękuję. Mam dosyć. Przecież widzisz, że się urznąłem.

- E tam, takie urznięcie - uśmiechnął się Marian i napełnił kieliszki.

Paweł jednak nie chciał pić. Zapalił papierosa i zaciągnąwszy się dymem, powiedział:

- Cholerny rachunek zapłacisz.

Krasiewicz roześmiał się szeroko, pokazując zdrowe, białe zęby.

- Jaki tam rachunek. Śmiechu warte. Użyj jadła, użyj trunku, ale nie myśl o rachunku.

Dobre co? To moja dewiza życiowa.

Paweł pochylił się nad stolikiem i spytał konfidencyjnie:

- Słuchaj Marian, gdzie ty zarabiasz taką ciężką forszę? O ile wiem to nie masz stałej pracy.

Krasiewicz znowu się roześmiał.

- A ty byś chciał, żebym ja siedział na jakiejś posadce? Dobry pomysł. A z czegoż ja bym żył, mój drogi. Ja chcę użyć życia, a nie gnić w jakimś biurze.

- Czasem lepiej gnić w biurze jak gdzie indziej - zauważył Paweł.

Marian nagle spochmurniał.

- Daj spokój. Po co myśleć o przykrych rzeczach. A zresztą jeszcze się taki nie narodził, kto by Krasiewiczowi zaszkodził. Także niezłe powiedzonko, no nie?

- Zupełnie niezłe.

Mimo „niezłego” powiedzonka, Marian zdecydowanie stracił humor. Nadrabiał wprawdzie miną, opowiedział parę kawałów, ale niedawna beztroska zniknęła bez śladu. Co chwilę zamyślał się melancholijnie i z trudem wyrывał się z tej zadumy. Wreszcie poprosił o rachunek.

Dopóki siedzieli przy stoliku, Paweł trzymał się jako tako, gdy jednak znaleźli się na ulicy i owionął ich chłód świeżego powietrza, wypity alkohol rozebrał go całkowicie. Nogi się pod nim ugiwały, w głowie czuł nieznośny szum.

Krasiewicz obrzucił go fachowym spojrzeniem.

- Chyba odprowadzę cię do domu - zdecydował. Drzwi otworzyła im Anna. Była tak zaskoczona ich widokiem, że nie mogła w pierwszej chwili słowa przemówić.

- Przyholowałem ci mężulka - zaśmiał się Marian. - Musisz go nauczyć pić wódkę, bo z takim wykształceniem alkoholowym, to w naszej kochanej ojczyźnie daleko nie zajędzie.

Anna spojrzała na niego niechętnie i powiedziała z gniewem w głosie:

- Nie rozumiem po co go tak spileś?

- Wcale go nie spilem. Skąd mogłem wiedzieć, że on taki słaby w nogach. Nie wypiliśmy znowu tak dużo.

Krasiewicz miał wielką ochotę zaprosić się na szklankę herbaty, ale Anna nie zdradzała najmniejszych oznak gościnności, nie ukrywała również swego złego humoru. Stał więc chwilę w przedpokoju, a następnie pożegnał się i wyszedł. Na schodach donośnym barytonem zaintonował „Ciao, ciao, bambino...”

Paweł zasnął niemal od razu. Nie pamiętał jak Anna pomogła mu się rozebrać i jak kładła mu kompresy z zimnej wody na głowę. Kiedy się rano obudził, czuł się fatalnie. Gorycz w ustach, wyschnięty język, nieznośny ucisk w skroniach. Spostrzegł, że noc spędził na kanapce w gabinecie. Po raz pierwszy od dnia ślubu Anna wyeksmitowała go z małżeńskiego tapczanu. Zrobiło mu się bardzo przykro. Postępując rozprostował obolałe kości i poczłapał do łazienki. Z obrzydzeniem spojrzął na swe odbicie w lustrze. Ohyda. Żółto szara twarz, przekrwione oczy, zmierzwione, posklejane potem włosy. Ogolił się, umył zęby i wziął zimny prysznic. To go trochę otrzeźwiło. Już nie wyglądał tak beznadziejnie. Wrócił do swego pokoju i zaczął się pośpiesznie ubierać. Było dosyć późno.

Anna kończyła przygotowywać w kuchni śniadanie. Pocałował ją z pewnym onieśmieleniem w rękę i powiedział:

- Dzień dobry, Aniu. Bardzo cię przepraszam - dodał ciszej.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Siadaj. Będziesz jadł jajka?

- Nie, dziękuję.

Wypił szklankę mocnej herbaty, zjadł kawałek razowego chleba i wyszedł z domu. Nie pocałował jak zwykle Anny. Powiedział tylko - Do widzenia.

Biegł szybko ulicą. Był wściekły na Mariana, na siebie, na Annę. Po stokroć wolałby, żeby mu zrobiła piekielną awanturę, żeby klęła, krzyczała i aby zwymyślała go od ostatnich. Ale nie, uśmiechnęła się tylko, nic nie mówiła, nie usłyszał od niej ani jednego słowa wymówki. To było bardziej dla niego przykre i upokarzające niż wszelkie obelgi. Zachował się wczoraj jak bydlę, jak skończone bydlę. Umówił się z Anną na obiedzie i zamiast pójść do „Salusa”, chlał wódkę z tym idiotą w „Grand Hotelu”. Czy rzeczywiście zapomniał? Czy nie orientował się, która godzina? Po co oszukiwać samego siebie. Nie zapomniał i doskonale orientował się, która godzina. Po prostu nie miał ochoty spotkać się z Anną, bał się tego spotkania. Wracała od Elżbiety, z którą oczywiście rozmawiała o śmierci Krysi. Nie chciał jeść obiadu z Anną. Wolał udawać przed samym sobą, że wódka i rozmowa z Marianem pozbawiły go wycucia czasu. Po raz pierwszy w życiu nieznośną była mu myśl, że ma zobaczyć Annę, że ma z nią rozmawiać, że ma w jej towarzystwie zjeść obiad.

Kiedy przyjechał do szpitala, od razu poszedł do profesora i poprosił, żeby ktoś go dzisiaj zastąpił przy stole operacyjnym. Suchański zgodził się na to chętnie.

- Tak, tak, oczywiście. Ja również sędzę, że będzie lepiej, jeśli pan sobie przez parę dni odpocznie od operacji. Każdy z nas miewa taką złą passę. Trzeba po prostu przeczekać. Niech się pan tym za bardzo nie przejmuję, panie kolego.

Paweł odetchnął z ulgą. Przeraziła go myśl, że musiałby znowu otworzyć uśpionemu człowiekowi jamę brzuszną. Odwiedził, więc młodego boksera, wypytał go troskliwie o wszystko, a widząc, że chłopak czuje się znakomicie po operacji, odzyskał trochę dobry humor. Na korytarzu spotkał Joannę, która właśnie wyszła z sali operacyjnej.

- Dzień dobry. Co ty dzisiaj tak mizernie wyglądasz?

- Niezbyt dobrze się czuję - powiedział niechętnie.

- Może zaszkodził ci obiad w „Grand Hotelu”, bo mój mąż także coś dzisiaj niewyraźny.

- Twój mąż? - zdziwił się Paweł.

- Tak. Przecież spotkałeś nas, jak wychodziliśmy z „Grand Hotelu”.

Paweł spojrzał na nią zaskoczony, chciał o coś zapytać, ale w tej chwili podeszła do Joanny siostra Zofia, prosząc ją na salę opatrunkową. Popatrzył w ślad za oddalającymi się kobietami. Był zupełnie oszołomiony. Nie mógł zrozumieć, co to wszystko znaczy. Który z tych dwóch starszych panów jest mężem Joanny? Ów wysoki, szczupły bardzo elegancki mężczyzna o bujnej falującej czuprynie niczym nie przypominał łysawego grubaska z „Grand Hotelu”. Dotychczas profesor Mokrzycki był dla niego jakąś mityczną postacią, żyjącą jedynie w opowieściach Joanny. Obecnie ta mityczna postać nabrała realnych, rzecz by nawet można, przesadnie realnych kształtów. Gdyby był spotkał Joannę po wódce wypitej z Marianem, to mógłby ewentualnie sądzić, że pod wpływem alkoholu uległ jakiejś halucynacji, ale przecież wtedy był zupełnie trzeźwy i nie mógł mieć żadnych wątpliwości co do wyglądu mężczyzny, który towarzyszył Joannie. Co się kryło za tą tajemniczą historią? Trudno było przypuszczać, że Joanna postanowiła jakiegoś innego starszego pana zaprezentować jako swojego męża. Dlaczegoż miałyby to robić? W jakim celu?

I wreszcie to nie była taka sztuka zidentyfikować profesora Mokrzyckiego. A jeżeli to był rzeczywiście mąż Joanny, to znaczy, że tamten wysoki podszył się pod cudze nazwisko. Ale po co? Po to, żeby odzyskać tę kartkę z idiotycznymi pogrózkami? Nonsens. A może Joanna żartowała? Może to nie z mężem była w „Grand Hotelu”?

Dręczony, tymi wszystkimi wątpliwościami Paweł doszedł do pokoju lekarzy, porozmawiał chwilę z Kalinowskim, a kiedy w drzwiach pojawiła się Joanna, spytał ją od razu bez żadnych wstępów:

- Czy ty rzeczywiście byłaś ze swoim mężem w „Grand Hotelu”?

Spojrzała na niego zdumiona.

- Jak to - czy rzeczywiście? No przecież nas widziałeś.

- Nie znam twojego męża. To znaczy... Wzruszyła ramionami.

- Nie sądzisz chyba, że chodzę na randki z takimi starszymi jegomościami. Jakbym chciała flirtować, to przygruchałabym sobie jakiegoś młodego chłopaka. Jak ci się zdaje? A w ogóle dlaczego powątpiewasz w to, że byłam na obiedzie w „Grand Hotelu” ze swoim własnym mężem?

Zrobił niewyraźną minę.

- Nie powątpiewam, tylko...

- Tylko co?

Paweł już otwierał usta, żeby opowiedzieć o swoim spotkaniu z siwym gentlemanem, ale w ostatniej chwili zrezygnował z tego zamiaru. Bał się zrobić przykrość Joannie. Sam nie wiedział co ma sądzić o tym wszystkim i nie chciał jej wciągać w jakąś podejrzaną aferę.

Patrzyła na niego wyczekująco.

- No mówże, co masz na wątrobie.

- Nie, właściwie nic... - bąknął niechętnie.

- Paweł, coś ty dzisiaj taki mętny? Kaca masz, czy co?

- To bardzo prawdopodobne - odpowiedział zadowolony, że sama podsunęła mu usprawiedliwienie jego nieudomówień.

Machnęła ręką zniecierpliwiona.

- No to idź spać i nie zwracaj ludziom głowy. Weszła siostra Zofia.

- Pan profesor prosi do siebie pana doktora Szrota. Suchański był tym razem bardzo oficjalny. Nerwowym ruchem poprawił okulary. W jego zazwyczaj łagodnych, dobrotliwych oczach pojawiły się zimne, złe błyski.

- Przykro mi, ale muszę z panem pomówić na niezwykle drażliwy temat.

Paweł niespokojnie poruszył się na krześle.

- Słucham?

Przed chwilą rozmawiałem z siostrą Teresą. - Jak panu wiadomo, to jedna z naszych lepszych pielęgniarek. Czy pan wie z czym ona do mnie przyszła?

- Nie mam pojęcia.

Suchański pośpiesznie zapalił papierosa, jak by w ten sposób chciał pokryć swoje zmieszanie. Widać było, że ta rozmowa sprawia mu wyraźną przykrość.

- Otóż siostra Teresa prosiła mnie - powiedział, łamiąc w palcach zapalkę - żebym przesunął jej jutrzejszy nocny dyżur, ponieważ nie chce dyżurować wtedy kiedy pan ma dyżur.

Paweł poczuł, że gorąca fala krwi uderza mu do głowy.

- Nie rozumiem, panie profesorze. Suchański energicznym ruchem zgasił papierosa.

- Wydaje mi się, że pan to rozumie aż nadto dobrze. Ta dziewczyna skarżyła się, że pan ją napastuje, że chciał ją pan zgwałcić w czasie ostatniego nocnego dyżuru.

- To kłamstwo!

- Nie widzę powodu, dla którego młoda kobieta musiałaby opowiadać takie rzeczy.

- Powód? - zaśmiał się Paweł. - Pan pyta o powód? Otóż niech się pan dowie, panie profesorze, że to nie ja ją, ale ona mnie usiłowała uwieść. Twierdzi, że kocha się we mnie do szaleństwa i że jest gotowa w każdej chwili zostać moją kochanką. Mało tego, oświadczyła mi podczas ostatniego dyżuru, że pragnie mieć ze mną dziecko. Ja oczywiście nie zgodziłem się na te dziwaczne propozycje rozhisteryzowanej dziewczyny. I teraz ona przez zemstę...

Suchański pokręcił głową z powątpiewaniem. Twarz Pawła zbladła gwałtownie.

- Daję panu słowo honoru, panie profesorze, że...

- Dobrze, już dobrze - przerwał Suchański. - Nie mam zamiaru prowadzić śledztwa. Proszę tylko, żeby się to więcej nie powtórzyło. Nie chcę słyszeć o podobnych sprawach na mojej klinice. Rozumie pan, panie doktorze?!

Paweł poczuł, że zaczyna go zalewać fala bezsilnej wściekłości.

- Zdawało mi się, że zasłużyłem sobie na większe zaufanie - powiedział z trudem panując nad sobą. - Ale jeżeli pan, profesorze, bardziej wierzy rozhisteryzowanej pannicy aniżeli mnie, to na to nie mam rady. Żegnam.

- Co się znowu stało? - spytała Joanna, widząc zarumienioną twarz Pawła.

Machnął ręką niecierpliwie.

- Nic, nic. Trzymajcie się ciepło. Do widzenia. Pośpiesznie narzucił płaszcz i wybiegł z pokoju.

Na schodach spostrzegł Teresę rozmawiającą z felczerem z urologii. Miał szaloną ochotę chwycić ją za włosy i z całej siły wytrząsnąć po twarzy. Powstrzymał się dosłownie w ostatniej chwili. Syknął tylko przez zaciśnięte zęby „Zmija” i szybko zbiegł na dół.

Padął deszcz, chłodny wiatr zacinał ostrymi kroplami. Paweł podniósł kołnierz płaszcza i energicznym krokiem ruszył w kierunku przystanku tramwajowego. Dopiero gdy

znalazł się na platformie doczepnego wozu i sięgnął ręką do kieszeni po miesięczny bilet, uświadomił sobie, że właściwie nie wie, gdzie ma jechać. Z Anną nie umówił się, a teraz było za późno, żeby wstępować po nią do sądu. Wysiadł na rogu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich. Zjadł kiepski obiad w barze „Praha” i poszedł do domu.

Anny nie było. W kuchni na stole znalazł kartkę. „Elżbieta źle się czuje. Jadę do niej. Możliwe, że u niej zanocuję. Udało mi się dostać ćwiartkę masła. Jest w lodówce”.

W pierwszej chwili chciał zadzwonić do Anny. Podszedł do telefonu, poniosł słuchawkę, ale zaraz zrezygnował z tego zamiaru. Bał się, że posłyszycie głos Elżbiety. Nie chciał z nią rozmawiać. Znowu stanęła mu przed oczami sala operacyjna i martwe ciało dziewczyny. „To się nigdy nie skończy” pomyślał. „To zniszczy nasze małżeństwo”. Wyciągnął się na tapczanie i zaczął czytać „Express”. Nie mógł jednak skupić myśli na lekturze. Wstał i przekręcił gałkę telewizora. Przez chwilę patrzył na ekran, ale i to zajęcie nie przyniosło mu uspokojenia. Był zdenerwowany. Drażniło go puste mieszkanie, w którym przywykł widzieć krzątającą się Annę. Nagle wszystko tu wydało mu się jakies obce, wrogie, nienawistne.

Te dwa pokoiki bez Anny były dla niego czymś tak nieznośnym, tak dręczącym, że nie mógł tego dłużej znieść. Włożył płaszcz i wyszedł, zamykając za sobą z nerwowym pośpiechem drzwi, tak jakby chciał zostawić za nimi obsesyjne myśli.

Na ulicy przystanął i rozejrzał się niezdecydowany. Gdzie iść, co ze sobą zrobić? Na włóczęgę po ulicach nie miał ochoty. Nie nęciło go także siedzenie w knajpie i samotne picie wódki. Więc co? Może kino? To było chyba najlepsze wyjście z sytuacji. Doszedł do Marszałkowskiej i skręcił w kierunku Pałacu Kultury. Trzy kina, zawsze będzie można coś wybrać.

W „Kongresowej” siedł jakiś film amerykańskiej produkcji. Niestety wszystkie miejsca były już wyprzedane. Przy kasie stała młoda dziewczyna. - Może pan potrzebuje jeden bilet? - spytała.

Przyjrzał jej się uważnie. Była ładna, bardzo zgrabna. Miała ogromne czarne oczy, o aksamitnym połysku i gęste ciemnomiedziane włosy.

- Koleżanka nie mogła przyjść i dlatego - dodała tonem usprawiedliwienia.

Kupił bilet i szybko pobiegł na salę. Do rozpoczęcia seansu brakowało zaledwie parę minut.

Siedział koło dziewczyny o aksamitnych oczach. Spojrzała na niego. Wypadalo coś powiedzieć?

- Miałem szczęście, że panią spotkałem. Inaczej nie byłbym się dostał do kina.

Uśmiechnęła się.

- Cieszę się, że chociaż raz stałam się powodem czyjegoś szczęścia.

- Sądzę, że pani może dać komuś dużo szczęścia. Światła zgasły. Rozległy się psykania. Trzeba było przerwać rozmowę.

Film był sensacyjny. W momencie pełnym napięcia chwyciła go za rękę. Powiedziała

- Przepraszam - i zaraz cofnęła rozpaloną dłoń. Dotknięcie jej palców nie sprawiło mu przykrości.

Z kina wyszli razem. Paweł powiedział:

- Pani zapewne do tramwaju?

- Nie. Przejdę się. To niedaleko. Mieszkam tu, na Hożej.

- O, to idziemy w jednym kierunku - ucieszył się. - Czy pani nie ma nic przeciwko temu, że panią odprowadzę?

- Bardzo proszę.

Kiedy mijali Żurawią, spojrział w swoje okna. Nie paliło się światło. A więc Anna nocuje jednak u Elżbiety. Znowu samotność, znowu puste mieszkanie, znowu ponure myśli.

- Może poszlibyśmy gdzieś na kolację - zaproponował. Zawahała się.

- To jest nawet zupełnie niezły pomysł, ale...

- Żadne „ale” - przerwał jej energicznie. - Trzeba przecież coś zjeść po takim mrozącym krew w żyłach filmie. Może wstąpimy do „Dziedzilii”?

Ani jednak w „Dziedzilii” ani w „Szanghaju” nie znaleźli wolnego stolika. Paweł czuł ogarniające go zniechęcenie. Postanowił zrezygnować z kolacji i wrócić do domu. Dziewczyna, widząc jego skwaszoną minę, powiedziała:

- Wie pan co? Mam pewien pomysł. Zapraszam pana na kolację do siebie. Może nie bardzo to wypada, ale wobec tej przymusowej sytuacji... Mam w domu puszkę gulaszu, sałatę, rzodkiewkę, chleb, masło. Jakoś to będzie. Mieszkam tu zaraz, na Hożej.

Spojrzał na nią spod oka. Nie wyglądała na amatorkę przygód i łatwych zarobków. Ostatecznie nic nie ryzykował.

- Nie wiem czy o tej porze...

- O to niech się pan nie martwi. Mieszkam sama i mogę przyjmować gości o każdej porze. No chodźmy, chodźmy, szkoda czasu. A żeby nam było łatwiej porozumiewać się, to podaję do pańskiej wiadomości, że na imię mi Lena. Na chrzcie świętym dostałam biblijne imię Magdalena.

- Ja także mam biblijne imię - uśmiechnął się Paweł. - Mój imiennik był rodem z Tarsu.

- Paweł i Magdalena to nawet ładnie brzmi - zaśmiała się. - Mógłby to być tytuł jakiegoś romantycznego poematu. O widzi pan. Tutaj mieszkam. Ten różowy dom.

- Dom różowych snów.

- Oboje najwyraźniej jesteście w romantycznym nastroju - powiedziała i wzięła go pod rękę.

Kawalerka była urządzona z dużym smakiem. Szeroki tapczan przykryty ciemnowiśniową narzutą, półki z książkami, małe, zgrabne biurczko, dwa wygodne fotele, stojąca lampa ze złocistym abażurem, na podłodze dywan, a na ścianach wartościowe grafiki.

- Niech pan siada. Zaraz zrobię herbatę.

Paweł usiadł i zapalił papierosa. Pojawiła się refleksja. Zaczął żałować, że tutaj przyszedł. Dziewczyna podobała mu się coraz bardziej, a przecież nie miał zamiaru zdradzać Anny. Zgodził się przyjąć to zaproszenie, nie zastanawiając się nad tym, jakie taka kolacja we dwoje może za sobą pociągnąć skutki.

- O czym pan tak rozmyśla?

Drgnął i roztargnionym spojrzeniem obrzucił Magdaleny.

- Myślę o tym, że jest już bardzo późno i że powinienem pójść do domu.

- Chyba pan żartuje. Kolacja już jest prawie gotowa. Niech mi pan pomoże rozstawić stół.

Posłusznie wykonał polecenie. Przyglądał się ze wzrastającym zainteresowaniem różnym smacznym rzeczom, które, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, pojawiały się na kolorowej serwecie. Świeżutka szynka, pasztet z gęsi, sałatka z majonezem, sardynki, parę gatunków sera, a do tego butelka „Żubrówki”.

- Ależ to prawdziwa uczta! - wykrzyknął zachwycony. Po skromnym obiadku w barze „Prawa” był głodny jak wilk.

Uśmiechnęła się zadowolona z wrażenia, jakie na gościu wywarła jej kolacja.

- Czym chata bogata. Proszę niech się pan częstuje. Napije się pan kieliszek? - I nie czekając na aprobatę naląła wódkę.

Paweł jadł i pił z dużym zapałem. Zapomniał przez chwilę o wszystkich zmartwieniach i kłopotach. Czarnooka dziewczyna była przy bliższym poznaniu tak urocza, tak pełna wdzięku, że patrzył na nią z rosnącym zachwytem. Parę kieliszków wypitej „Żubrówki” nie było oczywiście bez znaczenia.

Gawędzili wesoło o filmach, o teatrze, o współczesnej literaturze. Okazało się, że Magdalena była inteligentną, bystrą dziewczyną, bardzo czytana, mającą ogromne poczucie

humoru. Po którymś tam kieliszku zaproponowała bruderszaft, na co Paweł zgodził się skwapliwie.

- Nie lubię takiej ceremonialnej atmosfery - powiedziała wesoło. Wyszła do kuchni i po chwili wróciła, niosąc czarną kawę i parę kawałków keksu. Znalazła się także butelka wina.

Skorzystała z bruderszaftu, pocałowała go mocno w usta. Zaczynała się robić coraz bardziej przedsiębiorcza. Paweł natomiast był coraz bardziej niespokojny. Nie miał najmniejszego zamiaru dodatkowo komplikować sobie życia i bał się, żeby ta kolacja nie zaprowadziła go za daleko. Czuł, że zaczyna się wytwarzać niebezpieczna sytuacja i że może się stać coś, czego będzie potem żałował. Kiedy więc wypili kawę, wstał i zaczął się żegnać.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Już chcesz uciekać?

- Zrobiło się bardzo późno. Myślę, że czas pójść spać.

- Zaczekaj. Zaraz pościelę tapczan - powiedziała po prostu.

Bąknął coś niewyraźnie. Był zupełnie zbity z tropu. Nie wiedział co ma myśleć o całej tej historii.

Wzięła go za rękę i uśmiechając się przyciągnęła ku sobie. - Nie podobam ci się? - spytała.

- Bardzo mi się podobasz - przyznał szczerze.

- No więc...? Przełknął ślinę.

- Kiedy... widzisz...

- Jesteś bardzo dziwny facet. Co się z tobą dzieje? Zaczekaj chwilę. - Wyszła do łazienki i po paru minutach stanęła przed nim zupełnie naga. Objęła go za szyję. W tym momencie posłyszał jakby trzask otwieranych drzwi. To go otrzeźwiło. Uwolnił się z jej objęć, chwycił płaszcz i wybiegł z mieszkania.

ROZDZIAŁ IV

Rano przyszła Anna. Po nieprzespanej nocy była zmęczona i mizerna. - Co się z tobą działo? - spytała, zdejmując płaszcz: - Telefonowałam do ciebie wieczorem, nikt nie odbierał.

Paweł golił się w łazience. - Byłem w kinie - powiedział.

- W kinie? - Drugi raz zadzwoniłam po jedenastej. Też cię nie było.

- Spotkałem znajomego. Poszliśmy, na kolację.

- Znowu piłeś.

Odwrócił się od lustra. Miał jeszcze resztki mydła na policzkach.

- Nie, nie piłem, a w ogóle daj mi święty spokój. Dostyc mam, już tej ciągłej kontroli.

Podeszła do niego i spojrzała mu w oczy.

- Paweł, co się z tobą dzieje?

Chwycił żyletkę, udając że kończy się golić.

- Nic się ze mną nie dzieje, tylko czasem drażni mnie to gadanie, te pytania „piłeś nie piłeś? Co się z tobą działo? Dlaczego cię nie było w domu?”

Cofnęła się zaskoczona jego słowami.

- Wydaje mi się - powiedziała, siląc się na spokój - wydaje mi się, że to jest zupełnie naturalne. Czy uważasz, że w ogóle nie powinnam się tobą interesować?

- Nie męcz mnie - mruknął i znowu zaczął sobie namydlać twarz. - Nie jestem w tej chwili w nastroju do dyskusji.

- Ty w ogóle jesteś teraz w bardzo dziwnym nastroju. - Zapaliła gaz i zaczęła przygotowywać śniadanie. - Uważaj, żeby to wszystko źle się nie skończyło.

- Straszysz mnie?

- Nie mam zamiaru cię straszyć, tylko chciałabym, żebyś sobie zdał sprawę z pewnych rzeczy.

- Zdaję sobie sprawę z pewnych rzeczy - powtórzył ze złością i zamknął drzwi od łazienki.

Przy śniadaniu Anna powiedziała:

- Czy wiesz, że Elżbiecie trzeba będzie wykombinować jakieś sanatorium? Myślę, że najlepiej chyba byłoby ją wysłać do Nałęczowa.

Paweł spochmurniał jeszcze bardziej.

- I ja też tak myślę.

Nie dokończył śniadania, wstał, pocałował Annę w czoło i wyszedł. Był w fatalnym nastroju. Jasno zdawał sobie sprawę z tego, że ich małżeństwu grozi poważne niebezpieczeństwo, które w zastraszającym tempie rośnie z dnia na dzień. Kłamstwo, brak zaufania, podejrzliwość, niechęć niepostrzeżenie wkradły się do ich domu. „Uważaj, żeby to się źle nie skończyło” dźwięczały mu w uszach słowa Anny. Wiedział, że to nie były ciche słowa i że to rzeczywiście może się źle skończyć. Wsunął, rękę do kieszeni płaszcza, chcąc wyjąć chustkę do nosa, i nagle pod palcami poczuł rękawiczki. Były to damskie rękawiczki z ciemnobrązowego zamszu. W tej chwili przypomniał sobie wczorajszą kolację na Hożej. Tak, to na pewno Magdalena przez pomyłkę włożyła rękawiczki do jego kieszeni. Oboje mieli identyczne płaszcze z brązowego ortalionu. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze chwilę czasu. Postanowił zająć na Hożę i oddać rękawiczki Magdalenie. Chciał ją zobaczyć. Był ciekaw jak

go dziś przyjmie. Po wczorajszej ucieczce na pewno nie była do niego zbyt dobrze usposobiona.

Różowy dom odnalazł bez trudu, ale zaraz pojawiły się wątpliwości. Która klatka? Zdaje się, że pierwsza, a może druga? Które piętro? Trzecie czy czwarte? Wczoraj wieczorem tak był zajęty rozmową z czarnooką dziewczyną, że nie zwracał uwagi na te szczegóły. Szedł za nią i nie starał się zapamiętać piętra czy numeru mieszkania.

Wszedł do pierwszej klatki schodowej i pojechał windą na trzecie piętro. Tak to chyba tutaj. Zadzwoił. Po chwili rozległo się w głębi mieszkania ciężkie człapanie i drzwi otworzyła zaspana staruszka. Pan do kogo? - spytała zdziwiona.

Paweł uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Bardzo przepraszam. Pomyliłem się.

Zszedł na dół i stanął niezdecydowany. Co robić? Jak znaleźć Magdalenę? Nie znał nawet jej nazwiska. Przedstawiła mu się wprawdzie, ale, jak to zwykle bywa w takich wypadkach, nie dosłyszał. Rosnące trudności podnieciły jego energię. Systematycznie przeszedł wszystkie klatki schodowe, uważnie studiując listę lokatorów. Nareszcie znalazł: Magdalena Krzywicka, czwarte piętro. Zadowolony wszedł do windy.

Szczęknięła zasuwa i w drzwiach ukazał się starszy, zupełnie łysy mężczyzna, opierający się na kulach.

- Czego pan sobie życzy?

- Chciałbym się widzieć z panną Magdaleną - bąknął niepewnie Paweł, chociaż jeden rzut oka w głąb przedpokoju wystarczył, aby się przekonać o tym, że to nie jest wczorajsza kawalerka.

- Magdalenko! - zawołał potężnym basem człowiek bez nogi. - Jakiś pan do ciebie.

Wybiegła do przedpokoju. Była niska i miała włosy ufarbowane na fioletowo. Spojrzała ze zdziwieniem na niespodziewanego gościa,

- Pan do mnie?

Paweł potrząsnął głową.

- Nie, nie do pani. Bardzo przepraszam.

Należało pomówić z dozorcą. To była jedyna możliwość znalezienia prawdziwej Magdaleny.

Dozorca, mężczyzna w średnim wieku, o uczynnym wyrazie twarzy, przyjrzał się początkowo nieufnie porannemu wędrowcowi, następnie zaś wysłuchał uważnie, o co chodzi i zamyślił się. - Magdalena, Magdalena... Powiada pan, że wysoka, i przystojna brunetka.

- Nawet bardzo ładna - pośpiesznie sprostował Paweł. Dozorca pokręcił głową.

- Bardzo ładna brunetka? Nie, proszę pana, taka w tym bloku nie mieszka.

- Jest pan tego pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien. Znam chyba swoich lokatorów.

Nie było sensu tracić czasu na bezprzedmiotową rozmowę. Paweł podziękował sympatycznemu dozorczy, powiedział - Do widzenia - i ruszył w kierunku Marszałkowskiej.

W szpitalu oczekiwała go tragiczna wiadomość. Bartosik umarł w nocy. Paweł nie chciał wierzyć.

- Jak to umarł? Dlaczego? Co się stało?

- Nie wiadomo dlaczego. Umarł. Chyba serce - padała niezmienna odpowiedź.

- Jak to serce?! - krzyczał Paweł. - To był zdrowy, młody chłopak. Wczoraj go badałem. Serce miał jak dzwon.

Nikt nie potrafił powiedzieć, dlaczego to się stało. Fakt jednak pozostawał faktem, że młody bokser nie żył.

Paweł oszalał. Biegał po klinice, kłął, wymyślał i awanturował się ze wszystkimi.

- Uspokój się - powiedziała Joanna. - To, że będziesz się zachowywał jak wariat, niczego nie zmieni.

Spojrzał na nią na wpół przytomnie.

- Ale dlaczego? Dlaczego? - jęknął. Wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem dlaczego.

- Która z sióstr miała nocny dyżur?

- Teresa.

- Jest jeszcze?

- Widziałam ją przed chwilą.

- Muszę z nią zaraz pomówić.

Teresa unikała jego wzroku. Spytała bardzo oficjalnie:

- Czym mogę panu służyć, panie doktorze?

- Chciałbym, żeby mi pani opowiedziała, jak to się stało.

- Jak się stało co?

Zrobił niecierpliwy ruch rękami.

- No jak to się stało, że umarł ten chłopak?

- Po prostu umarł - powiedziała z zimną obojętnością. - Umarł tak, jak umarli poprzedni pańscy pacjenci, panie doktorze.

Wyczuł w jej głosie ledwie uchwytną nutę drwiny. Miał ogromną ochotę zwymyślać ją od ostatnich, ale opanował się.

- Kiedy pani stwierdziła, że chory nie żyje?
- Jak weszłam do pokoju, w którym leżał.
- O której to było godzinie?
- Było już chyba po dwunastej.
- Dlaczego mnie pani natychmiast nie zawiadomiła?
- Dzwoniłam do pana, ale nikt nie odbierał telefonu. Zresztą i tak nic by pan nie pomógł. Doktor Kalinowski miał dyżur. Przyszedł, skonstatował zgon i to wszystko.
- Czy chory skarżył się przedtem na coś.
- Nie.

- Więc dlaczego zmarł, do wszystkich diabłów?! - krzyknął Paweł nie panując już nad sobą. Zimne, beznamietne odpowiedzi tej dziewczyny doprowadzały go do szału.

Spojrzała na niego pogardliwie.

- A skąd ja mam wiedzieć dlaczego chory umarł? Nie jestem przecież lekarzem.

Odwrócił się i odszedł bez słowa. Miał dosyć tej idiotycznej rozmowy.

Profesor Suchański także był bardzo rozdrażniony. Śmiertelne wypadki, które ostatnio zaczęły się mnożyć na jego klinice, wyprowadziły go z równowagi. Najgorsze w tej całej sprawie było to, że właściwie nie można było nikomu nic zarzucić. Raz jeszcze uważnie wysłuchał relacji na temat śmierci młodego boksera, wypytyując o szczegóły.

Paweł dokładnie opowiedział o przebiegu operacji, podkreślając, iż otoczył tego pacjenta specjalną opieką, odwiedzał go parę razy dziennie i nie miał najmniejszych obaw co do stanu jego zdrowia. Rana goiła się prawidłowo, serce pracowało bez zarzutu.

- Więc pan nawet się nie domyśla, co mogło spowodować śmierć tego człowieka? - spytał Suchański.

- Nie mam pojęcia. Jestem całkowicie zaskoczony tym co się stało. Jeżeli tak dalej pójdzie, panie profesorze, to będę musiał chyba zrezygnować z pracy w szpitalu, a może w ogóle z praktyki lekarskiej. Myślałem już nawet o wyjeździe z Warszawy.

- A propos - podchwycił Suchański. - Jeśli chodzi o ten zjazd w Waszyngtonie, to sądzę, że przy obecnym stanie pańskich nerwów...

- Ma pan rację - przerwał Paweł. - Nie pojedę.

Twarz Suchańskiego rozjaśniła się przyjacielskim uśmiechem. Doznał uczucia ulgi. Rad był niezmiernie, że to przeszło tak gładko.

- Cieszę się, że jesteśmy jednego zdania, panie doktorze. Mam nadzieję, że przetrzyma pan jakoś tę złą passę i że się wszystko w końcu dobrze ułoży. Życzę powodzenia.

Przez następnych parę dni Paweł chodził jak nieprzytomny. Nie mógł pogodzić się ze śmiercią tego chłopaka. Nieustannie miał przed oczami pełną ufności twarz wąsatego rzemieślnika i jego nieśmiałą, zahukaną żonę. Co się stało? Dlaczego? Sekcja zwłok nic nie wykazała, nic takiego, co mogłoby nasunąć jakieś podejrzenia. Paweł czuł coraz wyraźniej, że znajduje się w jakiejś matni, w jakimś zamkniętym kręgu wydarzeń, których nie rozumie, które na próżno stara się rozszyfrować. Bezradnie przyglądał się swoim rękom. Tracił zaufanie do samego siebie. Nie wiedział co robić, jak się ratować.

Z Anną widywał się teraz rzadko. Rano siedziała w sądzie, a po obiedzie przeważnie jechała do Elżbiety, albo przyjmowała w zespole klientów.

Stosunki między nimi ułożyły się poprawnie, ale zniknęła dawna szczerą, pogodną bezpośredniość. Przeszli też razem chodzić na obiady. W towarzystwie Anny Paweł był wyraźnie skrępowany. Jej wizyty u Elżbiety przypominały mu nieustannie ową fatalną operację, a jednocześnie czuł się nie w porządku z powodu wieczoru spędzonego w towarzystwie tajemniczej Magdaleny.

Co gorsza śniła mu się po nocach. Parę razy jeszcze próbował ją odnaleźć, chodził na Hożą, zaglądał do różnych mieszkań, ale na próżno. Nikt o takiej dziewczynie w tym domu nie słyszał.

Pewnego dnia, kiedy siedział samotnie w mieszkaniu i patrzył bezmyślnie na ekran telewizora, zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się nieznany, schrypnięty, męski głos: - Czy pan doktor Szrot? Chciałbym z panem porozmawiać w sprawie Magdaleny. Czekam na pana w „Kopciuszku”. Pan mnie nie znasz, ale ja pana znam. Siedź pan przy wolnym stoliku. Podejdę do pana. Tylko gębę na kłódkę i nikomu ani słowa o naszym spotkaniu. Przychodź pan.

- Halo - powiedział Paweł, ale tamten już odwiesił słuchawkę. Co robić? Iść czy nie iść? Co oznaczał ten telefon? Skąd facet może wiedzieć, że on i Magdalena...? Sądząc z timbru głosu i ze sposobu mówienia, nietrudno było się domyśleć, że to bandzior. Może lepiej zostać w domu i nie wdawać się w jakąś podejrzaną aferę. Chodził przez pewien czas zdenerwowany po mieszkaniu, ale wreszcie ciekawość przemogła. Ubrał się i wyszedł.

W „Kopciuszku” znalazł wolny stolik pod ścianą. Usiadł i zamówił kawę. Zaledwie kelnerka odeszła, posłyszał tuż za sobą znany mu już z rozmowy telefonicznej chropowaty głos. - Dzień dobry, panie doktorze. - Podniósł głowę. To, co zobaczył, nie było zachęcające... Średniego wzrostu młody mężczyzna, o kwadratowej, pokrytej czerwonymi pryszczami twarzy. Małe, wąskie oczka błyszczały sprytem i przebiegłością. Nieznajomy miał na sobie

żałobny, czarny garnitur, ożywiony jasnoniebieską koszulą. Wyglądał jak rzeźnik wracający z pogrzebu.

Odsunął krzesło i, nie czekając na zaproszenie, usiadł. Zaraz też zaczął mówić, pochylając się konfidencjonalnie nad stolikiem.

- Widzisz pan, sprawa jest przykra. Lenka wpadła wczoraj wieczorem na granicy. Siedzi. Trzeba ją wyciągnąć z młyna i to galopem. Forsa jest potrzebna.

- Nie rozumiem czego pan chce ode mnie? - powiedział zaskoczony Paweł. - Co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

Pryszczaty przymrużył lewe oko i powiedział domyślnie:

- Wspólnego? Może by się i coś wspólnego znalazło. Samo zdjęcie nas o tym poucza.

- Jakie zdjęcie?

- Jakie? O takie. - Wyjął z kieszeni marynarki fotografię. - Niech pan rzuci okiem, panie doktorze.

Paweł spojrział i zbladł. Tamten zarechotał z uciechy.

- Gustowna fotografijka, jak pragnę Boga. No nie? Trzymasz pan gołą Magdalenkę, jak na filmie. Kto spojrzy na to zdjęcie, to chyba nie będzie miał wątpliwości, że zapyta, czy było co wspólnego? A jakby tak pani mecenas, to znaczy szanowna małżonka, zobaczyła taki numer, to mogłaby być bardzo przykra sprawa. Nie mówię już o tym, że jakby takie zdjęcie do milicji, albo do jakiego starszego ubowca trafiło, to cholera wie... Magdalenka w taką jedną paskudną sprawę się zamieszała. Tak mi się zdaje, że dla pana doktora byłoby lepiej, żeby takiej fotografii nikt nie oglądał.

- Czego pan chce ode mnie? - wykrztusił Paweł.

- Czego? A jak się panu zdaje? Przecież nie bukiecika stokrotek.

- Ile?

- Tanio jak barszcz. Dasz pan pięćdziesiąt patyków i sprawa będzie zlikwidowana.

Paweł spojrział przerażony.

- Pięćdziesiąt tysięcy? Pan chyba zwariował. Skądże ja wezmę tyle pieniędzy?

Człowiek o czerwonej twarzy rozłożył ręce.

- To już nie moja sprawa. Pięćdziesiąt patyków i ani grosza mniej. Od razu powiedziałem mało, żeby się nie targować. Jak kto chce z takimi czarnulkami jeść kolacyjki, to później trzeba bulić. Nie ma rady, panie doktorze.

- Ale jaką ja mam gwarancję? - spytał cicho Paweł.

- O właśnie. Bardzo mądre pytanie. Lubię takie handlowe podejście do rzeczy. W zamian za gotówkę otrzyma pan negatyw tego zdjęcia oraz wszystkie odbitki, jakie zostały

wykonane. Na razie mamy ich tylko cztery. A żeby pan miał już zupełną pewność, to mam tutaj w kieszeni oświadczenia napisane przez Magdalенę, że zdjęcie to zostało wykonane bez wiedzy pana, że między panem a nią nic nie było i że zrobiono z pana tak zwanego balona. Podpis Magdaleny rejentalnie poświadczony. Jak pan widzi, wszystko zostało przewidziane. Mucha nie siada.

- Skądże ja wezmę tyle pieniędzy? - powtórzył z rozpaczą Paweł.

- Panie doktorze, co my tu będziemy w kółko gadać jedno i to samo. Daję panu trzy dni czasu. Zbierze pan gotóweczkę, ja do pana za trzy dni zatelefonuję, spotkamy się, załatwimy interes i wszystko będzie w porządeczku.

Radzę tylko, żeby pan nie próbował rozmawiać na ten temat z milicją. Bardzo by się to przykro dla pana skończyło. Może mi pan wierzyć. Do widzenia. Ciao.

Paweł został sam. Przez chwilę wodził na wpół przytomnym spojrzeniem po zatłoczonej, zadymionej sali. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko stało się naprawdę, że rzeczywiście rozmawiał z tym podejrzanym typem i że on mu powiedział to, co powiedział. Cała ta historia była tak nieprawdopodobna, tak nierealna, tak pozbawiona sensu, że trudno było traktować ją poważnie, a jednak...

Zapłacił za kawę, wstał i wyszedł z kawiarni. Po pierwszym oszołomieniu zaczął się trzeźwo zastanawiać nad sytuacją. Było rzeczą niewątpliwą, iż nie mógł dopuścić do skandalu. Ludzie, którzy mają w swym posiadaniu to zdjęcie, nie cofną się przed niczym. Co do tego nie można było mieć złudzeń. Jak się bronić? Pieniądze, tylko pieniądze. Trzeba było zdobyć pięćdziesiąt tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy w przeciągu trzech dni. To nie było łatwe zadanie. Skąd wziąć taką sumę? Pożyczyć? Ale gdzie, od kogo? Kto w Warszawie może mi pożyczyć pięćdziesiąt tysięcy złotych? Koledzy po fachu? Nonsens. To przecież wszystko dziady, dla których sto złotych jest już poważną kwotą. Rodzina? Bliższej rodziny nie miał żadnej, a jacyś dalsi kuzyni nie wchodzili w rachubę. Każdy z nich z przyjemnością od niego pożyczylby parę złotych. Nie ma o czym mówić.

Wrócił do domu. Anny jeszcze nie było. Wziął zeszyt, w którym notował telefony znajomych i zaczął go uważnie przeglądać. Bardzo prędko jednak zniechęcił się do tego zajęcia. Żaden z tych ludzi nie był w stanie pożyczyć mu pięćdziesięciu tysięcy. To były zupełnie nierealne poszukiwania. Co robić? Trzy dni szybko zlecia. Jakież ma szanse, że jutro czy pojutrze zdobędzie te pieniądze? Zadzwoił telefon. Paweł niechętnym ruchem podniósł słuchawkę. Od razu poznał głos Mariana.

- Cześć, Pawełku. Co u ciebie? Co porabiasz?

- Cieszę się, że dzwoniisz. Właśnie myślałem o tobie - skłamał Paweł. - Bardzo chętnie zobaczyłbym się z tobą.

- Nic łatwiejszego. Mam ochotę coś zjeść. Pójdiesz ze mną gdzieś na kolację?

- Bardzo chętnie. - Paweł odzyskał dobry humor. Marian był chyba jedynym człowiekiem, który mógł mu pomóc w tej sytuacji.

Spotkali się w „Polonii”. Krasiewicz jak zwykle starannie, ubrany, gładko wygolony, pachnący wodą kolońską. Zamówił kolację i spytał: - Jarzębiak czy czysta? - Paweł jednak odmówił stanowczo, oświadczając, że będzie pił tylko sok pomidorowy.

- O, do licha, ale cię Ania wzięła w ryzy. Musiała ci dać niezły wycisk po naszej ostatniej popijawie. No, ale jak nie, to nie. Nie namawiam. Niech będzie soczek. Przy tobie i ja przeprowadzę kurację antyalkoholową.

Gawędzili wesoło, przeskakując z tematu, na temat. Marian opowiedział przyjacielowi o swojej ostatniej przygodzie romantycznej i o wynikających stąd kłopotach. Tym razem jego bogdanką była mężatka, a mąż, oficer, znakomicie strzelał z pistoletu. W związku z tą sytuacją Marian, rozważał dwie ewentualności: albo zerwać z ukochaną, albo zacząć nosić pod koszulą stalową kolczugę. Ponieważ zbliżało się lato, pierwsza koncepcja wydawała się słuszniejsza.

Paweł z roztargnieniem słuchał tych zwierzeń i żartów, które nie były najprzedniejszego gatunku. Zazwyczaj z pogodną rezygnacją wysłuchiwał gadaniny Mariana, uważającego się za człowieka obdarzonego przez naturę błyskotliwym dowcipem. Tym razem z trudem panował nad ogarniającym go zniecierpliwieniem. Nie wiedział, jak zacząć rozmowę na temat, który go w danej chwili najwięcej interesował. Kiedy kelner podał kawę, powiedział:

- Wiesz Marian, że miałbym do ciebie ogromną prośbę.

- Słucham. Mów. Dla ciebie zrobię wszystko.

- Potrzebuję pieniędzy.

- Dużo?

- Sporo. Pięćdziesiąt tysięcy. Marian nagle spowaźniał.

- Pięćdziesiąt tysięcy? To kupa forsy. Sądziłeś, że ja...?

- Wiem, że ci się nieźle powodzi...

- No owszem, nieźle, ale pięćdziesiąt patyków... Na co ci tyle?

- Taka przykra sprawa - powiedział wymijająco Paweł. - Nie chciałbym mówić na ten temat. Mam nóż na gardle.

Marian zamyślił się.

- Hm. To skomplikowane. Z całego serca chciałbym ci pomóc, ale nie mam tyle forsy. Ostatnio inwestowałem niewielki kapitalik w taką jedną imprezę, która nie bardzo wyszła. Sam w tej chwili jestem w kłopotach finansowych.

Paweł uśmiechnął się, udając, że odmowa Mariana nie zrobiła na nim większego wrażenia.

- Dajmy temu spokój. Jakoś sobie inaczej poradzę. Tak sobie powiedziałem, bo sądziłem, że może masz trochę wolnej gotówki.

Zaczęli mówić o czym innym. Po chwili jednak Krasiewicz znowu wrócił do tego tematu.

- Cholera jasna, nie masz pojęcia, jak mi przykro, że nie mogę ci pożyczyć takiej sumy, ale akurat taki fatalny moment. Widziałbym wprawdzie pewną możliwość zdobycia trochę forsy, ale ty na to nie pójdziesz.

- Co to takiego? - zainteresował się Paweł.

- Widzisz, sprawa jest tego rodzaju - Marian pochylił się ku przyjacielowi i zniżył głos. - Parę dni temu poznałem jednego faceta, który przyjechał tutaj z Londynu. Zateśknił za ojczystymi stronami i wrócił na stałe. Nadziany forszą, jak wszyscy diabli. Ogromna fortuna. Otóż ten zagraniczny rodak przeżył bardzo ciężkie chwile w czasie wojny, leżał blisko dwa lata w szpitalu, lekarze podejrzewali, że ma raka, potem okazało się, że to nie rak. Jednym słowem bardzo cierpiał, dawano mu morfinę, od której do dzisiejszego dnia trudno mu się odzwyczaić. Prosił mnie, żebym mu od znajomego lekarza dostarczył kilka recept, za co gotów jest dobrze, a nawet bardzo dobrze zapłacić. Sądzę, że chętnie dałby za taką przysługę około stu tysięcy. Zresztą to dla niego żadne pieniądze, tak jak dla ciebie dwadzieścia groszy. Tak mi się to w tej chwili przypomniało, ale oczywiście ja ci tego nie proponuję. Wiem, że to nie dla ciebie.

- Masz rację, to nie dla mnie - powiedział Paweł.

Krasiewicz kiwnął na kelnera i zapłacił rachunek. Wyszli. Na rogu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej Paweł wyciągnął rękę na pożegnanie. - Cześć.

Anna już spała, albo udawała, że śpi. Rozebrał się cicho i, nie zapalając światła, wsunął się pod kołdrę.

Leżał z otwartymi oczami. Podłożył ręce pod głowę i patrzył w jasny prostokąt okna. Żłotawą zasłonę przebijało światło ulicznej latarni. Długo nie mógł zasnąć. Myślał o tym, skąd wziąć pięćdziesiąt tysięcy.

Przy śniadaniu Anna próbowała nawiązać rozmowę, ale Paweł był ponury i milczący. Odpowiadał półsłówkami, jadł pośpiesznie, unikał wzroku żony. Odetchnął z ulgą, kiedy się wreszcie znalazł na ulicy.

Jadąc do szpitala po raz setny zastanawiał się nad tym, w jaki sposób zdobyć pieniądze i po raz setny doszedł do przekonania, że nie zna człowieka, który pożyczyłby mu taką sumę. Wuj Anny, mecenas Cichowski, był bardzo zamożnym człowiekiem, ale przecież nie mógł zwrócić się do niego o pomoc. Musiałby powiedzieć na co mu są potrzebne pieniądze. Anna dowiedziałaby się o tym. Nie, nie, to absolutnie nie miało sensu.

W szpitalu znowu zobaczył felczera z urologii, rozmawiającego z Teresą. Ogarnęła go złość. Nie był przecież zazdrosny. Nie miał zamiaru nawiązywać flirtu z tą dziewczyną, ale sam fakt, że była w nim zakochana sprawiał, iż w pewien sposób przynależała do niego i widok obcego mężczyzny, kręcącego się koło niej, wyraźnie go drażnił. Wiedział, że to nie ma sensu i był zły na siebie.

W pokoju lekarzy zastał Joannę.

- Co tak późno, przyszedłeś? - spytała.

- Nie operuję dzisiaj.

- Ty już od jakiegoś czasu nie operujesz. Paweł wzruszył ramionami.

- Cóż chcesz? Umiera mi jeden pacjent po drugim. Tracę zaufanie do samego siebie.

Zaczynam się bać.

Joanna podeszła do niego, położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała serdecznie:

- Nie powinieneś się załamywać. Czasami bywają takie złe passy. Wróć do normalnej pracy. Zaczynaj znowu operować. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Dziękuję ci. Jesteś naprawdę bardzo miła.

- Przecież jesteśmy przyjaciółmi - uśmiechnęła się. - A przyjaźń do czegoś zobowiązuje.

Joanna wyszła z pokoju i Paweł został sam. Wyjął z szuflady książkę telefoniczną, usiadł przy telefonie i zaczął dzwonić do znajomych, o których wiedział, że są nieźle sytuowani materialnie. Po czterech czy pięciu próbach, zniechęcony odsunął od siebie aparat. Wszystkie rozmowy miały nieomal identyczny przebieg. Po wymienieniu sumy następowała cisza w słuchawce, a następnie jego rozmówca wybuchał gromkim śmiechem. „Pięćdziesiąt tysięcy?! Paweł, coś ty z byka spadł?”

Wracając ze szpitala do domu myślał o Marianie. To była konkretna propozycja, ale przecież nie mógł się wdawać w taką kryminalną aferę.

Tego dnia Anna nie pojechała do Elżbiety. Zastał ją krzątającą się w kuchni. Miała na sobie świeżo wykrochmalony, niebieski fartuch. Smażyła rumsztyki z cebulką. Apetyczny zapach rozchodził się po całym mieszkaniu. Radośnie przywitała Pawła.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Wcześniej dzisiaj skończyłam w sądzie i postanowiłam zrobić obiad w domu. Już mi trochę obrzydły te wszystkie knajpy. Mam nadzieję, że mi dotrzymasz towarzystwa przy obiedzie.

Paweł przyjrzał jej się uważnie. W tym radosnym podnieceniu wyczuwał jakąś sztuczność.

- Przyznam ci się, że zapomniałem zjeść obiad - powiedział. - Chętnie skorzystam z twojego zaproszenia.

- No, to wobec tego rzucam na patelnię i drugi rumsztyk, który miałeś dostać na kolację, w przypadku gdybyś przyszedł już najedzony. Ostatnio chadzasz własnymi drogami i nigdy nie wiem gdzie i z kim jesteś na obiedzie czy kolacji.

Paweł przypomniał sobie Magdalenę. Spochmurniał.

Anna pocałowała go, dała mu delikatnego klapsa po nosie i powiedziała:

- No, no, nie nadymaj się. Przecież ci nie robię wymówek. - Widać było, że za wszelką cenę pragnie wytworzyć między nimi miły nastrój.

Obiad okazał się wystawny, z deserem i z czarną kawą.

- Cóż to dzisiaj za uroczystość? - powiedział Paweł, któremu po dobrym jedzeniu humor zdecydowanie poprawił się. - Czuję się jak na jakimś przyjęciu.

- Smakowało ci?

- Jak możesz pytać? Po prostu ucza. Wszystko to było dużo smaczniejsze, niż w „Grand Hotelu”.

... „Grand Hotel” Marian... Pięćdziesiąt tysięcy - Do diabła! Czyż nie może nic powiedzieć, żeby natychmiast nie przypominała mu się tamta cholerna sprawa? Pięćdziesiąt tysięcy złotych.

Osowiałym wzrokiem począł wodzić po pokoju. Jakżeż był szczęśliwy w tym małym, przytulnym mieszkanku, które oboje urządzili z takim staraniem, z takim nakładem sił. Każdy szczegół umeblowania był przez nich wspólnie obmyślany, zharmonizowany z całością. Kochał Annę i było mu z nią bardzo dobrze. Razem stworzyli sobie spokojne, przyjemne życie. Czyż wszystko to musiało teraz runąć? Czy nie ma ratunku?

Z zadumy wyrwał go głos Anny.

- O czym tak rozmyślasz? Uśmiechnął się.

- O niczym. Odpoczywam po wspianym obiedzie.

- Przed chwilą miałeś takie smutne oczy. Powiedz, co cię gnębi.

- Wiesz przecież, że ostatnio...

- Wiem, wiem - przerwała mu gwałtownie. - Nie mówmy teraz o tym. W tej chwili nie chcę myśleć ani mówić o przykrych sprawach. Kupiłam na dzisiaj bilety do kina. Masz ochotę pójść?

- Oczywiście. Wiesz przecież, że bardzo lubię chodzić z tobą do kina.

- Czy tylko do kina?

Wstał, podszedł do niej i pocałował ją w zaróżowiony słońcem kark.

- Dopominasz się o miłe słowa?

- Już tak dawno nic miłego od ciebie nie posłyszałam - powiedziała cicho.

Całował ją z rosnącą namiętnością. Z trudem uwolniła się z jego objęć.

- Paweł, daj spokój, spóźnimy się do kina.

- Do diabła z kinem. - Pociągnął ją w kierunku tapczanu. Broniła się energicznie.

- Przestań. Nie teraz. Później. Wieczorem.

Poszli do kina. Siedzieli w ciemnej sali, patrzyli na ekran i gryźli miętówki. Od czasu do czasu Paweł dotykał wargami jej ucha i szeptał: - Bardzo cię kocham.

Wrócili do domu weseli i szczęśliwi jak dwoje sztubaków. Anna zakrzętała się koło kolacji. Paweł wyjął pościel z tapczanu i przygotował kąpiel. Do wody wrzucił gałkę. Jodłowy zapach wypełnił łazienkę.

- Chodź na kolację! - zawołała Anna.

Pili zsiadłe mleko i jedli jajecznicę ze szczypiorkiem. Anna spytała:

- Podobał ci się film?

- Przede wszystkim podobało mi się to, że razem byliśmy w kinie - odparł z uśmiechem. - A film? Taki sobie, niezły. Ona wydawała mi się trochę nazbyt afektowana.

- Mylisz się. Kobieta, która broni swojego szczęścia, jest zdolna do daleko większych poświęceń.

- Czy i ty także byłąbyś zdolna do poświęceń?

- Jeżeli chodziłoby o nasze szczęście, na pewno. Ale przecież nam nic nie grozi, prawda?

- Oczywiście, że nie. Cóż mogło by nam grozić?

- Nie wiem. - Dotknęła jego ręki. - Chyba nic, ale czasem przeraża mnie myśl, że coś mogłoby się popsuć między nami. Wtedy bardzo się boję. Jest mi z tobą tak cudownie.

- I mnie z tobą - powiedział szczerze. - Nie wyobrażam sobie, żebym z jakąś inną kobietą mógł się czuć taki szczęśliwy.

Po kolacji Paweł pomógł Annie zmyć, a potem nastawił radio. W głośniku zabrzmiała włoska piosenka „Dwadzieścia cztery tysiące pocałunków”. Tańczyli. Pięćdziesiąt tysięcy złotych, pięćdziesiąt tysięcy złotych.

Przytuliła się do niego i szepnęła: - Chodźmy spać.

Kiedy Anna poszła do łazienki i siedząc w wannie śpiewała o „dwudziestu czterech tysiącach pocałunków”, Paweł zatelefonował do Mariana. - Zgadzam się na twoją propozycję - powiedział. Umówili się w „Nowym Świecie” o godzinie czwartej po południu.

ROZDZIAŁ V

Upłynęło kilka dni. Paweł dostał pieniądze od Mariana w zamian za recepty na morfinę. Doszedł do wniosku, że to jest dla niego jedyna szansa ratunku. Niełatwo było mu powziąć tę decyzję. Zdawał sobie przecież sprawę z tego, że wstępuje na drogę występku. Z ciężkim sercem poszedł na to spotkanie. Marian, widząc jego przygnębienie, usiłował go pocieszyć.

- Nie martw się, Pawełku - powiedział. - Recepty zrealizuje się powoli, ostrożnie, w różnych aptekach. Pies z kulawą nogą o tym się nie dowie. Wiesz przecież, że jestem doświadczonym człowiekiem.

Na drugi dzień po tej rozmowie zadzwonił szantażysta. Spotkali się, tak jak za pierwszym razem w „Kopciuszku”. Paweł wyjął z kieszeni pieniądze, a tamten dał mu odbitki, negatyw oraz oświadczenie Magdaleny, z poświadczonym rejentalnie podpisem. Cała transakcja trwała parę minut.

Uwolniwszy się od zmory szantażu, Paweł odetchnął z ulgą. Wprawdzie gdzieś na dnie świadomości tlił się niepokój, ale starał się nie myśleć o Marianie i o morfinie. Wielokrotnie przekonywał sam siebie, że musiał tak postąpić, że nie miał innego wyjścia. Kochał Annę i byłby skłonny zrobić coś znacznie gorszego, żeby jej nie utracić. Ostatecznie ten stary, schorowany morfinista miał już życie za sobą. Trudno przypuścić, żeby zdołał się wyleczyć z nałogu. Nie tą, to inną drogą zdobyłby narkotyki. Paweł zdawał sobie sprawę z tego, że takie rozumowanie absolutnie go nie usprawiedliwia, ale za wszelką cenę pragnął zagłuszyć wyrzuty sumienia, odzyskać humor, pogodę ducha, żyć tak jak dawniej, spokojnie i szczęśliwie. I może na pewien czas byłoby mu się to udało, gdyby nie nowe komplikacje.

W poniedziałek z samego rana profesor Suchański zaprosił go do swojego gabinetu.

- Jak się pan czuje, panie doktorze?

- Doskonale - odparł trochę zdziwiony Paweł.

- Bo widzi pan, sprawa jest tego rodzaju, że chciałbym panu zaproponować dzisiaj operację. Sytuacja jest trochę przymusowa. Ja, jak panu wiadomo, mam zwichniętą rękę.

Rawicki wyjechał, pani Mokrzycka ma dzisiaj dwie operacje, a tego pacjenta nie chciałbym powierzać któremuś z młodych kolegów. Więc gdyby się pan zdecydował...

Paweł nie był zachwycony tą propozycją, ale czuł, że nie może odmówić.

- Oczywiście, panie profesorze. Co to za operacja?

- O, nic nadzwyczajnego. Wyrostek. Ale ponieważ to jest mężczyzna około sześćdziesiątki, serce nienajlepsze, dlatego wolałbym, żeby to zrobił doświadczony fachowiec.

- Kto mi będzie asystował?

- Chyba Kowalik. Jeżeli oczywiście nie ma pan nic przeciwko temu.

- Dlaczegoż miałbym mieć coś przeciwko temu?

- Cieszę się, że pan znowu przystępuje do pracy - powiedział Suchański. - Już ładnych parę tygodni nie widzieliśmy pana na sali operacyjnej.

Po wyjściu od Suchańskiego Paweł poszedł obejrzyć pacjenta. Był to sympatyczny starszy pan z zawodu nauczyciel. W licealnych klasach wykładał fizykę. Ucisnął rękę Pawła bardzo serdecznie, powiedział, że się nazywa Piotrowski i wyraził nadzieję, że z jego ślepą kizką nie będzie zbyt dużego kłopotu. - Jestem pacjentem doktora Rawickiego - wyjaśnił. - Ale doktor Rawicki wyjechał za granicę i dlatego zmuszony jestem prosić pana doktora o zastępstwo. Chciałbym jak najprędzej wyjść ze szpitala, bo zbliżają się matury, więc pan rozumie...

- O, jeszcze pan niejednemu delikwentowi napędzi strachu - zaśmiał się Paweł. - Najdalej za dwa tygodnie będzie pan znowu prześladował młodzież prawami Newtona, Pascala i Archimedesesa.

Niestety, słowa Pawła nie sprawdziły się. Profesor Piotrowski zmarł po operacji. Śmierć nastąpiła w nocy. Warzycki i Bartosik także umarli w nocy.

Paweł popadł w kompletną depresję. Przez tydzień nie pokazywał się w szpitalu. Unikał ludzi, uciekał nawet od Anny. Całymi dniami wałęsał się bez celu po mieście. Pił wódkę, a potem godzinami wysiadywał na ławkach w parku czy na jakimś skwerku. Przyglądał się ptakom, patrzył na bawiące się w słońcu dzieci. Patrzył, ale właściwie nie widział nic z tego, co go otaczało. Ogarnęła go zupełna apatia. Nic go nie interesowało. Na niczym już mu nie zależało. Był zupełnie bezsilny wobec łańcucha tajemniczych wydarzeń, który owinął się wokół niego i nie pozwalał żyć. To już nie była zła passa, to było jakieś tajemnicze przekleństwo, które go ścigało. Nie wiedział jak walczyć, jak się bronić. I tym razem przecież operację wykonał najzupełniej prawidłowo. Nikt nie mógł mu nic zarzucić. Wszystko odbyło się tak jak należy, z zachowaniem jak najdalej posuniętych ostrożności. A

jednak ten człowiek umarł. Paweł godzinami wpatrywał się w swoje ręce, poruszał palcami, zaciskał pięści i mruzczał „morderca, morderca”.

Po tygodniu wezwano go do szpitala. Nie chciał jechać, ale Anna zmusiła go do tego. Nieomal siłą wepchnęła go do taksówki.

Suchański był bardzo zakłopotany.

- Sądzę, panie doktorze, że przez dłuższy okres czasu...

- Zgłaszam swoją rezygnację z pracy w szpitalu. - Powiedział Paweł.

- Jakże pan ma projekty?

- Nie mam żadnych projektów.

- W każdym razie życzę panu powodzenia.

Na korytarzu spotkał Joannę. Była gotowa do wyjścia.

- Chciałabym z tobą pomówić. Paweł wzruszył ramionami.

- O czym?

- Chodź, chodź. - Wzięła go pod rękę i pociągnęła ku drzwiom.

Poszli do tej samej kawiarenki, w której wtedy rozmawiał z człowiekiem, podającym się za profesora Mokrzyckiego. Joanna zamówiła kawę i przez chwilę wpatrywała się w wymizerowaną twarz Pawła. Myślała o tym, jak szybko przeciwności życiowe mogą człowieka wykończyć. Tak niedawno jeszcze znany, świetny chirurg, sięgający po europejską sławę, kandydat na następcę Suchańskiego, w najbliższej przyszłości docent, a może nawet profesor. Pełen życia, energii, pewny siebie. A teraz? Zrezygnowany, apatyczny, ponury, twarz zapadnięta, poszarzała, przekrwione, pozbawione blasku oczy.

- Słuchaj, Paweł, co ty masz zamiar robić?

- A co cię to obchodzi? Osłodziła kawę i zapaliła papierosa.

- Mam wrażenie, że nie jesteś zbyt uprzejmy.

- Nie wymagaj ode mnie uprzejmości.

- A właśnie, że mam prawo wymagać, żebyś w stosunku do mnie zachowywał się przyzwoicie. Nie przyszedł tu z tobą dla flirtu. Chcę ci pomóc.

- Niepotrzebna mi niczyja pomoc. Sam sobie poradzę.

- Ciekawa jestem jak?

- Wyjadę gdzieś na wieś. Wezmę się do fizycznej pracy. W pegeerach potrzebują ludzi do roboty. No przecież na posługacza do szpitala nie pójdę! - wybuchnęła.

Zmarszczyła brwi. Spojrzała na niego energicznie.

- Proponuję, żebyś przestał się zachowywać jak rozhisteryzowana baba. Rozumiem doskonale twoją depresję. Wiem, że to bardzo ciężko wyrzec się umiłowanego zawodu, ale

musisz się wziąć w garść, musisz być mężczyzną. Ostatecznie ludzie tracą ręce, nogi, oczy i żyją, a co ważniejsze, odnajdują sens nowego życia. Musisz się przestawić po prostu na inną robotę. Na razie nie widzę innego wyjścia z tej sytuacji. Mam nawet dla ciebie zupełnie konkretną propozycję.

- Cóż to za propozycja? - spytał bez zainteresowania Paweł.

- Wyobraź sobie, że wczoraj był u nas na herbacie przyjaciel mojego męża, pułkownik Łukański, który pracuje w Zakładzie Medycyny Wojskowej. Prowadzą tam bardzo interesujące badania, związane z zagadnieniami wojskowymi i obronnością naszego kraju. Otóż Łukański skarżył się nam, że nie może znaleźć odpowiedniego człowieka.

Chodzi mu o zdolnego lekarza z praktyką chirurgiczną, który byłby skłonny poświęcić się zagadnieniom teoretycznym. Od razu przyszło mi do głowy, że może ty zdecydowałbyś się na taką robotę.

- Ja nie nadaję się do żadnej roboty - mruknął Paweł. Joanna poruszyła się niecierpliwie.

- Przestań, do licha, bo już naprawdę zaczynasz wyprowadzać mnie z równowagi. Musisz przecież coś robić. Chyba nie masz zamiaru do końca życia wałęsać się po mieście, pić wódkę i być na utrzymaniu żony.

- Czego ty mnie męczysz? Czego ty chcesz ode mnie?

- Chcę, żebyś się wreszcie wydobył z tego marazmu i żebyś się zachowywał jak normalny człowiek. Jesteś młodym, zdrowym mężczyzną. Nie róbże z siebie niedołęznego dziada. Zaraz napiszę kilka słów do Łukańskiego i jutro do niego pójdziesz.

- Nigdzie nie pójde. Nie fatyguj się.

- Pójdziesz, pójdziesz. Prześpisz się, rozważysz sobie to wszystko i pójdziesz.

Wyjęła z torebki arkusz listowego papieru, kopertę i długopis. Paweł przyglądał się jej z ponurą niechęcią.

Kiedy wyszli z kawiarni, Joanna wsunęła mu do kieszeni list i powiedziała:

- Jutro, najdalej pojutrze masz się zameldować u pułkownika Łukańskiego. Jeżeli tego nie zrobisz, to zadzwonię do twojej żony i oświadczę jej w sposób jak najbardziej autorytatywny, że ma męża skończonego idiotę. Radzę ci więc, zastanów się.

Paweł uśmiechnął się niezbyt szczerze.

- Jesteś bardzo miła. Dziękuję ci za dobre chęci. - Pocałował Joannę w rękę i wszedł do tramwaju.

Czuł wyraźny niesmak po tej rozmowie. Joanna dała dowód prawdziwej przyjaźni, chciała mu pomóc w trudnej sytuacji życiowej, a on zachował się jak cham i dureń. Było mu

wstyd. Gotowa dotrzymać obietnicy i rzeczywiście zadzwonić do Anny, pomyślał i fala gorącej krwi uderzyła mu do głowy. Jeszcze by tego brakowało. Nie, nie, nie mógł do tego dopuścić.

Anna czekała na niego. Tego dnia nie poszła do sądu.

- No i co? - spytała niespokojnie.

- No cóż... złożyłem rezygnację. Nie mogłem inaczej. Objęła go za szyję i przytuliła policzek do jego twarzy.

- Nie martw się - powiedziała serdecznie. - Damy sobie jakoś radę. Nawet gdybyś przez jakiś czas był bez pracy.

Paweł opowiedział jej o propozycji Joanny.

- Ależ to wspaniale! - zawołała podniecona. - Trudno sobie wyobrazić w tej chwili dla ciebie coś lepszego. Będziesz pracował w swojej branży... Pójdiesz chyba do tego pułkownika?

- Nie wiem. Zastanawiam się.

- Nie masz się nad czym zastanawiać. Przecież to znakomita propozycja. Żeby cię tylko zaangażowali.

- Właśnie co do tego mam pewne wątpliwości. Widzisz... ja nie należę do partii, a to jest jednak bardzo odpowiedzialna robota i obawiam się, że...

- O to się nie martw - przerwała mu pośpiesznie Anna. - Masz bardzo dobrą opinię, jesteś doskonałym fachowcem. Znajdziesz przecież wśród swoich przyjaciół ludzi partyjnych, którzy dadzą ci jak najlepsze referencje. W żadnym wypadku nie można powiedzieć, żebyś był politycznie niepewnym elementem.

- To na pewno nie - przyznał Paweł.

- No więc widzisz. Nie pozostaje ci nic innego do zrobienia, jak zaraz jutro iść do tego pułkownika i zaoferować mu swoje usługi. Wreszcie co ryzykujesz? W najgorszym razie nie zaangażują cię.

Paweł źle spał tej nocy. Przewracał się z boku na bok, nie mogąc sobie znaleźć na tapczanie wygodnego miejsca. Myślał o tym, jak ma postąpić. Za oknem już bielił się dzień, kiedy powziął decyzję. Potem zaraz zasnął.

Przy śniadaniu Anna spytała: - Co postanowiłeś? Pojedziesz?

- Pojadę.

Wstała, podeszła do niego i pocałowała go mocno, bardzo serdecznie. - Nie masz pojęcia jak się cieszę - powiedziała wesoło.

W biurze przepustek Paweł czekał dość długo. Sprawdzano dokładnie dowód osobisty, dwa razy pytano o adres i o cel jego wizyty. Wreszcie przepustka była gotowa, ale jeszcze kazano mu zaczekać. Po chwili pojawiła się sympatyczna, elegancko ubrana blondynka, która z uprzejmym uśmiechem poprosiła, aby jej towarzyszył.

Szli długimi korytarzami. Paweł czuł, że wypada mu przerwać milczenie. - Bardzo piękny mamy dzisiaj dzień - powiedział. Blondynka przytaknęła z zapalem, ale żadnym komentarzem nie zachęciła go do dalszej rozmowy. Na szczęście znaleźli się właśnie przed obitymi skórą drzwiami.

Pułkownik Łukański był pięćdziesięciokilkuletnim mężczyzną. Wysoki, dobrze zbudowany, miał zdecydowane, energiczne ruchy i donośny głos. Płaska twarz robiła takie wrażenie, jakby przejechał po niej samochód ciężarowy, a bezwłosa czaszka połyskiwała różowym blaskiem w porannym słońcu. Duże, szare oczy patrzyły spod krzaczastych brwi badawczo i przenikliwie.

Paweł przedstawił się, usiadł i już otwierał usta, żeby zacząć rozmowę, kiedy pułkownik wyjął papierosa i powiedział:

- Wiem, wiem o co chodzi. Dużo o panu słyszałem, panie doktorze. Same superlatywy. Potrzeba nam takich ludzi, bardzo potrzeba. No i cóż, chciałby pan z nami tutaj współpracować?

- Właściwie dokładnie nie orientuję się jaka to robota - uśmiechnął się uprzejmie Paweł. - Nie wiem, czy się będę nadawał?

Łukański wygodnie rozsiadł się w fotelu i wciągnął w płuca dużą porcję dymu.

- O to niech się pan nie obawia. Pańskie kwalifikacje są nam dobrze znane. Może pan być przekonany, że gdybym nie miał pewności co do tego, iż jest pan człowiekiem jakiego szukamy, to nie zabierałbym panu jego cennego czasu. Chciałbym tylko, żeby pan się orientował w tym, że nasza praca tutaj posiada charakter ściśle tajny i że żadne wiadomości pod żadnym pozorem nie powinny przedostawać się na zewnątrz.

- To się samo przez się rozumie - powiedział Paweł. Łukański przesunął dłonią po łysinie i zamyślił się.

- No więc tak - ciągnął dalej po chwili. - Musimy być czujni, bardzo czujni, panie doktorze. Jeśli więc pan reflektuje na pracę tutaj, to trzeba będzie załatwić wszystko formalnie. Tak jak to zwykle. Ankieta personalna, życiorys, referencje. Będą tu zapewne chcieli zasięgnąć o panu dodatkowych informacji. Niech się pan nie dziwi, ale to już jest taki u nas modus vivendi. Te wszystkie formalności zabiorą parę dni czasu, ale jestem przekonany, że nie będzie żadnych obiekcji, jeśli chodzi o pańską osobę. A teraz, jeśli pan

pozwoli, to przekażę pana kapitanowi Kostrzewie, który się panem zaopiekuje i udzieli panu dokładnych informacji dotyczących właśnie tych wszystkich formalności. - Zgasił papierosa, wyciągnął rękę i przysunął telefon. Po chwili wszedł do pokoju szczupły mężczyzna w szarym garniturze. Wąska, pociągła twarz opalona była na ciemny brąz.

- Słucham, towarzyszu pułkowniku?

Łukański wyjaśnił o co chodzi, a następnie wyciągnął szeroką, mięsistą dłoń do Pawła. - Życzę powodzenia, doktorze - powiedział z uśmiechem. - Mam nadzieję, że nasza współpraca ułoży się pomyślnie!

Przez następnych kilka dni Paweł, tak jak to przewidział pułkownik Łukański, zajęty był załatwianiem formalności, które mnożyły się i rozrastały w sposób niezrozumiały i zaskakujący. Mogło się wydawać, że załatwienie jednej sprawy rodzi natychmiast szereg nowych, które okazują się równie ważne i niecierpiące zwłoki. W tym postępie geometrycznym rozmaitych papierków Paweł przeciskał się z trudem, tracąc chwilami energię i wolę czynu. I nie wiadomo, czy by się nie załamał, gdyby nie zdecydowana i nieustępliwa postawa Anny. - Nie bądźże dzieckiem - mówiła. - Jeżeli ci dają odpowiedzialną, poufną pracę, to nie możesz się dziwić, że chcą wiedzieć, z kim mają do czynienia. Wiesz, że te wojskowe instytucje są otoczone specjalną czujnością i to jest najzupełniej zrozumiałe.

Paweł przyznawał żonie rację i nie rezygnował. Wreszcie jego wysiłki zostały uwieńczone pełnym sukcesem. Otrzymał urzędowe pismo, opatrzone wszelkimi możliwymi pieczęciami. Został zaangażowany na okres próbny.

Anna odwiozła Elżbietę do Nałęczowa, do sanatorium, i miała teraz więcej czasu. Często gotowała w domu obiady, zajmowała się Pawłem, dotrzymywała mu towarzystwa, dopytywała się o jego nową pracę, o ludzi, wśród których się obraca, o samopoczucie.

Mówił, że jest bardzo zadowolony z posady, że prowadzi interesujące badania naukowe, że wciąga się powoli w tę robotę i że niewątpliwie osiągnie z czasem pewne rezultaty. Był wesoły, rozmowny, śmiał się, żartował. Na pozór robił wrażenie człowieka zupełnie szczęśliwego. Ale Anna знаła go zbyt dobrze, żeby nie dostrzec, że wszystko to jest pozą, że pod maską wesołości kryje się zraniona ambicja, żal do całego świata, a może i rozpacz. Paweł był chirurgiem i sala operacyjna była jego żywiołem. Zawodu, który umiłował, nie mogło mu nic zastąpić, żadna praca badawcza, żadne doświadczenia laboratoryjne. Anna wiedziała o tym doskonale i zdawała sobie sprawę z tego, że jeżeli Paweł nie wróci na klinikę i nie zacznie znowu operować, to już nigdy nie będzie naprawdę szczęśliwy. A przecież ona pragnęła jego szczęścia. Niestety, nie wiedziała jak się do tego

zabrać. Dużo myślała na ten temat i im dłużej się zastanawiała, im szczegółowiej analizowała wszystkie ostatnie operacje Pawła, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że to jednak nie były przypadkowe zgony, że za tym wszystkim kryło się jakieś celowe działanie. Ten nocny telefon, ten kobiecy głos, który ostrzegał, żeby Paweł nie operował Warzyckiego, jeszcze bardziej urealniali tego rodzaju koncepcje. Anna miała ochotę pomówić z kimś na ten temat, ale nie знаła nikogo takiego, komu mogłaby się zwierzyć ze swych podejrzeń i wątpliwości.

W tym czasie wróciła z urlopu Ewa Zielińska. Anna przyjaźniła się z nią jeszcze w czasie studiów uniwersyteckich. Później spotykały się często na terenie sądu i przyjaźń ta jeszcze się pogłębiła. Ewa zasiadała na fotelu sędziowskim, a Anna wkładała togę oblamowaną zielenią i wygłaszała mowy obrończe.

Anna postanowiła pomówić z Ewą. Tadeusz pracował w wydziale śledczym i miał już pewne doświadczenie w sprawach kryminalnych. Trzeba było spróbować.

Któregoś dnia podczas przerwy w rozprawach, zeszły na dół do bufetu i Anna opowiedziała przyjaciółce o swoich kłopotach.

- Bardzo się boję o Pawła - zakończyła. - Nie masz pojęcia jak się zmienił w ostatnich czasach. Zupełnie nie ten człowiek. Powinien wrócić do właściwego zawodu, ale nie wiem jak mu w tym dopomóc.

Ewa zamyśliła się głęboko. Dopiero po dłuższej chwili odezwała się:

- To wszystko, co mówisz, jest bardzo zastanawiające. Rzeczywiście robi to takie wrażenie, jakby ktoś celowo wykańczał pacjentów twego męża. I ta jakaś tajemnicza babka, która do ciebie w nocy telefonowała... Zupełnie niesamowita historia. No cóż, mój Tadzik jest niby tym oficerem śledczym, ale, mówiąc między nami, nie mam zbyt wielkiego wyobrażenia o jego talentach detektywistycznych. Młody jeszcze, może się wyrobi... Mam jednak wrażenie, że jemu bardziej odpowiadałaby jakaś praca naukowa jakieś badania o charakterze teoretycznym. Jest zbyt naiwny w stosunkach z ludźmi. Nie, nie, Tadeusz nic ci tu nie pomoże. Czekał, czekał, a może by pomówić z Downarem?

- Ty znasz Downara?

- Oczywiście. Oboje z Tadeuszem jesteśmy z nim zaprzyjaźnieni.

Anna wyjęła z torby papierosy i zapalki.

- A wiesz, że to jest dobra myśl. Jeżeli mogłabyś mi ułatwić spotkanie z Downarem... Ja go nie znam.

- Nic łatwiejszego - powiedziała Ewa. - Jeszcze dziś wieczorem zadzwonię do niego i umówię się z nim na randkę. Myślę tylko, że byłoby lepiej, żebyś o tym nie mówiła Pawłowi.

- Ależ naturalnie. Nie mam zamiaru zrobić takiego głupstwa.

Na drugi dzień po tej rozmowie Anna pojechała do Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej.

Downar czekał na nią. Był jak zwykle bardzo elegancki. Miał na sobie jasnopozielaty, świetnie skrojony garnitur, który podkreślał jego męską, mocno opaloną twarz. Pachniał wodą kolońską i dobrym tytoniem. Aby rozmowa nie miała zbyt oficjalnego charakteru, nie usiadł za biurkiem, tylko wskazał foteliki stojące przy bocznym owalnym stoliku.

- Bardzo przepraszam, że panią fatygowałem do komendy, ale mam dzisiaj sporo różnych spraw i zdaje się, że będę musiał tu tkwić cały dzień. Proszę mi więc wybaczyć, że nie przyjechałem do miasta, żeby spotkać się z panią w jakiejś kawiarni.

- Ależ to ja pana przepraszam, że zabieram panu jego cenny czas - powiedziała z pewnym zażenowaniem Anna. Czuła, że pod wpływem badawczego spojrzenia tych ciemnych oczu, traci całą swą pewność siebie.

Po wymienieniu wzajemnych uprzejmości. Anna opowiedziała o Pawle, starając się nie przeoczyć jakiegoś szczegółu, który mógłby mieć znaczenie dla całej sprawy.

Downar słuchał z dużym zainteresowaniem, obserwując uważnie twarz młodej kobiety. Kiedy skończyła mówić, wyjął z kieszeni papierošnicę i spytał:

- Czy pani nie zauważyła, że w ostatnich czasach mąż pani potrzebował większej sumy pieniędzy?

Spojrzała zdumiona.

- Większej sumy pieniędzy? Nic takiego nie zauważyłam. Dlaczego pan pyta? Czy to ma jakiś związek z tą sprawą?

- Nie, nie, absolutnie nie. Tak sobie zapytałem. Coś mi przyszło do głowy.

- Więc co pan sądzi o tym wszystkim, panie kapitanie? Downar przyjrzał się swoim starannie wypolerowanym paznokciom.

- Hm. To jest dosyć skomplikowana historia. Bo widzi pani nie mamy właściwie o co się zaczepić. Gdyby dokonano zbrodni i gdyby któryś z pacjentów pani męża został zamordowany, to sekcja wykazałaby to i szpital natychmiast zawiadomiłby milicję. Wtedy ewentualnie można by ten przypadek kojarzyć sobie jakoś z innymi, jak pani twierdzi, niczym nieuzasadnionymi zgonami. Ale jeżeli nie stwierdzono morderstwa, to milicja nie ma podstaw do ingerowania w tę sprawę. Nie mogę przecież pójść do ordynatora kliniki i powiedzieć, że coś mi się wydaje podejrzane. Musiałbym to jakoś uzasadnić, a nie mam jak. Pani mnie rozumie?

- We wszystkich wypadkach umierali ludzie młodzi, silni, po udanej operacji - powiedziała Anna.

Downar uśmiechnął się.

- Nie ma pani pojęcia, jakie natura potrafi nam płać figle. Młody, zdrowy chłopak umiera nagle, wydawać by się mogło bez żadnych powodów, a schorowany siedemdziesięcioletni staruszek żyje i kwęka do dziewięćdziesiątki. Tak już niestety bywa i ani lekarze, ani nie lekarze nie potrafią sobie nieraz wytłumaczyć pewnych zjawisk, tak jak kiedyś ludzie nie potrafili sobie wytłumaczyć błyskawic na niebie.

- A ta kobieta, która telefonowała w nocy? - spytała zrozpaczona Anna, widząc, że Downar nie bierze zbyt poważnie tego wszystkiego. - Czy ta kobieta nic panu nie daje do myślenia?

- To jest niewątpliwie dość tajemnicza historia - przyznał Downar. - Ten nocny telefon różnie sobie można oczywiście interpretować. A propos, chciałbym pani zadać takie trochę niedyskretne pytanie.

- Proszę, niech pan pyta.

- Czy jest pani pewna wierności swego męża? Anna zaczerwieniła się.

- Oczywiście, że tak.

- Proszę mi wybaczyć, że mówię o tych sprawach - usprawiedliwił się Downar - ale to ma dosyć zasadnicze znaczenie. Czy nic pani nie wiadomo, żeby na terenie szpitala była jakaś lekarka czy pielęgniarka, która by się beznadziejnie kochała w pani mężu?

- Nie, nic mi o czymś takim nie wiadomo - powiedziała szczerze Anna. - Ale mogłabym się ewentualnie może o to dowiedzieć.

- Musiałaby to pani zrobić bardzo dyskretnie.

- To zrozumiałe. Panie kapitanie, niech mi pan powie, ale tak zupełnie szczerze, czy pan jest skłonny przypuszczać, że na pacjentach mojego męża została dokonana zbrodnia?

- Prosi mnie pani o szczerść, więc szczerze pani odpowiem: nie wierzę w to, żeby to mogły być morderstwa. To jest nierealna koncepcja. Sądzę, że mamy tu do czynienia z zupełnie przypadkowym zbiegiem okoliczności.

- Więc nic pan mi nie może pomóc? Downar bezradnym ruchem rozłożył ręce.

- Obawiam się, że w tej sytuacji niewiele mogę zrobić. Po prostu nie widzę podstaw do tego, aby wszcząć śledztwo. Milicja może ingerować tylko w wypadku jakichś konkretnych faktów. Wszystkie te pani podejrzenia są właściwie dość fantastycznymi hipotezami, niemającymi realnego pokrycia w rzeczywistym stanie rzeczy. Musimy brać pod

uwagę także i to, że pani jest emocjonalnie zaangażowana i że szuka pani jakichś możliwości wytłumaczenia nieudanych operacji męża.

Anna przygnębiona wyszła z komendy. Downar był wprawdzie dla niej uprzedzająco grzeczny, zapewnił ją o swej życzliwości, obiecał, że postara się czegoś jeszcze dowiedzieć w tej sprawie, ale w tych gładkich słowach wyczuwała pewną protekcyjność, pewną ledwie uchwytną nutę pobłażliwości. Odniosła wrażenie, że ten człowiek nie potraktował jej zbyt poważnie. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie może mieć do niego zbyt wielu pretensji. Ze swego punktu widzenia miał właściwie dużo racji. Rzeczywiście nie było podstaw do wdrożenia śledztwa. Mimo to jednak było jej przykro. Tak bardzo pragnęła znaleźć kogoś, kto by chciał jej pomóc, kto by się zainteresował sprawą Pawła.

Z automatu zadzwoniła do Ewy i umówiła się z nią o piątą w „Niespodziance”. Nie liczyła na to, że Ewa coś jej pomoże, ale miała ochotę uzalić się przed kimś, pomówić o swoich zmartwieniach.

Kiedy zamówiły kawę, Ewa spytała:

- No i cóż Downar?

Anna zrelacjonowała ich rozmowę. Na zakończenie powiedziała:

- Właściwie niepotrzebnie do niego chodziłam. To nie miało sensu.

Ewa była szczerze zatroskana.

- No cóż... trudno mu nie przyznać racji. Rzeczywiście nie ma podstaw do ingerencji milicji. Myślałam, że może Downar coś mądrego wymyśli.

Kiedy wychodziły z kawiarni, Anna wzięła przyjaciółkę pod rękę.

- Wiesz co? Chodź do mnie na kolację. Nie mam jakoś ochoty być sama.

- Sama? - zdziwiła się Ewa. - A co się stało z twoim Pawełkiem?

- Wyjechał służbowo na dwa dni do Krakowa. Wraca dopiero jutro wieczorem. Jeśli nie masz nic lepszego do roboty, to zjedz ze mną kolację. Zdobyłam trochę szynki, mam ser, puszkę tych bułgarskich bakłażanów. Nie będziesz głodna.

- Bakłażany bardzo lubię - uśmiechnęła się Ewa - ale sprawa o tyle się komplikuje, że umówiłam się w domu z Tadeuszem. Będzie wściekły jak nie przyjdę i nie zrobię mu czegoś do jedzenia.

- No to zadzwońmy do Tadeusza. Niech przyjdzie do nas. Urządzimy sobie ucztę.

Ewa zawahała się chwilę. Projektowali z Tadeuszem, że spędzą miły wieczór we dwoje. Widząc jednak zdenerwowanie i pesymistyczny nastrój Anny, zgodziła się. Zatelefonowała z automatu do Tadeusza, który bez większych sprzeciwów zgodził się przyjechać.

- No i co? - spytała Anna. - Przyjedzie?

- Oczywiście. To bardzo zgodny chłopak.. - Dobrze ci z nim?

„- Bardzo. Właściwie nigdy nie ma między nami jakichś poważniejszych scysji. Czasem się o coś pokłócimy, ale to tak tylko, żeby nie było nudno.

Gęste chmury zasnuły niebo i zrobiło się parno.

- Będzie chyba lać - powiedziała Ewa. - Chodźmy prędzej.

Zaledwie zdążyły dobiec do bramy, gdy błyskawica przecięła granatową chmurę i upadły pierwsze grube krople deszczu.

Winda pojechały na górę i zaraz zabrały się, do przygotowywania kolacji. Niebawem pojawił się Tadeusz. Ewa krzyknęła na jego widok: - Czyś ty zwariował?

Tadeusz miał na sobie drelichowe spodnie i koszulkę z krótkimi rękawami. Przemoczony był kompletnie.

- Nie przypuszczałem, że będzie taki deszcz - tłumaczył się. - To nic, to zaraz wyschnie.

- Ależ ty się przeziębisz.

Kazały mu wziąć gorącą kąpiel, a następnie Anna wyjęła z szafy bieliznę i garnitur Pawła.

- Ubierz się porządnie, bo dostaniesz zapalenia płuc. Tadeusz początkowo usiłował oponować, ale widząc zdecydowaną postawę obu kobiet, zrezygnował z oporu. Był prawie tego samego wzrostu co Paweł. Garnitur leżał na nim zupełnie dobrze.

Po kolacji nastawili radio i Tadeusz z Anną odtńczyli twista.

- Szkoda, że nie ma Pawła - westchnęła Ewa. - On świetnie tańczy.

- A ja może nie świetnie? - zaperzył się Tadeusz, podrygując zapamiętane.

Śmiali się, tańczyli, opowiadali kawały, Tadeusz opowiedział jakąś humorystyczną historię kryminalną. Anna odzyskała dobry humor. Zapomniała o zmartwieniach.

Tadeusz i Ewa wyszli po jedenastej. Deszcz przestał padać, ale ulicami płynęła jeszcze woda. Wsiedli do tramwaju.

Tadeusz był zmęczony. Z rozkoszą myślał o wygodnym tapczanie. Kiedy się rozbierał sięgnął odruchowo do bocznej kieszeni marynarki i wyjął złożoną we czworo kartkę papieru. Przeczytał: „Niniejszym zaświadczam, że zdjęcie, na którym ja obejmuję za szyję doktora Pawła Szrota, zostało wykonane bez jego wiedzy, a cała scena była zainscenizowana wyłącznie przeze mnie. Doktora Szrota nigdy nic ze mną nie łączyło. Powyższe stwierdzam własnoręcznym podpisem. Magdalena Zagórzycka”.

ROZDZIAŁ VI

Las się kończył. Stasiak zwolnił i wykonał gwałtowny obrót kierownicą w prawo. Wjechał pomiędzy krzaki i młode drzewa, nacisnął hamulec, zgasił reflektory. Odetchnął głęboko, wciągając w płuca chłodne, wilgotne powietrze.

Noc była ciemna. Po niedawnej burzy włóczyły się jeszcze po niebie resztki strzępiastych chmur. Z odległych mokradeł dolatywało melancholijne rechotanie żab. Znad szeroko rozciągniętych łąk powiał wiatr, strącając z liści duże, deszczowe krople.

Stasiak wysiadł z wozu, rozprostował kości i zapalił papierosa. Uważnie patrzył w kierunku szosy. Parę razy rzucił szybkie spojrzenie na fosforyzującą tarczę zegarka. Według jego obliczeń niebieska skoda powinna była pojawić się lada chwila. Wyjął duży, ciężki pistolet, zarepetował i wsunął go z powrotem do kieszeni płaszcza. Lubił być przygotowany na każdą ewentualność.

Silniejszy podmuch wiatru rozsunał chmury i blask księżyca osrebrzył jasną powierzchnię szosy. Stasiak zaczynał się niecierpliwić. Miał przecież ogromne doświadczenie w polowaniu na ludzi, ale za każdym razem ogarniało go gorączkowe podniecenie, którego nie mógł się pozbyć. Później, kiedy już wchodził do akcji, podniecenie to znikало bez śladu. Działał spokojnie, z rozwagą, precyzyjnie.

Zgasił papierosa i usiadł za kierownicą. „Powinna już być” mruknął. I nagle pojawił się niepokój. A może w ogóle nie przyjedzie? Może w ostatniej chwili zmieniła trasę? Może otrzymała nowe instrukcje? Raz jeszcze powtórzył sobie w myśli przebieg rozmowy utrwalonej na taśmie magnetofonowej. Nie było wątpliwości. To była właśnie ta szosa.

Czas płynął wolno. Wskazówki zegara posuwały się leniwie. Wiatr ucichł i chmury znowu zakryły księżyc. W krzakach coś zaszeleściło, tak jakby ktoś skradał się ostrożnie wśród gęstwiny. Z oddali doleciało senne naszczekiwanie psa.

Stasiak wyjął nowego papierosa, ale go nie zapalał. Pochylony nad kierownicą wsłuchiwał się w odgłosy leśnej nocy. I wreszcie... jest... Naprzód jakby ledwie dosłyszalne brzęczenie komara. Potem wyraźniej, z każdą sekundą wyraźniej... Tak, już teraz wiedział na pewno, że to nie złudzenie. Szum motoru zbliżał się, rósł, zakłócał spokój uśpionych drzew.

Błękitna skoda minęła go z dużą szybkością. Około stu kilometrów na godzinę. Stasiak włączył motor i wyprowadził swojego mercedesa na szosę. Nie spieszył się. Wiedział, że tamta maszyna nie ucieknie. Ale w tej chwili pojawił się znowu niepokój. A jeżeli zorientowała się, że ktoś jej wypuścił z baku benzynę. To byłoby już zupełnie idiotyczne. Nacisnął gaz. Mocna maszyna gwałtownie skoczyła do przodu.

Niepotrzebnie się niepokoił. Nie przejechał nawet trzydziestu kilometrów, gdy na brzegu szosy spostrzegł pod drzewem błękitną skodę. Maskę była podniesiona. Młoda dziewczyna bezskutecznie próbowała uruchomić motor.

Zahamował i, opuściwszy szybę, spytał:

- Co się stało? Może pani trzeba pomóc?

Odwróciła się gwałtownie i utkwiała w nieznajomym badawcze spojrzenie. Oczy miała ciemne, roziskrzane zdenerwowaniem.

- Nie wiem co się stało. Przed chwilą motor pracował zupełnie prawidłowo.

- Zaraz zobaczymy.

Stasiak wysiadł ze swojego wozu i zaczął z udanym zainteresowaniem oglądać motor skody. - Nie wiem. Przyznam się pani, że nic nie rozumiem. Powinno działać, a nie działa. No cóż... nie jestem mechanikiem.

- Co ja teraz zrobię?

- Ma pani dwa wyjścia z tej przykrew sytuacji. Albo przenocuje pani w swoim wozie i rano będzie pani próbowała sprowadzić jakąś pomoc, albo skorzysta pani z mojego zaproszenia i pojedzie pani ze mną. A propos, dokąd pani jedzie?

- Do Wrocławia.

- O, to się świetnie składa, bo ja także jadę do Wrocławia. No cóż...? Zdecyduje się pani towarzyszyć mi?

Zawahała się chwilę.

- Nie chciałabym nadużywać pańskiej uprzejmości.

- To jest zwykła solidarność automobilistów - uśmiechnął się, ukazując mocne, zdrowe zęby. - Nie mogę pani tutaj przecież zostawić wilkom na pożarcie. Jedziemy.

- Dobrze. Dziękuję. - Wyjęła z bagażnika zgrabny, skórzany neseser i czarną teczkę.

- Może pani ma ochotę prowadzić? - zaproponował Stasiak.

- Nie, nie, dziękuję. Niech pan prowadzi.

‘ Ruszyli. Stasiak z zadowoleniem uśmiechał się do swych myśli. Na razie wszystko grało, wszystko szło według ustalonego planu. Od początku symulował twardy, cudzoziemski akcent. Nie zdziwił się więc, kiedy jego towarzyszka podróży spytała:

- Pan chyba nie jest Polakiem? Spojrzał na nią wesoło.

- Tak pół na pół. Mój ojciec był Austriakiem, a matka Polką. Nazywam się Drumer, Wilhelm Drumer.

- Co za fantastyczny zbieg okoliczności! - zawołała. - Ja także jestem z pochodzenia Austriaczką, ale u mnie sytuacja wygląda odwrotnie. Matka moja była Austriaczką, a ojciec Polakiem. Moje nazwisko Magdalena Zagórzycska.

- Piekielnie trudne do wymówienia są te polskie nazwiska - zaśmiał się Stasiak.

- Może pan woli mówić po niemiecku - zaproponowała.

- O, sehr gern.

Rozmowa stawała się coraz bardziej swobodna, nastrój był coraz bardziej rodzinny. Język niemiecki jak gdyby ich do siebie zbliżył. W pewnej chwili Magdalena spytała:

- Czy pan stale mieszka w Polsce? Roześmiał się.

- Ja w Polsce? Skądże? A cóż bym tu robił? Teraz mieszkam stale w Berlinie Zachodnim. Do Polski przyjeżdżam czasami odwiedzić rodzinę matki, załatwić jakieś interesy handlowe. Mam przedstawicielstwa firm zachodniemieckich, dużo jeżdżę po świecie. A pani? Pani może tutaj mieszka?

Potrząsnęła głową.

- Nie, mieszkam z matką w Wiedniu. Do Polski przyjeżdżam od czasu do czasu, żeby odwiedzić ojca, który nie chce się stąd ruszyć. Mama znowu nie chce wyjechać z Wiednia. I tak jeżdżę pomiędzy Wiedniem a Warszawą.

- A teraz jedzie pani do Wrocławia?

- Tak. Jadę odwiedzić moją serdeczną przyjaciółkę. Umilkli. Stasiak zwiększył szybkość i musiał teraz uważniej patrzeć na szosę. Od czasu do czasu rzucał szybkie spojrzenie w kierunku Magdaleny. Fascynowały go jej gęste, puszyste włosy koloru miedzi. „Śliczna dziewczyna” myślał. „Szkoda jej”.

- Kiedy pan wraca do Berlina? - spytała.

- Za parę dni. Sądzę, że we Wrocławiu posiedzę dzień lub dwa, potem mam jeszcze coś do załatwienia w Gdańsku.

- Jeździ pan wszędzie tym mercedesem?

- Tak. To najwygodniejsze. Przynajmniej nie jestem zależny od rozkładu jazdy. Strasznie tego nie lubię.

Patrzyła na niego z coraz większą sympatią. Tak mu się przynajmniej zdawało. Początkowa rezerwa topniała w sposób widoczny. Już po godzinie jazdy rozmawiali ze sobą tak, jak starzy, dobrzy przyjaciele. Magdalena okazała się dziewczyną niezwykle komunikatywną, a Stasiak umiał być czarujący i bezpośredni, szczególnie w stosunku do kobiet, które mu się podobały. Magdalena podobała mu się bardzo, może nawet za bardzo.

Parę razy, gdzieś na dnie świadomości, zadźwięczał dzwonek alarmowy. Musiał przecież pamiętać, że tutaj nie chodzi o przygodę miłosną.

- Czy pani we Wrocławiu zatrzyma się u swojej przyjaciółki, czy w hotelu? - spytał.

- W hotelu. O ile się orientuję, Krystyna nie ma zbyt dobrych warunków mieszkaniowych. Później może się do niej przenieść. Nie wiem.

Jechali teraz wśród pól, od których szedł zapach wilgotnej ziemi. Niebo roziskrzyło się gwiazdami. Naładowane elektrycznością chmury zniknęły bez śladu. Pozostały po nich tylko wielkie kałuże w przydrożnych rowach i mokra szosa, po której ślizgały się światła reflektorów. Czasem zając przebiegł im drogę, czasem zrywała się spłoszona wrona z pobliskiego drzewa, czasem mijali ciemny kształt uspiętej chaty, podobnej do ogromnego grzyba wyrastającego z zieleni.

- Zapali pan?

- Chętnie, jeżeli mi pani pomoże.

Wyjęła z torebki paczkę „Cameli”, zapaliła papierosa i wsunęła go Stasiakowi do ust. Poczul na wargach smak jej szminki. Głęboko zaciągnął się dymem.

Do Wrocławia przyjechali nad ranem. Zaspany portier oświadczył kategorycznie, że żadnych wolnych pokoi nie ma. Stasiak jednak użył tak przekonujących argumentów, że po chwili znalazły się dwa oddzielne pokoje na pierwszym piętrze.

Stasiak wziął prysznic i położył się do łóżka. Pomimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Nie mógł się pozbyć obrazu dziewczyny o miedzianych włosach i ciemnych, aksamitnych, pełnych ciepłego blasku oczach. Był zły na siebie, że Magdalena zrobiła na nim tak duże wrażenie. Ostatecznie nie miał już dwudziestu lat. Powinien był być odporniejszy na kobiece wdzięki.

Wstał wcześniej. Ubrał się i wyszedł ze swego pokoju. Od portiera dowiedział się, że pani, z którą wczoraj przyjechał, jeszcze śpi. Wyjął z kieszeni bilet wizytowy z nazwiskiem Wilhelm Drumer i napisał kilka słów po niemiecku. „Wyjeżdżam na miasto w moich handlowych sprawach. Bardzo chciałbym z panią zjeść obiad”. Wsunął bilet do koperty i zwrócił się do portiera. - Niech pan będzie łaskaw doręczyć to pani Zagórzyckiej.

Wychodząc z hotelu, Stasiak spostrzegł siedzącego na małej kanapce Nowackiego. Młody porucznik udał, że go nie widzi. Zagłębiał się w lekturze gazety.

Stasiak, uspokoiwszy się, że nie zostawił Magdaleny bez opieki, wsiadł do mercedesa i pojechał do fabryki wagonów. Wiedział z doświadczenia, że w podobnych sprawach nigdy nie można być przesadnie ostrożnym. Podał się więc w fabryce za niemieckiego handlowca i odbył w dyrekcji dłuższą konferencję. Nikt tu nie miał wątpliwości co do tego, że rozmawia z

panem Wilhelmem Drumerem z Berlina Zachodniego. Kiedy znowu zasiadł za kierownicą, sięgnął ręką do kieszeni znajdującej się na drzwiczkach samochodu. Tak, jak to było umówione, znalazł dużą, szarą kopertę. Odjechał jednak dosyć daleko zanim do niej zajrzał. Ku swojemu zdumieniu znalazł fotografię, na której uwieczniona została zupełnie naga kobieta obejmująca czule jakiegoś wysokiego mężczyznę. Na niewielkiej kartce papieru krótki raport, napisany pośpiesznie ołówkiem: „Przeszukałem skodę. Nie znalazłem nic ciekawego oprócz tej fotografii, która była schowana pod obiciem tylnego siedzenia. Skodę zabrała milicja.

„Zuch chłopak” mruknął do siebie Stasiak. Kartkę podarł starannie na drobne kawałki, fotografię zaś wsunął do kieszeni. Nie miał wątpliwości co do tego, że naga piękność na tym oryginalnym zdjęciu to była właśnie jego towarzyszka podróży. Ale kim był ten interesujący mężczyzna, który pozwolił się sfotografować w takiej dosyć ryzykownej pozycji? Sądząc z wyrazu twarzy, był trochę przerażony tym, co się z nim działo. Jak go zidentyfikować? Trudno takie zdjęcie opublikować w prasie. Na samą myśl o tym, jakie miny miałiby panowie z cenzury, Stasiak parsknął śmiechem.

W hotelu zastał wiadomość od Magdaleny. Chętnie przyjęła jego zaproszenie na obiad i prosiła, żeby czekał na nią w hallu o trzeciej. Miał więc parę godzin czasu. Zjadł śniadanie i, poprosiwszy portiera, żeby go obudził o drugiej, poszedł spać. Teraz dopiero poczuł zmęczenie. Całą noc przecież przesiedział za kierownicą.

Zasnął od razu. Śniła mu się Magdalena, biegająca nago po lesie.

Na pewno spałby do wieczora, ale portier obudził go punkt druga. Stasiak klął na czym świat stoi i postanowił nie pójść na spotkanie z Magdaleną. Po paru minutach jednak otrzeźwiał, zwał się z łóżka i, mrużąc pod nosem brzydkie wyrazy, poczłapał do łazienki. Zimny prysznic przywrócił mu równowagę psychiczną i jasność umysłu. Ubrał się bardzo starannie. Elegancki, wyświeżony, za pięć trzecia zszedł na dół, usiadł w fotelu i czekał.

Przyszła punktualnie. Wydała mu się jeszcze piękniejsza, niż w nocy. Miała na sobie jasnopopielaty sportowy kostium z cieniutkiej wełny. Na tle tej szarości rdzawa plama gęstych włosów robiła interesujące wrażenie. Z czarującym uśmiechem podała mu rękę i powiedziała: - Gut Morgen, Herr Drumer.

Uklonił się z uprzedzającą grzecznością, wypytując jak spała, czy już zdążyła odwiedzić swą przyjaciółkę.

- Niestety, nie zastałam Krystyny - powiedziała z zakłopotanym wyrazem twarzy. - Powiedziano mi, że musiała niespodziewanie wyjechać służbowo.

Poszli do restauracji. Podczas obiadu Magdalena była zdenerwowana i roztargniona. Śmiała się, dowcipkowała, prowadziła lekką, czasem nawet frywolną rozmowę, ale Stasiak wyczuwał, że ta wesołość jest wynikiem dużego zdyscyplinowania wewnętrznego i że dziewczyna zaabsorbowana jest zupełnie czym innym. Kiedy podano czarną kawę, spytał:

- Czy pani już się jakoś zajęła swoim wozem? Skinęła głową.

- Tak. Niech pan sobie wyobrazi, że milicja zajęła się moją skodą. Już mnie tu odnaleźli i telefonowali do hotelu.

- Nie przypuszczałem, że polska milicja tak dobrze działa - powiedział Stasiak.

Spojrzała na niego uważnie. Wydawało mu się, że w jej dużych, ciemnych oczach dojrzał drwinę.

Dzień był upalny. Sala restauracyjna nie miała zbyt dobrej wentylacji. Stasiak miał na sobie ciemnozieloną sportową koszulę. Spytał:

- Czy pani pozwoli, że zdejmę marynarkę?

- Ależ oczywiście.

Wstał i powiesił marynarkę na poręczy krzesła.

- Długo pani ma zamiar, pozostać we Wrocławiu?

- Och nie. Chciałabym się doczekać powrotu Krystyny, ale jeżeli nie wróci jutro, to chyba pojutrze wyjadę. Nie mam tak dużo czasu.

Do ich stolika podszedł kelner.

- Czy pan Drumer? - spytał po niemiecku.

- Jawohl.

- Proszę pana do telefonu.

- To pewnie z Pafawagu - powiedział Stasiak, zwracając się do Magdaleny. - Przepraszam panią na chwileczkę.

Dzwonił Nowacki. - Na Ogrodowej była w mieszkaniu Grawińskich. Potem pojechała do ogrodu zoologicznego, a następnie spotkała, się z jakimś mężczyzną w kościele Świętego Krzyża. Tego mężczyznę przejął Zegała. Na razie to wszystko.

- Ja, ja, danke sehr - powiedział Stasiak i powiesił słuchawkę.

Kiedy wrócił do stolika, Magdalena paliła papierosa. Wydało mu się, że jest spokojniejsza. Obdarzyła go pogodnym, serdecznym uśmiechem.

- Interesy?

- Tak. Jutro mam u nich konferencję handlową. Polacy nie są narodem interesu. Bardzo dużo czasu trzeba stracić, zanim się z nimi coś konkretnie załatwi.

- Chodźmy stąd - powiedziała Magdalena. - Strasznie tu duszno.

- Czy pani ma jakieś projekty na dzisiejsze popołudnie?

- Właściwie nie mam żadnych projektów.

- To może przejedziemy się trochę moim wozem. Odetchniemy świeżym powietrzem.

- Chętnie. Gorąco dzisiaj między murami. Pojechali nad Odrę. Magdalena przechyliła w tył głowę i przymknąwszy oczy, wciągała w nozdrza orzeźwiający powiew płynący nad rzeki.

- Jest pan bardzo miły - powiedziała.

Pochylił się nad jej ustami, ale ona odsunęła go od siebie łagodnie.

- Nie podobam się pani?

- Owszem bardzo mi się pan podoba.

- Więc...? Dlaczego...?

- Nie jestem w tej chwili w nastroju.

- A kiedy pani będzie w nastroju?

- Nie wiem. Może nigdy, a może niedługo.

Przywarł wargami do jej dłoni. Ta dziewczyna działała na niego coraz silniej.

- Coś panu zaproponuję.

- Słucham?

- Jeżeli pan nic nie ma lepszego do roboty, to może zorganizowalibyśmy sobie taką małą wyprawę do lasu. Znam tu niedaleko taką przemiłą leśniczówkę. Jeździliśmy kiedyś do niej z Krystyną. Mieszka tam bardzo sympatyczny staruszek. Można nawet u niego przenocować.

- Doskonała myśl - ucieszył się Stasiak. Miał nadzieję, że podczas tej wycieczki Nowacki zdoła dokładnie przejrzeć rzeczy Magdaleny. Omylił się jednak.

Kupili pieczywo, masło, ser, trochę wędliny, kilka ciastek i dziesięć butelek lemoniady. Wrócili do hotelu, ponieważ Magdalena na wszelki wypadek chciała wziąć coś ciepłego. Stasiak czekał w wozie. Po dłuższej chwili wyszła, niosąc swą walizkę i czarną teczkę.

- Po co pani zabiera ze sobą wszystkie rzeczy? - spytał niemile zaskoczony.

Uśmiechnęła się.

- Lubię być przygotowana na wszelką ewentualność. Wolę mieć ze sobą pidżamę i przybory toaletowe. Do teczki włożymy butelki z lemoniadą. Zabrałam także nóż do robienia kanapek.

Kiedy wyjechali z Wrocławia, Magdalena powiedziała:

- Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, to może ja poprowadzę. Znam drogę do leśniczówki.

Stasiak nacisnął hamulec. - Proszę bardzo. - Nie był zachwycony tą zamianą przy kierownicy. Wydało mu się, że w pewien sposób wypuszcza ze swych rąk inicjatywę.

Magdalena rozwinęła od razu dużą szybkość. Wyglądała na bardzo zadowoloną.

- Lubię mercedesy. Fantastycznie ciągną. Nie czuje się szybkości.

Stasiak obserwował jej poruszane pędem powietrza włosy, błyszczące oczy i zaróżowione policzki. Miała piękny, nieomal klasyczny profil i było coś bardzo delikatnego, szlachetnego w linii jej szyi. Prowadziła wóz spokojnie, z dużą pewnością siebie. Widać było, że nie jest nowicjuską przy kierownicy. Rzucił szybkie spojrzenie na zegary. 130 kilometrów. - Czy nie uważa pani, że może za ostro jedziemy? - spytał.

- Zwolnimy na gorszej szosie - odpowiedziała z uśmiechem. - Taka szybkość podnieca, działa jak narkotyk.

- Odczuwa pani potrzebę narkotyku?

- Czasami.

Powiedziała to na pozór lekko, nieomal żartobliwie, ale w głosie jej wyczuł ledwie uchwytną nutę smutku. I nagle zrobiło mu się żal tej dziewczyny. Wiedział, że życie jej nie jest łatwe ani wesołe. Kto raz wejdzie w tę robotę, to dla niego właściwie już nie ma odwrotu.

- Jedziemy cały czas w kierunku granicy. Skinęła głową.

- Tak. Wiem o tym. Czy pan ma coś przeciwko temu?

- Nie skądże. Daleko jeszcze do tej leśniczówki?

- O ile pamiętam, to jeszcze z pięćdziesiąt kilometrów.

- To dobrze, bo już zaczynam być głodny.

- Jak widzę apetyt panu dopisuje.

- Nie mogę narzekać.

Magdalena zaczęła hamować. Uważnym spojrzeniem wodziła po zielonej ścianie lasu.

- Trafi pani do tej leśniczówki? - spytał Stasiak.

- Postaram się. Na ogół nieźle orientuję się w terenie.

- Nie wątpię w to.

Przejechali jeszcze kilkanaście kilometrów. Magdalena mocniej nacisnęła hamulec i skręciła na leśną drogę.

- Ostrożnie, żeby pani nie urwała sprzęgła - ostrzegł Stasiak.

Nad nimi był dach szeleszczących liści. Z jednej i z drugiej strony wozu biegły szarobrzowe pnie drzew.

- Dobrze jedziemy? Skinęła głową.

- Dobrze. Poznaję tę drogę. O, widzi pan tam w głębi ten ogromny obrośnięty mchem gład. Jeszcze dalej powinna być stara wałca się kapliczka i już...

Leśniczówka była tak dokładnie zasłonięta drzewami, że tylko wtajemniczeni mogli się domyślić jej istnienia. Magdalena zahamowała, włączyła wsteczny bieg i zawróciła wozem.

- Co pani robi? - zdziwił się Stasiak. Zaśmiała się.

- To z przyzwyczajenia. Zawsze tak ustawiam maszynę, żeby była gotowa do odjazdu. W lesie wcześniej robi się ciemno. Po co mamy później stuknąć gdzieś o jakieś drzewko.

Wysiedli i ruszyli w kierunku drewnianego domku. Przywitała ich zupełna cisza. Ani pies nie zaszczekał, ani człowiek nie wyszedł na spotkanie.

- Mam wrażenie, że tu nikt nie mieszka - powiedział Stasiak spoglądając z powątpiewaniem na zaryglowane drzwi i na zarośnięte trawą kamienne schodki.

W zamku tkwił duży klucz. Magdalena przekreśliła go energicznym ruchem. Weszli do środka. Trzy izby i kuchnia. Owionęło ich zatęchłe, przesiąknięte wilgocią powietrze. Nigdzie nie znaleźli żadnej żywej istoty, nie biorąc oczywiście pod uwagę myszy i pajaków. Stasiak rozglądał się niezdecydowany. Miał dość kwaśną minę. Trochę inaczej wyobrażał sobie romantyczną noc w leśniczówce.

Koło komina leżała spora wiązka drzewa.

- Niech pan rozpali ogień - powiedziała Magdalena. - Zrobimy nastrój. Ja tymczasem przyniosę z wozu zapasy żywności.

Wyszła. Sięgnął po zapalki i zaczął łamać gałęzie. Nagle drgnął. Posłyszał szum zapuszczanego motoru.

ROZDZIAŁ VII

Pułkownik Zarychta śmiał się długo i serdecznie. Widząc jednak zgnębioną minę Stasiaka, opanował atak wesołości i powiedział pocieszająco.

- Nie martwcie się, kolego. No cóż... każdemu może się zdarzyć.

- Ale, żeby taka smarkula... - jęknął Stasiak. Zarychta zapalił papierosa i klepnął się po okazałym brzuchu.

- Takie właśnie smarkule są najniebezpieczniejsze, a szczególnie jeżeli ładne. Bo przecież z brzydką nie pojechalibyście na noc do leśniczówki.

Stasiak poruszył się dotknięty do żywego.

- Zrobiłem to tylko i wyłącznie po to, żeby rozpracować agentkę. Nie podejrzewacie mnie chyba że...

Brzuch pułkownika znowu zaczął się trząść.

- Ależ ja was o nic nie podejrzewam. Chcieliście rozpracować... Rozumiem... rozumiem. W końcu nic się takiego tragicznego nie stało.

- Jak to?

- No tak. Według wszelkiego prawdopodobieństwa ta dziewczyna odbywała swoją ostatnią podróż do Polski. Była już pod bardzo ścisłą obserwacją i niewątpliwie musiała sobie z tego zdawać sprawę chociaż w pewnym stopniu. Dowodzi tego choćby fakt, że wyciągnęła wam z kieszeni marynarki fotografię.

- Musiała to zrobić w czasie obiadu, kiedy poszedłem do telefonu.

- Oczywiście, ale najwyraźniej podejrzewała was już przedtem. W przeciwnym razie nie szperałaby po kieszeniach waszej marynarki. Kto wie, czy nie podejrzewała was od samego początku.

- To bardzo prawdopodobne. Mogła mieć jakieś informacje odnośnie mojej osoby.

Zarychta pokiwał głową.

- Tak. To sprytna babeczka. A na pierwszy rzut oka zupełnie niewinnie wygląda. Nie róbcie takiej ponurej miny. W każdym razie wasza akcja dała pewne konkretne wyniki.

- Tak sądzicie? - spytał z nadzieją w głosie Stasiak.

- Oczywiście. Przede wszystkim w tej chwili wiemy już na pewno, że nasza Magdalenka była łączniczką obcego wywiadu. Bo właściwie podejrzewaliśmy ją od dawna, ale żadnych konkretnych dowodów przeciwko niej nie mieliśmy w rękach. Poza tym wiemy, z jakimi ludźmi się kontaktowała na naszym terenie, a więc przede wszystkim jej ojciec, następnie ta jej przyjaciółka z Wrocławia i wreszcie jegomość, z którym spotkała się we Wrocławiu w kościele Świętego Krzyża. To już są te nici, po których powoli można będzie dojść do przysłowiowego kłębka. Szkoda, psiakrew, że zabrała wam to zdjęcie.

- Wielka szkoda - przytaknął Stasiak.

- Czy zdołalibyście rozpoznać tego mężczyznę ze zdjęcia?

- Oczywiście. Bardzo charakterystyczna twarz.

- A ona zupełnie naga?

- Zupełnie.

Zarychta poskrobał się za uchem.

- Zastanawiam się nad tym, po jakiego diabła robili takie zdjęcia. Po co im to było potrzebne?

- Jemu nie było potrzebne, raczej jej.

- Tak sądzicie?

- Jestem tego prawie pewien.

- Szantaż?

- Właśnie to mam na myśli.

Pułkownik pociągnął dłonią po niestaránie ogolonych policzkach. Zadumał się.

- No cóż... nie ma rady. Musicie sobie pobiegać po Warszawie i poszukać faceta, który został uwieczniony w czulej pozie z Magdalenką. Odnalezienie tego niefortunnego amatora mogłoby nam wyjaśnić bardzo wiele spraw. Kto wie, czy nie dotarlibyśmy do głównych sprężyn całej afery. Magdalena była tylko skromnym pionkiem w tej grze.

- Nie mogę sobie darować - powiedział Stasiak. Zarychta wstał, podszedł do niego i poklepał go po ramieniu.

- Dajcie spokój. Nie warto już sobie tym głowy zawracać. Stało się. I tak dobrze, że odzyskaliśmy tego mercedesa. Parę groszy kosztuje taki wózek. No więc, nie zatrzymuję was dłużej. Rozejrzycie się trochę po terenie i jak będziecie mieli coś ciekawego, to zaraz dajcie mi znać. Aha, i jeszcze jedna sprawa. Dzwonił tu do was już parę razy Downar. Połączcie się z nim. Może ma coś pilnego.

Stasiak zatelefonował do Komendy Głównej, ale kobiecy głos poinformował go, że kapitan Downar wyszedł ze swego pokoju i wróci za kilka minut. Nie warto było czekać. Wsiadł do samochodu i pojechał na Puławską. Downar powitał przyjaciela entuzjastycznie.

- Cześć. Jak się masz? Całe wieki cię nie widziałem. Dlaczego nigdy się nie pokażesz, nie zadzwonisz?

- Podobno telefonowałeś do mnie - powiedział Stasiak.

- Tak. Chciałem ci oddać te pięćset złotych.

- Głupstwo. Zapomniałem o tym.

- Głupstwo nie głupstwo, a pięćset złotych się przyda.

- Downar wyjął z portfela banknot i podał go Stasiakowi.

- No opowiadaj co się z tobą działo. Wyjeżdżałeś gdzieś?

- Tak, ale na bardzo krótko. Miałem głupią historię - skrzywił się niechętnie Stasiak.

Downar usadowił go na fotelu i wyjął papierosy.

- No to opowiadaj.

Stasiak bez zapału opowiedział swą przygodę z Magdaleną. Downar także nie mógł powstrzymać wesołości.

- Niech cię diabli wezmą, ale cię przerobiła ta cizia.

- Nie ma się z czego śmiać - powiedział z kwaśną miną Stasiak.

Downar spojrział na przyjaciela i znowu parsknął śmiechem.

- Musisz przyznać, mój drogi, że sytuacja jest dosyć humorystyczna. Z jednej strony as kontrwywiadu, pogromca sławnego barona Boysta, były oficer Intelligence Service, a z drugiej strony młodziutki kociaczek. Wynik zaś tej rozgrywki: kociaczek odjeżdża w siną dal milicyjnym mercedesem, a as wywiadu drałuje na piechotę przeszło sto kilometrów przez lasy i knieje.

- Podwoziłem się ciężarówką - sprostował Stasiak.

- Jakie masz plany na najbliższą przyszłość? - spytał Downar.

Stasiak wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. Na razie życie mi zbrzydło... Jak trochę ochłonę z ostatnich wrażeń, to zacznę szukać tego faceta, który się sfotografował z roznegliżowaną dziewczyną.

Nagle Downar, tknięty jakąś myślą, uderzył się palcem w czoło.

- Czekaj, czekaj. Do licha! Przecież to się pięknie kojarzy.

- Co się kojarzy? Z czym? - spytał Stasiak.

Downar pośpiesznie otworzył szufladę biurka, szperał w niej przez chwilę, wyrzucając na podłogę różne papiery, i wreszcie wyjął to, czego szukał.

Stasiak przebiegł oczami zapisaną kartkę papieru.

- Skąd ty to masz? - spytał zdumiony.

- Znasz Zielińskiego?

- Chyba znam. Taki młody chłopak od was.

- Tak. Pomaga mi w robocie. Otóż wyobraź sobie, że Zieliński znalazł to oświadczenie w kieszeni marynarki jednego znanego lekarza.

- To bardzo interesujące.

- Wydaje mi się, że tak.

Rozległo się stukanie do drzwi. Wszedł sierżant Pakuła.

- Towarzyszu kapitanie. Przyjechał doktor Szrot. Czeka. Downar klasnął w rękę.

- O wilku mowa. To właśnie ten lekarz.

- Czego chce od ciebie? - spytał Stasiak.

- Żona Zielińskiego jest przyjaciółką jego żony. Rozumiesz? Męczą mnie już od jakiegoś czasu, żebym się zajął jego sprawą.

- Jakaż to sprawa?

- To jest chirurg. Podobno umierają mu po udanych operacjach wszyscy pacjenci.

- Otruci?

- Ale skąd. Zwyczajnie umierają. Stasiak spojrział zdziwiony.

- No to czego właściwie chcą od ciebie? Co tu ma do roboty milicja?

- Próbowałem już im to wytłumaczyć - westchnął Downar. - Ale nie daję rady. Wreszcie zdecydowałem się zaprosić go do komendy na rozmowę. Nie bez znaczenia oczywiście było to dziwaczne oświadczenie, z poświadczonym rejentalnie podpisem.

- Pokażesz mu je?

- Ale skąd. Już nie jestem zwolennikiem metody uderzeniowej.

- Chcesz, żebym był przy waszej rozmowie? - spytał Stasiak.

- Oczywiście.

Downar zwrócił się do sierżanta Pakuły i kazał poprosić doktora Szrota. Sam usiadł za biurkiem i wyjął z szuflady pudełko papierosów.

Wszedł Paweł. Był nieco zażenowany. Przedstawił się oficerom i usiadł na wskazanym sobie krześle.

Stasiak natychmiast rozpoznał w nowo przybyłym owego tajemniczego amanta z fotografii. Skinieniem głowy dał znak Downarowi. Następnie zaczął uważnie obserwować twarz Pawła.

Downar nie bardzo wiedział jak zacząć tę rozmowę. Poczęstował gościa papierosem, udał, że coś notuje na kawałku papieru, obejrzał sobie paznokcie. Wreszcie się zdecydował.

- Przed kilkoma dniami była u mnie pańska małżonka, panie doktorze.

- Wiem o tym.

- Żona pana twierdzi - ciągnął dalej Downar, nabierając coraz większej pewności siebie - że niezwykle jakoby zgony pańskich pacjentów posiadają charakter zagadki kryminalnej. Chciałbym usłyszeć pańskie zdanie w tej sprawie.

Paweł zrobił nieokreślony ruch rękami.

- No cóż... właściwie trudno coś konkretnego powiedzieć na ten temat. Sekcje nie wykazały nic podejrzanego.

- A czy i na panu te zgony zrobiły jakieś niewyraźne wrażenie? Czy był pan zaskoczony?

- Oczywiście - Paweł powiedział to z takim przejęciem, że aż ceglaste wypieki wystąpiły mu na twarzy. - Wszyscy ci ludzie, oprócz jednego profesora Piotrowskiego, mieli zdrowe serca. Ale i u Piotrowskiego nie było powodu do niepokoju.

- Czyli, że w żadnym z tych przypadków nie miał pan obaw o życie pacjenta?

- Absolutnie w żadnym.

- Hm. - Downar umilkł i zaczął rysować na kartce papieru jakieś zygzaki. Po chwili znowu spytał:

- Czy na terenie tego szpitala ma pan wrogów?

- Wrogów? - zastanowił się Paweł. - Nie, chyba nie. No, owszem, niektórzy koledzy czasem trochę zazdrościli mi powodzenia i sukcesów w pracy, ale nie mógłbym tego nazwać jakimś wrogim nastawieniem do mojej osoby. Nie sądzi pan chyba, żeby któryś z lekarzy wykańczał moich pacjentów po to, żeby mi zrobić na złość?

- Nie, tego nie sądzę - uśmiechnął się Downar. - Proszę mi powiedzieć, ale tak zupełnie szczerze, czy nie miał pan jakichś flircików na terenie szpitala? To się przecież czasem zdarza, że pielęgniarki zakochują się w lekarzach.

Paweł był zmieszany tym pytaniem.

- Owszem - powiedział po chwili wahania. - Jedna z pielęgniarek wyznała mi swą miłość, ale nigdy nic mnie z nią nie łączyło.

- Nie skorzystał pan z oferty.

- Nie.

- I w ten sposób zyskał pan sobie w tej dziewczynie śmiertelnego wroga. Odtrącona kobieta to bardzo groźny przeciwnik.

- Więc pan przypuszcza, że Teresa?

- Ja nic nie przypuszczam - powiedział spokojnie Downar. - Zaczynam dopiero zaznajamiać się ze sprawą. Usiłuję zebrać trochę materiału. Pan zna teren, a ja nie. Jeszcze chciałbym wiedzieć, czy ta dziewczyna, która obdarzyła pana uczuciem, ma jakiegoś adoratora, jakiegoś chłopca?

Paweł uśmiechnął się.

- Trudno by go nazwać chłopcem. Śmiało mógłby być jej ojcem.

- Kto to taki?

- Felczer z kliniki urologicznej. Parę razy widziałem go jak rozmawiał z Teresą, to znaczy z tą pielęgniarką.

- Czy sądzi pan, że jest w niej zakochany?

- Przynajmniej tak wszyscy mówią. Ja się specjalnie tymi sprawami nie interesowałem. Co mnie to obchodzi.

- Czy ta dziewczyna próbowała się w jakiś sposób mścić na panu?

Paweł skinął głową.

- Tak. Poszła do mojego szefa, profesora Suchańskiego i poskarżyła się na mnie, twierdząc, że napastowałem ją podczas nocnego dyżuru. To było oczywiście kłamstwo.

- Tak. - Downar zapalił papierosa. Chwilę milczał, jakby się nad czymś zastanawiał. Spojrzał na Pawła potem na Stasiaka, a następnie znowu na Pawła.

- Niech mi pan jeszcze powie, czy w ostatnich czasach nie padł pan przypadkiem ofiarą jakiegoś szantażu?

Paweł poczuł, że robi mu się gorąco.

- Nie. Nikt mnie nie szantażował. Dlaczego pan pyta?

- Tak sobie, z przyzwyczajenia - uśmiechnął się Downar. - Różne rzeczy zdarzają się ludziom. Pan prowadzi bardzo spokojny i regularny tryb życia, prawda?

- Raczej tak.

- Nie wygląda pan na człowieka goniącego za łatwymi zdobyczami miłosnymi.

Paweł zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

Downar znowu się uśmiechnął.

- Proszę mi wybaczyć tę trochę bezceremonialną rozmowę, ale niestety, jestem zmuszony zadawać panu te wszystkie drastyczne pytania. Czy pan ma jakąś przyjaciółkę?

- Nie. Jestem żonaty i nie zdradzam żony.

- To bardzo piękna cecha charakteru. Tak rzadko zdarzają się mężczyźni, którzy poza domem nie szukają mocnych wrażeń.

- Do czego pan zmierza? - spytał Paweł, którego zaczynała już niecierpliwie ta rozmowa.

Downar utkwiał badawcze spojrzenie w jego twarzy.

- Zmierzam do tego, żeby mi pan szczerze opowiedział o swoich kłopotach, o swoich niepokojach i o swoich podejrzeniach. Tylko bowiem w wyniku takiej zupełnie szczerzej rozmowy mogę panu ewentualnie coś pomóc.

- Jestem z panem zupełnie szczerzy - oświadczył dość oficjalnie Paweł. - Powiedziałem wszystko co wiedziałem w tej sprawie i nie sądzę, żebym miał jeszcze coś do dodania.

- No to doskonale. Wobec tego na tym chyba zakończymy naszą rozmowę. Zastanowię się nad pańską sprawą. Nic panu nie obiecuję, ale pomyślę nad tym wszystkim. W razie czego zadzwonię do pana do domu, albo do pracy. O ile mi wiadomo, pan już nie pracuje w szpitalu.

- Nie. Obecnie pracuję w Zakładzie Medycyny Wojskowej. - powiedział Paweł i wstał. Obaj oficerowie pożegnali się z nim bardzo serdecznie. Odprawiając go do drzwi Downar powiedział:

- Niech pan będzie dobrej myśli, panie doktorze. Mam nadzieję, że te wszystkie pańskie kłopoty jakoś się wyklarują.

Kiedy zostali sami, Downar spojrzął na Stasiaka i spytał:

- Co sądzisz o tym doktorku?

- To samo co i ty - uśmiechnął się Stasiak. - W każdym razie, jedno jest pewne: facet nie mówi wszystkiego, stara się coś ukryć. Może trzeba go było zastrzelić tą fotografią.

Downar potrząsnął głową.

- Nonsens. Nie widzisz, że chłop jest mocno spłoszony. Trzeba z nim bardzo ostrożnie. Stan nerwów tego człowieka jest taki, że mógłby zrobić jakieś głupstwo, którego potem w żaden sposób nie można by odrobić. Musimy go wziąć pod delikatną obserwację, zorientować się trochę w jego koneksjach, zapoznać się z terenem tego szpitala, słowem, jak to się pięknie mówi, rozpracować zagadnienie. Ta cała historia jakoś się wspaniale kojarzy z tą twoją sprytną dziewczuszką.

- Oczywiście - przyznał Stasiak. - Trudno jednak przypuszczać, żeby te nieudane operacje...

- Ze szpitala przeniósł się do Zakładu Medycyny Wojskowej - zauważył Downar.

- Przez cały czas o niczym innym nie myślę - powiedział Stasiak. - Tym niemniej nie wierzę w to, żeby ktoś mógł się zdecydować na przeprowadzenie tego rodzaju akcji.

- Zobaczymy. Wiesz tak samo dobrze, jak i ja, że życie przynosi nam nieraz tak niezwykle rozwiązania. W tej chwili nie przesądzałbym sprawy. Jedno jest pewne. Trzeba pochodzić koło tego.

Na drugi dzień z samego rana Stasiak zebrał garść niezbędnych informacji i odwiedził pułkownika Łukańskiego. W krótkich słowach wyjaśnił cel swojej wizyty, prosząc o całkowitą dyskrecję.

Łukański wysłuchał tego wszystkiego z pewnym zdziwieniem. Wreszcie, nie mogąc doczekać się bliższego skonkretyzowania sprawy, spytał:

- Czym właściwie mógłbym wam służyć, majorze?

- Chodzi mi o doktora Szrota - odparł Stasiak. O ile mi wiadomo, doktor Szrot niedawno rozpoczął pracę w Zakładzie Medycyny Wojskowej.

- Czyżbyście mieli w stosunku do niego jakieś zastrzeżenia? - zaniepokoił się Łukański.

Stasiak zaprzeczył energicznie.

- Nie, nie, broń Boże. Żadnych zastrzeżeń w stosunku do doktora Szrota nie mamy. Chodzi mi po prostu o pewne informacje. Jak wam dobrze wiadomo, Zakład Medycyny Wojskowej prowadzi w obecnej chwili dość interesujące prace badawcze. Te rzeczy wymagają specjalnej czujności. Moja skromna osoba jest właśnie w pewnym stopniu wyrazem tej czujności. Ponieważ nie znam terenu, więc...

- Rozumiem - skinął głową Łukański. - Pytajcie o wszystko co was interesuje. Jestem do dyspozycji.

Stasiak wyjął papierośnicę, poczęstował pułkownika i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Przede wszystkim chciałbym wiedzieć - powiedział, zapalając zapalną - chciałbym wiedzieć czy jesteście zadowoleni z pracy doktora Szrota.

- Bardzo. To doskonały fachowiec, a poza tym człowiek o nieprzeciętnej inteligencji. W pracy dokładny, sumienny, wykazuje inicjatywę. Moim zdaniem to jest znakomity nabytek dla naszego zakładu. Szczerze bym się zmartwił, gdybyśmy musieli z nim się rozstać.

- Zbieraliście referencje o doktorze Szrocie?

- Oczywiście. Wicie, że bez dobrych referencji nikogo nie przyjmujemy.

- Kto go do was skierował? Bo przecież nie przyszedł tak z ulicy.

- Poleciała go nam profesorowa Mokrzycka, żona tego znanego chemika. Musieliście o nim słyszeć. Współpracuje z naszym zakładem.

- O Mokrzyckim słyszałem - powiedział Stasiak. - To wybitna postać w świecie naukowym. Więc jego żona skierowała do was doktora Szrota?

- Tak. Zebraliśmy o nim oczywiście szereg dodatkowych informacji. O ile się orientuję, wszystkie te wywiady wypadły jak najkorzystniej.

- Niech mi pan jeszcze łaskawie powie, panie pułkowniku, czy znane jest panu nazwisko Zagórzycki?

Łukański zmarszczył brwi i począł sobie dłonią masować łysinę. - Zagórzycki. Zagórzycki - powtarzał w zamyśleniu. - Coś jakby mi się obiło o uszy to nazwisko, ale nie mogę sobie przypomnieć do kogo by ono pasowało. Wie pan, majorze, tylu ludzi się spotyka, że czasami trudno sobie przypomnieć czyjeś nazwisko.

- Czy pan zna profesora Mokrzyckiego? - spytał Stasiak.

- Oczywiście. Spotykamy się na terenie zakładu, a poza tym utrzymuję z profesorem i jego żoną stosunki towarzyskie. Nieraz grywamy w brydża.

- Więc pan się orientuje w ich stosunkach domowych?

Łukański spojrzał zdziwiony na Stasiaka.

- Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli.

- Chciałbym wiedzieć, czy Mokrzyccy są dobrym małżeństwem.

- Trudno mi coś na ten temat konkretnego powiedzieć - uśmiechnął się z pewnym zakłopotaniem Łukański. - No cóż... duża różnica wieku. Wicie, jak to bywa.

- To pani profesorowa jest znacznie młodsza od męża?

- zainteresował się Stasiak.

- O tak. Dobrych dwadzieścia kilka lat.
- Dlaczego wyszła za niego za męża? Łukański rozłożył ręce.
- Któż to może wiedzieć. To są już sprawy bardzo osobiste między dwojgiem ludzi.
- Więc to pani profesorowa Mokrzycka zaprotegowała doktora Szrota - powiedział Stasiak.

Łukański spojrzał na niego uważnie.

- Przypuszczacie, że?
- Nic nie przypuszczam. Nie mam żadnych podstaw do tego, żeby coś przypuszczać.
- Wyczułem w waszym głosie, jakby pewną insynuację. Stasiak potrząsnął głową.
- Nie, nie. To złudzenie. Nie miałem zamiaru nic insynuować. Po prostu chcę trochę zorientować się w terenie.

Łukański wytarł chustką spoconą łysinę. - Dlaczego interesujecie się profesorem Mokrzyckim i jego żoną? - spytał.

- Specjalnie się nimi nie interesuję. Zgadało się o nich w związku z tym Szrotem. Widzę, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i to mnie cieszy. Gdybyście mieli, pułkowniku, jakieś wątpliwości, proszę się ze mną skontaktować. Jestem do waszej dyspozycji.

- Dziękuję za opiekę - uśmiechnął się Łukański. - Nie omieszkam z niej skorzystać, jeżeli to będzie kiedykolwiek potrzebne.

Po wyjściu z zakładu Stasiak zamyślony szedł wolno ulicą. Nie był zadowolony z rozmowy przeprowadzonej z Łukańskim. Powiedział stanowczo za dużo. „W piątkę ostatnio gonię” mruknął ze złością i wsiadł do tramwaju.

*

Henryk Zagórzycki miał pracownię na Nowym Mieście. Sam o sobie mówił, że „choruje na antyki” i że nowoczesne wnętrza nie odpowiadają jego psychice. Otaczał się też wyłącznie stylowymi meblami, co sprawiało, że jego mieszkanie robiło nieco muzealne wrażenie. Od czasu do czasu w rozmowie z przyjaciółkami lubił w sposób dyskretny dawać do zrozumienia, że te „ludwiki” i „empiry” odziedziczył po przodkach. Które jednak z tych kanapek i fotelików pochodziły ze staro szlacheckiego dworku, a które zostały zakupione w sklepach „Desy”, tego nikt nie był w stanie dociec. Fakt jednak pozostał faktem, że pracownia Zagórzyckiego urządzona była z dużym smakiem, a każdy, kto do niej przyszedł po raz pierwszy, czuł się tak, jakby wyruszył w podróż poprzez minione stulecie.

Sam mistrz doskonale harmonizował ze swoimi antykami. Wysoki, szczupły, o suchej wyrazistej twarzy, miał w swej postaci i ruchach coś z angielskiego arystokraty. Bujna,

siwiejąca czupryna dodawała mu malarskiego uroku. Z zamiłowania był portrecistą, ale dla materialnych korzyści nie pogardzał grafiką użytkową, ilustracjami do czasopism, a od czasu do czasu próbował nawet robić plakaty, z czego zresztą dość szybko zrezygnował. Ubierał się zawsze bardzo starannie, dbając o to, żeby jego strój harmonizował pod względem kolorystycznym z wnętrzem, z obiciem mebli, z obrazami, z zasłonami na oknach.

Mieszkał sam. Od czasu niefortunnego małżeństwa z egzaltowaną aktorką wiedeńską, stracił przekonanie do trwalszych związków z kobietami i nie ożenił się po raz drugi, i nawet nie dbał o to, żeby przeprowadzić oficjalny rozwód. Sprawami gospodarskimi zajmowała się oddana mu bezgranicznie sześćdziesięcioletnia Klementyna, która gotowała, sprzątała robiła drobne przepierki, a nawet, w razie koniecznej potrzeby, odgrywała rolę modelki. Przywykła do przeróżnych dziwactw swego chlebodawcy i nic ją nie było w stanie wytrącić z równowagi. Właśnie Zagórzycki zabierał się do malowania aktu niezadowolonej gosposi, gdy u drzwi wejściowych zadźwięczał dzwonek.

- Jezus Maria! - zawołała przerażona Klementyna, okrywając pospiesznie swe obfite kształty prześcieradłem. - Ktoś przyszedł.

Zagórzycki powolnym, opanowanym ruchem odłożył pędzel i miarowym krokiem ruszył w kierunku przedpokoju. Odsunął zasuwę, przekreślił zatrzask, nacisnął klamkę.

W progu stał wysoki, barczysty mężczyzna w szarym garniturze.

Malarz spojrzał pytająco. Nigdy przedtem nie widział tej mocno zarysowanej, energicznej twarzy.

- Czym mogę panu służyć?

- Czy mam przyjemność z panem Zagórzyckim?

- Tak. Słucham pana.

- Pan pozwoli, że się przedstawię. Jestem Drumer, Wilhelm Drumer. Czy mógłbym prosić pana o chwilę rozmowy?

- Bardzo proszę - powiedział Zagórzycki, którego zaintrygował tajemniczy nieznajomy, mówiący z twardym, cudzoziemskim akcentem.

Usiedli na biedermeierowskich fotelikach i Zagórzycki spytał:

- Napije się pan kawy?

- O, nie, nie. Bardzo dziękuję. Ja tylko na chwilę. Proszę sobie nie robić kłopotu. Chciałem z panem pomówić o pańskiej córce.

- O Magdalenie? - zdziwił się Zagórzycki. - Słucham, o cóż to chodzi?

Stasiak opowiedział swoją przygodę w leśniczówce. Zagórzycki uśmiechał się z wyraźnym zażenowaniem.

- Bardzo pana przepraszam w imieniu mojej córki. To postrzelona dziewczyna. Nigdy nie wiadomo co jej może przyjść do głowy. Nieraz już miałem z nią bardzo poważne kłopoty. Myślę, że może to ta literacka fantazja.

- To pańska córka jest pisarką?

- Tak. Pisuje sensacyjne powieści. Niestety, nie wystarcza jej pisanie i od czasu do czasu postanawia w życiu zrealizować któryś ze swych szalonych pomysłów. Doprawdy niezmiernie mi przykro, że pan musiał tyle kilometrów maszerować po szosie. A propos, co się stało z pańskim wozem?

- Znalazł się nieuszkodzony. Zagórzycki odetchnął z ulgą.

- Chwała Bogu. Mercedes to jednak dość kosztowna maszyna, a Magdalenka, mówiąc szczerze, nie prowadzi zbyt ostrożnie.

- Zauważyłem to - przytaknął Stasiak. - Czy Pan się orientuje, gdzie w tej chwili znajduje się pańska córka? Chciałbym jej podziękować za miłą wyprawę do lasu.

Zagórzycki uśmiechnął się.

- Magdalena pożegnała się ze mną. Nie wiem dokładnie, co się z nią dzieje. Może już jest w Wiedniu, a może siedzi u swojej przyjaciółki we Wrocławiu. Nie miałem od niej wiadomości. Ale, ale... chciałem się pana spytać, w jaki sposób odnalazł mnie pan?

- Po prostu przy pomocy książki telefonicznej. Panna Magdalena wspomniała, że jej ojciec jest artystą malarzem, zajrzałem do katalogu telefonicznego i bez trudu znalazłem pańskie nazwisko wraz z określeniem pańskiego zawodu. Przyznam się szczerze, że bardzo chciałem pana poznać. Byłem ciekaw, jak wygląda ojciec dowcipnej panienki. Proszę się nie gniewać na mnie za to bezceremonialne najście na pańską pracownię. A teraz, niestety, muszę już pana pożegnać. Pan będzie łaskaw załączyć ode mnie ukłony pannie Magdalenie.

- Bardzo mi miło było pana poznać - powiedział wstając Zagórzycki. - Niech pan będzie pewien, że skorzystam z najbliższej okazji aby porządnie zmyć głowę tej smarkuli.

Wyszedłszy z malarskiej pracowni, Stasiak wolnym, ociężałym krokiem powlókł się nad Wisłę. Pragnął zebrać rozproszone myśli. Widok płynącej wody zawsze działał na niego uspokajająco. A miał się czym denerwować.

Od szeregu tygodni błądził po omacku. Wiele faktów wskazywało na to, że na terenie Polski działa dobrze zorganizowana siatka szpiegowska. Mimo jednak usilnych starań, nie zdołał wpaść na jakiś konkretny ślad. Ciągle jeszcze obracał się w sferze przypuszczeń, domysłów, nieumotywowanych materiałem dowodowym hipotez. Nawet i sprawa z Magdaleną. Obaj z pułkownikiem Zarychtą byli przekonani, że ta dziewczyna odgrywa rolę łącznika, ale nie mieli w rękach wyraźnych dowodów. Była niewątpliwie predestynowana do

tej roli, młoda, piękna, energiczna, władająca paroma językami, a przede wszystkim mająca znakomity pretekst do stałego kursowania pomiędzy Wiedniem a Warszawą. Trudno było przecież dziwić się dziewczynie, że chce przyjechać odwiedzić ojca.

Zagórzycki. Jaką rolę w tym wszystkim odgrywa ten człowiek? Reprezentował sobą zbyt powieściowy typ, żeby można w nim było podejrzewać agenta obcego wywiadu. A może właśnie to była jego strategia? Może pod postacią wytwornego, trochę egzaltowanego artysty ukrywał swe prawdziwe oblicze? Może oboje z Magdaleną byli członkami szpiegowskiej organizacji? Ta hipoteza wydawała się Stasiakowi jednak mało prawdopodobna. To byłoby zbyt grubymi nićmi szyć. Zagórzycki był osobą zbyt znaną, zbyt eksponowaną, a te ciągle podróże córki... Trzeba było czekać cierpliwie, aż nadejdą z Wrocławia jakieś wiadomości. Może inwigilacja mężczyzny, z którym spotkała się w kościele Magdalena, da jakieś rezultaty. A co ma z tym wspólnego doktor Szrot? Co znaczy to niezwykle zdjęcie? Czy Szrot jest zamieszany w jakąś aferę? Podczas rozmowy z Downarem był speszony, zaniepokojony, robił wrażenie człowieka, który ma niezbyt czyste sumienie. Mogły to być oczywiście tylko pozory. Pozory. Wiecznie tylko pozory. Przypuszczenia, podejrzenia. Ciągłe jeszcze nie konkretnego.

Stasiak zaklął głośno i zawrócił ku miastu. Miał pokój w Bristolu, gdzie był zameldowany jako Wilhelm Drumer i gdzie nikt nie wątpił w to, że przyjechał z Berlina w sprawach handlowych.

Portier, wręczając mu klucz, powiedział po niemiecku:

- Jakaś pani czeka na pana w hallu.

- Pani? - zdziwił się Stasiak.

- Tak. Przyszła przed dziesięcioma minutami, dowiedziała się, że pana nie ma i postanowiła chwilę zaczekać.

Zaintrygowany Stasiak wszedł do hallu. I nagle oniemiał. Z głębokiego fotela podniosła się uśmiechnięta Magdalena.

- Dzień dobry. Jakże się cieszę, że pana widzę.

Stasiak uściśnął machinalnie podaną sobie dłoń, zamrugał oczami, jakby się chciał przekonać, że nie śpi i powiedział niewyraźnie:

- Dzień dobry pani.

Przyglądała mu się ubawiona. - Czy jest pan skłonny zaprosić mnie do swojego pokoju? - spytała. - Chciałabym z panem chwilę pogawędzić.

Stasiak już się otrząsnął z pierwszego wrażenia. Wskazał windę.

- Bardzo proszę. Może pojedziemy na górę.

Kiedy znaleźli się w numerze, Magdalena zdjęła płaszcz, poprawiła sobie włosy, umyła ręce, a następnie usiadła w foteliku pod oknem i zapaliła papierosa. Zachowywała się swobodnie, jakby to była jej własna kawalerka. Stasiak obserwował ją z zainteresowaniem. Nie wiedział, co ma sądzić o tym wszystkim.

Zaciągnęła się dymem i powiedziała:

- Pan na pewno jest na mnie wściekły.

- No cóż... zrobiła mi pani paskudny kawał.

- Tak. To był bardzo głupi kawał - przyznała szczerze. - I dlatego tu przyszedłam, żeby pana przeprosić. Widzi pan... ja sama nie wiem jak to się dzieje, ale czasami tak mnie coś podkusi, że zupełnie nie mogę się powstrzymać. Już takie mam idiotyczne usposobienie od urodzenia. Rodzice mieli ze mną bardzo dużo kłopotu, a szczególnie ojciec.

- Byłem u pani ojca - powiedział Stasiak.

- Był pan? Naprawdę? Po co pan poszedł do kochanego papy?

- Żeby się na panią poskarżyć. Zrobiła zatroskaną minę.

- To nieładnie z pańskiej strony. Biedny ojczulek i tak ma już tyle przykrości z mojego powodu. Pewnie się bardzo zmartwił tym mercedesem.

- Pocieszyłem go, że mój wóz się znalazł.

Magdalena zgasiła papierosa, wstała i, przybrawszy pozę skruszonej pensjonarki, powiedziała ze świetnie udaną nieśmiałością:

- Ja... ja... ja naprawdę bardzo pana przeproszam za ten głupi dowcip. Bardzo żałuję swojego postępku i przyrzekam, że już więcej się to nie powtórzy.

Tak znakomicie odegrała swoją rolę, że Stasiakowi wydało się przez chwilę, że rzeczywiście ma przed sobą zawstydzoną uczennicę. Nie mógł utrzymać powagi. Roześmiał się serdecznie.

- Ma pani ogromny talent aktorski i, o ile mi wiadomo, nie tylko aktorski. Ojciec pani powiedział mi, że zajmuje się pani pisaniem interesujących powieści.

Niecierpliwym ruchem odgarnęła spadające jej na czoło gęste, miedziane włosy.

- Tatuś jest naprawdę niemożliwy. Tyle razy prosiłam go, żeby nie zdradzał mego incognito, żeby z nikim o tych sprawach nie mówił. Ja piszę pod pseudonimem i nie chcę, żeby znano moje nazwisko.

- Dlaczego pani nie chce?

- Bo nie.

- Wyjaśnienie jest rzeczywiście wyczerpujące - uśmiechnął się Stasiak. - Niech mi pani powie, dlaczego właściwie wtedy zabrała mi pani wóz i uciekła. Czyżby się pani mnie bała?

Parsknęła tak serdecznym śmiechem, że aż mu się zrobiło przykro.

- Bać się? Pana? Dlaczego?

- No cóż... wieczór, samotna leśniczówka, nieznajomy mężczyzna. Różnie może się zdarzyć.

Nie przestawała się śmiać.

- Ależ ja się naprawdę pana nie bałam i nie boję. Mit o zgwałconej dziewicy już dawno przestał być aktualny. W zeszłym roku w Rio de Janeiro w porcie dwaj mulaci próbowali ze mną coś takiego. Mogę pana zapewnić, że na zdrowie im to nie wyszło.

- Jest pani mistrzynią w judo - uśmiechnął się Stasiak.

- Dużo sama podróżuję po świecie. Muszę umieć się obronić w razie potrzeby.

- W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego pani uciekła ode mnie z tej leśniczówki?

Wydeła wargi i podrapała się w czubek nosa. Widać było, że zastanawia się nad odpowiedzią.

- Częściowo dlatego, że wstąpił wtedy we mnie nagle jakiś duch przekory. Czasem tak bywa, że człowiek sam sobie robi na złość. Bo ja właściwie miałam ochotę zostać z panem w leśniczówce. A poza tym chciałam pana wywieść w pole.

- Wywieść w pole? Dlaczego?

- Dlatego, że pan mnie tropił. Stasiak zrobił się czujny.

- Nie rozumiem o czym pani mówi. Spojrzała na niego z kpiącym uśmiechem.

- Czyżby rzeczywiście pan nie rozumiał? Proponuję, żebyśmy przestali grać tę komedię. Mnie to już nie bawi.

- Jaką komedię? Co pani nie bawi?

- To całe udawanie. Przecież pan wcale nie jest kupcem z Berlina Zachodniego.

- A według pani kim ja jestem?

- Agentem Interpolu.

Stasiak nie spodziewał się takiej odpowiedzi. W pierwszej chwili zaniemówił.

- Dlaczego pani sądzi, że ja jestem agentem Interpolu? Roześmiała się.

- Niech pan nie udaje. To się na nic nie zda. Wiem, że pan mnie śledzi od dłuższego czasu. Wiem, że wypuścił mi pan z baku benzynę, żebym musiała się zatrzymać na szosie. Doskonale orientowałam się w tym, dlaczego motor w mojej skodzie nie funkcjonował. Agenci Interpolu już zresztą dosyć dawno mają mnie na oku. Ale mogę pana zapewnić, że

zupełnie niepotrzebnie traci pan czas i energię. W tej chwili to są już sprawy nieaktualne. Owszem, kiedyś byłam członkiem bandy handlarzy narkotykami, przemycałam kokainę, ale wycofałam się. Właściwie nie zdawałam sobie sprawy z tego, co to są narkotyki. To był dla mnie zupełnie pusty dźwięk, bez żadnego odpowiednika w rzeczywistości. O narkotykach i narkomanach miałam wiadomości czysto teoretyczne. Nie wiem, czy mnie pan rozumie?

- Doskonale panią rozumiem - powiedział Stasiak. - Więc przestała się pani zajmować tymi sprawami?

Skinęła głową.

- O tak. Już chyba ze dwa lata nie mam z tym nic wspólnego. Widzi pan... tak się złożyło, że poznałam pewną kobietę, która była kokainistką. Zaprzyjaźniłam się z nią. Początkowo nawet nie wiedziałam, że to jest narkomanka. Dopiero potem. To straszne, jak ona się męczyła. Od tej pory przysięgłam sobie, że nie przyłożę ręki do handlu narkotykami. Ale ponieważ od czasu do czasu kontaktuję się z moimi przyjaciółmi, którzy mnie wtedy wciągnęli do tej roboty, i ponieważ często jeżdżę za granicę, więc Interpol ciągle ma mnie na oku. Dlatego też pan mnie śledził i dlatego miałam ogromną ochotę spłatać panu figła.

- No i spłatała mi pani niezłego figła.

- Bardzo przepraszam. Teraz tego żałuję. Gniewa się pan jeszcze na mnie?

Stasiak nie odpowiedział. Uważnie przyglądał się dziewczynie, rejestrując w pamięci każde najdrobniejsze drgnienie jej twarzy. Chciał poruszyć sprawę tej fotografii, ale na razie zrezygnował z tego.

- Niech mi pani powie, dlaczego właściwie przyszła pani tu do mnie i dlaczego pani mi to wszystko opowiada?

Zaczerwieniła się i z niezwykłą uwagą zaczęła oglądać swe paznokcie.

- I tak pan nie uwierzy...

- Dlaczego nie uwierzę? Przecież, jak pani już zdołała zauważyć, jestem człowiekiem bardzo łatwowiernym. Można powiedzieć, że nawet zbyt łatwowiernym jak na agenta Interpolu. Więc niech pani mówi śmiało dlaczego zwierza mi się pani z tych wszystkich rzeczy?

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- A więc mówię śmiało: dlatego, że pana polubiłam i nie chciałam, żeby pan o mnie źle myślał, żeby pan był na mnie zły.

Stasiak trochę się zmieszał. Bezpośredniość tej dziewczyny była dla niego krępująca, tym bardziej, że od samego początku niezwykle mu się podobała.

- Widzę, że chce mnie pani do siebie dobrze usposobić - powiedział z uśmiechem. - Liczy pani oczywiście na to, że ja wierzę we wszystko co pani mówi.

Wzruszyła ramionami.

- To już zależy od pana. Ale może pan spróbuje logicznie rozmawiać. Po co miałabym tu przychodzić? W jakim celu? Przecież w tej chwili mogłabym spokojnie siedzieć w Wiedniu. Byłoby to dla mnie bezpieczniejsze.

- Różne bywają strategie - powiedział Stasiak.

- Strategie? Ha, ha, ha. To zabawne. Widzę, że pan ma rzeczywiście mentalność tajnego agenta. Wszędzie węszy pan jakiś podstęp. Nie może pan zrozumieć tego, że pan mi się po prostu podoba i że dlatego tu przyszedłem.

- Czy mam to uważać za wyznanie miłosne? Poruszyła się niecierpliwie.

- Powiedziałam przecież zupełnie wyraźnie: pan mi się podoba. Nie twierdzę, że pana kocham.

Stasiak uśmiechnął się. Zaczynała go bawić ta sytuacja.

- Mam wrażenie, że ponosi panią literacka fantazja. Zaczyna pani pisać nową powieść?

Poczula się urażona. Spochmurniała.

- Nie bierze mnie pan poważnie!

- A czyż mogę panią brać poważnie?

- Przecież się panu podobam.

- Owszem i to bardzo - przyznał szczerze Stasiak.

- No więc dlaczego mówi pan, że nie można mnie brać poważnie?

Stasiak zapalił papierosa. W tej chwili przysłała mu pewna myśl do głowy, która całkowicie zaabsorbowała jego uwagę. Umilkł.

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie - nastawała Magdalena. - Dlaczego nie może mnie pan brać poważnie. Już od bardzo dawna jestem pełnoletnia.

- Moje drogie dziecko - Stasiak celowo przybrał ton dobrego wujaszka. - Nie może pani ode mnie wymagać, żebym panią brał poważnie. Niechże się pani zastanowi. Naprzód jedzie pani ze mną na wycieczkę do lasu, następnie ucieka pani, zabierając mi auto. Wreszcie przychodzi pani do mnie do hotelu i ni z tego ni z owego wyznaje mi pani swoje uczucia. Wszystko to razem...

- Sądziłam, że jest pan człowiekiem bardziej nowoczesnym - mruknęła wydymając pogardliwie wargi. - Ale pan ma takie same staroświeckie poglądy jak mój tata.

- Czy pojęcie nowoczesności ma być równoznaczne z brakiem odpowiedzialności, z lekkomyślnym postępowaniem, z lekceważeniem wszystkich i wszystkiego? - spytał Stasiak.

Energicznie potrząsnęła głową.

- Nie. Dla mnie nowoczesność to zerwanie z nudnym, głupim, nikomu niepotrzebnym konwenansem. Po co te wszystkie hece? Podoba mi się pan, więc przychodzę do pana i wyraźnie o tym mówię. Nie rozumiem co w tym może być złego?

- Nie, nic nie ma w tym złego, ale...

- Ale co?

- Ale trzeba mieć pewność, że nic się pod takim wyznaniem nie kryje, że to nie jest manewr zastosowany w rozgrywce z agentem Interpolu.

- Więc pan mi ciągle jeszcze nie ufa - powiedziała Magdalena, a w głosie jej zabrzmiał niekłamany żal. - Szkoda!

- Z wiekiem człowiek traci zaufanie do ludzi - uśmiechnął się Stasiak. - A ja już nie jestem taki młody.

Magdalena nagle zerwała się ze swojego miejsca i zaczęła niespokojnie krążyć po hotelowym pokoju.

- Dobrze - powiedziała z niespodziewaną energią. - Dobrze. Dowiodę panu mojej lojalności względem pana. Przekona się pan, że jestem w stosunku do pana zupełnie szczerą.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Nie mam nic przeciwko temu. Tylko nie wiem, w jaki sposób zamierza to pani zrealizować.

- W jaki sposób? To zupełnie proste. Pokażę panu ludzi, którzy się trudnią przemytem narkotyków.

- Chce pani sypnąć swoich przyjaciół?

- To nie są moi przyjaciele. To bandyci, mordercy. Czy pan wie, że ja nie mam chwili spokoju? Grożą mi.

- Grożą?

- Tak. Chcą mnie zmusić do tego, żebym znowu zaczęła wozić narkotyki. Podobno mają teraz większą partię, którą chcą przerzucić do Szwajcarii. Powiedzieli, że mnie zabiją, jeżeli im w tym nie dopomogę.

Stasiak z niedowierzaniem pokręcił głową,

- Hm. I cóż pani zamierza?

- Właśnie w tej chwili postanowiłam przekazać tę sprawę w pańskie ręce. Zamknij pan tych ludzi w więzieniu i w ten sposób ja będę miała wreszcie spokój, a pan przekona się, że mówię prawdę.

- To nie takie proste, trzeba zdobyć dowody ich winy.

- To chyba pan potrafi. Ostatecznie od czego pan jest agentem Interpolu?

- Co pani proponuje?

- Po prostu skontaktuję pana z Marianem.

- Któż to jest Marian?

- Jeden z nich. Powiem mu, że pan jest skłonny zabrać do Berlina Zachodniego część towaru.

- Nie uwierzą mi.

- Uwierzą. Niech pan na mnie polega. Jak pan raz wpadnie na trop całej organizacji, to ich pan sobie po kolei wyłowi. Ja naprawdę już nie chcę z nimi mieć nic wspólnego.

Stasiak zastanowił się przez chwilę. Nie miał pewności, czy powinien się teraz angażować w tę historię. Nie bardzo miał na to czas. Przecież chodziło mu zupełnie o co innego. Handel narkotykami w tym momencie nie interesował go. A poza tym, co było najważniejsze, nie wierzył absolutnie w nic z tego wszystkiego, co mówiła ta dziewczyna. Doszedł jednak do wniosku, że nie ma innego wyjścia, że musi wziąć jej słowa za dobrą monetę i zgodzić się na tę niezwykle propozycję.

- No dobrze, niech mnie pani zapozna z tym Marianem.

- Umówiona z nim jestem w „Grand Hotelu” na kolacji. Może zrobimy tak, że pojedzie pan ze mną na to spotkanie. Usiądzie pan przy osobnym stoliku. Ja porozmawiam z Marianem i ewentualnie zaprosimy pana potem do naszego stolika, albo umówimy się gdzie indziej. Zgoda?

- Zgoda - kiwnął głową Stasiak - Ale sądzę, że byłoby lepiej, gdybym zaczekał na pani telefon w hotelu.

- Jak pan woli.

- I ponieważ tak szczerze rozmawiamy, to chciałbym wyjaśnić jeszcze jedną sprawę.

- Słucham?

- Co to za fotografia, którą mi pani zabrała z kieszeni marynarki podczas obiadu w „Monopolu” we Wrocławiu?

Magdalena roześmiała się.

- Mówi pan o tym zdjęciu, na którym zostałam uwieczniona w stroju niedbałym?

- Tak.

- Odmawiam odpowiedzi na to pytanie. Mogę pana tylko zapewnić, że zdjęcie to nie ma najmniejszego związku z przemytem narkotyków. - Spojrzała na zegarek. - Idę. Marian się niecierpliwi.

Zostawszy sam Stasiak odczekał chwilę, a następnie pośpiesznie zbiegł po schodach i wyszedł na ulicę. Z automatu połączył się z porucznikiem Nowackim, który czekał na jego rozkazy. - Pojedziecie natychmiast do „Grand Hotelu”. Magdalena Zagórzycza jest tam umówiona z jakimś osobnikiem, któremu podobno na imię Marian. Zbierzcie możliwie jak najwięcej informacji o tym człowieku. Czekać na mój telefon.

Wrócił do hotelu. Zdjął marynarkę i wyciągnął się na tapczanie. Palił papierosa, patrząc w zamyśleniu w sufit. Po rozmowie z Magdaleną miał solidny mętlik w głowie. Któż mógł mu zaręczyć, że wszystko to co mówiła nie było wynikiem dobrze obmyślanej i konsekwentnie przeprowadzanej gry. Z drugiej strony jednak w słowach tej dziewczyny było dużo młodzieńczej szczerości. Stasiak wiedział o tym, że kobiety są dobrymi aktorkami, ale w tym przypadku miał bardzo poważne wątpliwości. Za dużo ryzykowała. Zdrowy rozsądek nakazywał w tej sytuacji jak najspieszniej likwidować się z terenu. Czy rzeczywiście wzięła go za agenta Interpolu? Wyglądało na to, że tak. W takim razie te podejrzenia, jakoby była zamieszana w aferę szpiegowską, zupełnie upadają. Ciekawe co na to powie Zarychta? I on także jednak nie miał żadnych konkretnych danych w ręku, żeby oskarżać Magdalenę o szpiegostwo. Kto to jest ten jakiś Marian?

Stasiak wstał i zaczął chodzić po pokoju. Był zdenerwowany. Najchętniej wyjechałby na miasto, ale musiał czekać na telefon Magdaleny.

Zadzwoiła dopiero po dziesiątej. - Niech pan zaraz przyjedzie do hotelu „Warszawa”. Wszystko panu wytłumaczę.

Stasiak włożył płaszcz, wsunął do kieszeni pistolet i zszedł na dół. Po chwili siedział za kierownicą mercedesa.

Magdalena czekała na niego w hallu. Wzięła go pod rękę i wyszli z hotelu. Robili wrażenie zakochanej pary.

- Marian zasadniczo zgadza się na pańską propozycję, ale nie chce rozmawiać na ten temat ani w kawiarni, ani w restauracji. Mieszka teraz pod Warszawą. Proponuje, żebyśmy do niego przyjechali.

- O tej porze?

- To niedaleko. Koło Konstancina.

- Dobrze - zdecydował się Stasiak. - Jedziemy.

Skręcili w Świętokrzyską, a potem prosto Marszałkowską. O tej porze ruch już był mały. Stasiak mógł rozwinąć dużą szybkość.

- Wie pani dokładnie gdzie to jest? - spytał.

- Oczywiście.

Jechali w milczeniu. Magdalena była zamyślona i nie zdradzała ochoty do rozmowy. Stasiak patrzył na szosę. Nie wiedział, czy dobrze zrobił, że się zgodził na tę nocną eskapadę. Pistolet tkwiący w kieszeni płaszcza wpływał dodatnio na jego samopoczucie.

- Teraz na prawo - powiedziała Magdalena.

Nisko przechylone gałęzie drzew szeleściły liśćmi po dachu samochodu. Poprzez zieleń przebijały żółte światła pobliskich domów. Kudłaty pies szczekał zajadle w bezsilnej wściekłości na stalową siatkę. Po chwili światła stały się coraz rzadsze, ujadanie psa zostało daleko w tyle, koła mercedesa grzęzły w piachu.

- Daleko jeszcze?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Już zaraz. Niech pan zwolni, bo tutaj straszne doły. Biała willa była zasłonięta drzewami. Wzdłuż żelaznych sztachet pomalowanych na zielono rosły maliny.

Pchnęli furtkę i weszli. Ciemne okna migotały gładkimi taflami szyb.

- Zdaje się, że nikogo nie ma - powiedział Stasiak, rozglądając się uważnie dokoła. Ogarnął go nagły, niczym nie uzasadniony niepokój. Wsunął rękę do kieszeni płaszcza i dotknął pistoletu.

Parę kamiennych stopni prowadziło na maleńki ganek. Magdalena nacisnęła bakelitowy guzik. W głębi mieszkania zadzwieczał dzwonek.

- Nikogo nie ma - powtórzył Stasiak.

- Jest. Jest na pewno. Chyba, żeby mu gdzieś wóz nawalił.

Znowu zadzwonili. Tym razem rozległy się pośpieszne, energiczne kroki. W oknie zabłyśło światło.

- Proszę, bardzo proszę.

Krasiewicz z uprzejmym uśmiechem cofnął się w głąb przedpokoju, aby wpuścić przybyłych. Stasiak przyglądał mu się ciekawie.

- Poznajcie się panowie - powiedziała Magdalena. Uścisnęli sobie dłonie. Stasiak zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku. Żałował, że nie przeniósł pistoletu do kieszeni marynarki. Teraz już było za późno.

Przeszli do niewielkiego saloniku, urządzonego z dobrym smakiem. Meble proste, nowoczesne. Na ścianach parę wartościowych drzeworytów, a na podłodze jednobarwny

ciemnozielony dywan. W rogu stała wysoka lampa z dużym pomarańczowym abażurem. Druga lampa, umieszczona na półce z książkami, miała biały abażur.

Usiedli. Krasiewicz poczęstował Stasiaka papierosami, a następnie zwrócił się do Magdaleny:

- Możesz wziąć mój wóz - powiedział. - Jest w garażu.

Bez słowa wstała i ruszyła ku drzwiom. Stasiak odprowadził ją spojrzeniem. Wyczuł, że dziewczyna pozostaje pod silnym wpływem tego jegomościa i że jest przyzwyczajona słuchać jego rozkazów. Wyszła. Krasiewicz zwrócił się z przesadnie ugrzecznionym uśmiechem do swego gościa.

- Miło mi pana poznać, panie Drumer. Dużo słyszałem o panu od Leny. Jest panem zachwycona, po prostu zachwycona.

- Ja również cieszę się z naszej znajomości - powiedział dość chłodno Stasiak. - Panna Zagórzycka także opowiadała mi o panu.

- O ile się orientuję, to pan mieszka stale w Berlinie Zachodnim?

- Jest pan dobrze zorientowany.

- I przyjechał pan do Warszawy w interesach handlowych. Stasiak rozłożył ręce.

- No cóż, drogi panie. Trzeba żyć, a żeby żyć trzeba zarobić.

- Oj, tak, tak - podchwycił skwapliwie Krasiewicz. - Trzeba zarobić, a o to teraz coraz trudniej.

- I coraz niebezpieczniej - uzupełnił Stasiak. Krasiewicz nerwowo poruszył się na krześle i zapalił nowego papierosa.

- A więc... - podjął, ale w tej chwili zaterkotał telefon. Krasiewicz powiedział - przepraszam - wstał i podszedł do stolika, stojącego pod oknem. Nie spuszczać z oczu Stasiaka, podniósł słuchawkę. - Halo? Tak, tak, rozumiem. Oczywiście. Tak. Dziękuję. Skontaktuję się z tobą jutro. - Odłożył słuchawkę i wrócił na swoje miejsce. Zgasił papierosa i spytał: - Napije się pan czegoś?

Stasiak potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję. O tak późnej porze nie pijam alkoholu. Zaczął pan coś zdaje się mówić na temat jakichś interesów handlowych.

Krasiewicz utkwił zamyślane spojrzenie w przeciwną ścianę.

- Tak. Właśnie chciałem z panem porozmawiać w sprawach handlowych. Bo to... Wspomniała mi Lena, że pan ma przedstawicielstwa firm zachodnioeuropejskich, a że ja posiadam dość rozległe kontakty, interesowałyby mnie na przykład najnowsze gatunki tworzyw sztucznych. Gdyby pan na to reflektował, to ewentualnie mógłbym występować na

terenie Polski w charakterze pańskiego subagenta. Nie wiem tylko, czy moja skromna osoba pozyskałaby sobie pańskie zaufanie. Mogę pana tylko zapewnić, że w sprawach handlu w ogóle, a w sprawach handlu zagranicznego w szczególności, mam duże doświadczenie.

Stasiak pojął w lot, że jego wizyta tutaj spaliła na panewce. Przyjaciel Magdaleny najwidoczniej w pośpiesznym tempie wycofał się z pierwotnego swojego planu. Nie było rzeczą wykluczoną, że spowodowała to niedawna rozmowa telefoniczna. Stasiak nie mógł odżalować, że ten aparat nie był na podsłuchu.

- Panna Magdalena wspominała mi, że ma pan dla mnie jakąś interesującą propozycję.

- Tak. Właśnie chciałem zaproponować, żeby reprezentował tutaj pańskie interesy. W ten sposób oszczędziłby pan sobie trudów i kosztów podróży. Mógłby pan w tym czasie rozwinąć swoją działalność na innym terenie. Różne by z tego mogły dla pana płynąć korzyści i dla mnie oczywiście także.

„Wymyka mi się facet z rąk” - pomyślał ze złością Stasiak. Głośno zaś powiedział:

- Wszystko to jest bardzo interesujące. Muszę się nad tym zastanowić. Nie jestem tylko pewien, czy musieliśmy rozmawiać na te tematy w głąchą noc. Można to chyba było odłożyć do jutra.

- Bez wątpienia, bez wątpienia - roześmiał się szeroko Krasiewicz. - Wszystkiemu winna Magdalenka. To jest dziewczyna w gorącej wodzie kąpana. U niej wszystko piorunem, szast, prast. Nieraz się nie zastanowi należycie nad tym, co robi.

Stasiak ziewnął dyskretnie.

- No... to ja pana chyba pożegnam. Zdzwonimy się w najbliższym czasie. Może coś wspólnie pokombinujemy.

Krasiewicz wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Przepraszam, że fatygował się pan tak daleko, ale to naprawdę nie moja wina.

W tej chwili rozległo się energiczne stukanie do drzwi. Krasiewicz spojrział zdziwiony. - Kto to może być? - powiedział, instynktownie zniżając głos.

Stukanie powtórzyło się ze zdwojoną energią. - Otwierać milicja!

- Trzeba otworzyć - powiedział drżącym głosem Stasiak. Twarz Krasiewicza była blada jak płótno. Nie wiadomo dlaczego podszedł do drzwi na palcach. Odsunął zasuwę.

Do hallu wpadł Downar z czterema milicjantami. Energicznie zwrócił się do Krasiewicza.

- Mam nakaz przeprowadzenia rewizji. Pan jest właścicielem tej willi?

- Nie - bąknął zmieszany Krasiewicz. - Ja tylko tego... ja tylko korzystam...

- A czyj to dom?

- Mojego przyjaciela.
- Jak się nazywa ten przyjaciel?
- Kordyn, Ludwik Kordyn.
- Gdzie się w tej chwili znajduje?
- Wyjechał za granicę. Służbowo.
- A to kto jest? - Downar wskazał Stasiaka.
- To jest gość, zagraniczny gość.

Downar zbliżył się do Stasiaka i powiedział urzędowym tonem:

Dokumenty proszę. - Przez dłuższą chwilę uważnie oglądał paszport. - Co pan tu robi, panie Drumer?

- Przyjechałem w odwiedziny. Czy to może jest źle widziane w Polsce Ludowej?
- Źle widziane jest zajmowanie się nielegalnym handlem - odparł ostro Downar. - Pan pozwoli z nami.

- A dokąd pan mnie chce zaprowadzić?
- Do aresztu śledczego.
- To jest bezprawie! - wybuchnął Stasiak. - Ja protestuję! Ja proszę o powiadomienie o tym mojej ambasady.

Downar skinął głową.

- Może pan być zupełnie spokojny, że wszystko odbędzie się zgodnie z prawem międzynarodowym. My, Polacy, respektujemy prawo międzynarodowe - dodał z naciskiem. Następnie zwrócił się do porucznika Kobieli. - Odprowadzić i tego także - wskazał Krasiewicz. - Wracajcie. Ja tu zostanę z sierżantem Pakułą. Zostawcie mi Sikorę.

Jeden z milicjantów zbliżył się do Krasiewicza. - Obywatel pozwoli z nami.

Krasiewicz z widocznym zdumieniem przysłuchiwał się rozmowie Downara ze Stasiakiem. Bez słowa sprzeciwu pozwolił się wyprowadzić milicjantom.

*

Świt szarzał za zakratowanym oknem. Przy dziennym świetle wszystko wydawało się brzydsze, bardziej ponure. W nocy odrapane, brudne ściany celi nie robiły tak przykrego wrażenia.

Krasiewicz przewrócił się na drugi bok i otworzył oczy. Przez chwilę przyglądał się Stasiakowi, który siedział na pryczy pogrążony w niewesołej zadumie.

- Nie śpi pan, panie Drumer?
 - Jak pan widzi. Czy sądzi pan, że nas tu długo będą trzymać w tej przeklętej dziurze?
- Krasiewicz wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem...

- Pan chyba powinien wiedzieć. Ja się nie znam na waszych polskich prawach. W ogóle nie mam pojęcia dlaczego nas wpakowano do więzienia.

- Musiał być jakiś donos - mruknął Krasiewicz. Podniósł się i przeciągnął dłonią po nieogolonych policzkach.

- Donos w sprawie czego?

- No wie pan... - Krasiewicz wyjął z kieszeni spodni grzebień i zaczął doprowadzać do porządku włosy. - Żeby żyć, trzeba kombinować. Trochę człowiek pohandluje, trochę...

- Poszmułguje - uzupełnił Stasiak.

- O właśnie. W związku z tym czasem się popadnie w kolizję. Jeżeli coś, nie daj Boże, znaleźli...

- Ja nie mam nic wspólnego z żadnym podejrzanym handlem - powiedział stanowczo Stasiak.

Krasiewicz zmrużył lewe oko.

- A Lenka mi powiedziała, że pan miał ochotę mieć coś wspólnego.

- Nie przypominam sobie.

- No, no, panie Dramer, po co się będziemy zgrywać. Możemy przecież szczerze pogadać.

- Stasiak wzruszył ramionami.

- Nie mam zwyczaju prowadzić szczerych rozmów w kryminale.

- To bardzo cenna zasada - roześmiał się Krasiewicz, którego nawet w przykrych momentach życiowych nie opuszczało poczucie humoru.

Umilkli. Stasiak wyciągnął się na pryczy, Krasiewicz zaś chodził nerwowo po celi, mrużąc coś do siebie.

Okolo siódmej przyniesiono im śniadanie. Kawa, chleb z marmoladą.

- Nabierzemy linii - powiedział Krasiewicz. - Jak nas dłużej potrzymają, to trzeba będzie skombinować jakieś paczki żywnościowe, bo na tutejszym wikcie nie damy rady.

- Mnie zaraz wypuszczą - mruknął gniewnie Stasiak. - Moja ambasada będzie interweniować. To w ogóle jest skandal, że mnie tu trzymają. Tutejsza milicja będzie miała duże nieprzyjemności.

Krasiewicz wzruszył ramionami.

- Po co te nerwy? Jedz pan dalej śniadanie, bo obiadu nie dostanie pan z „Grand Hotelu”.

Stasiak wypił kawę, zjadł chleb i znowu położył się na pryczy.

- Byłem pewny, że to pańska willa - powiedział.

- Nie. Mojego kumpla.

- Czy to prawda, że on wyjechał służbowo za granicę?

- Tak. Zostawił mi pełnomocnictwo. Miałem sprzedać willę, kupić dolary i wysłać mu je. Teraz nie wiadomo, jak to będzie.

- Ma pan nieczyste sumienie? Krasiewicz skrzywił się.

- Niewiele jest ludzi, którzy mają czyste sumienie. To bardzo drogo kosztuje.

Po śniadaniu zabrano Krasiewicza na badania. Wrócił po dwóch godzinach. Był blady i mogło się wydawać, że poczucie humoru opuściło go bezpowrotnie.

- No i co? Czego od pana chcieli? Krasiewicz machnął ręką zrezygnowany.

- Niedobrze jest, psiakrew. Znaleźli.

- Co znaleźli?

- No jak to co? Towar. Kokainę.

- Większe ilości?

- No pewnie. Byle czym nie warto sobie głowy zawracać.

- A czy ten właściciel willi już ma zamiar nie wrócić do kraju?

- A po co by tu wracał? Żeby go zamknęli?

- No to niech pan zwali wszystko na niego. Krasiewicz smutnie pokiwał głową.

- Tak też zrobiłem, ale obawiam się, że mi niezupełnie uwierzyli. Cholernie cwany ten oficer śledczy. Niech to wszyscy diabli, żeby na ostatnim transporcie tak fatalnie wpaść.

- To pan już postanowił zrezygnować z tej roboty?

- Tak. Przerzuciłem się na coś innego.

- Na co? - spytał Stasiak. Krasiewicz przyjrzał mu się uważnie.

- Nie bądź pan za bardzo ciekawy. Dobrze?

W tej chwili wszedł do celi strażnik i zabrał na badania pana Wilhelma Drumera.

Downar roześmiał się wesoło, patrząc na zarośniętą twarz przyjaciela. - Jak ci się spało? - spytał.

- Idź do diabła - mruknął Stasiak. - Powiedz, co ci strzeliło do głowy? W jaki sposób...?

- Musisz przyznać, że chwyt był niezły.

- Owszem, nawet bardzo dobry, ale...

- Poczekaj. Zaraz się wszystkiego dowiesz - uśmiechnął się Downar. - Otóż... zadzwonił do mnie Nowacki i powiedział, że pojechałeś z tą cizią do Konstancina, do willi niejakiego Kordyna. I willa i nazwisko właściciela nie było mi obce. Mieliśmy faceta już od

dawna pod obserwacją. Niestety, nie zdołaliśmy zebrać żadnych konkretnych dowodów przeciwko niemu i wymknął nam się, wyjechał za granicę.

- I już nie wrócił?

- Oczywiście. Powiedz mi coś ty się dowiedział od tego Krasiewicza?

- Sporo różnych rzeczy. - Stasiak pokrótce streścił rozmowę w celi.

- Uwierzył, że ty nie jesteś z milicji czy z Interpolu? - spytał Downar.

- Chyba tak. Wyglądało na to, że szczerze ze mną gadał.

- Bo kiedy byłeś u niego to dzwonił jakiś facet i ostrzegł przed tobą Krasiewicza.

- Wzięliście na podsłuch aparat? - ucieszył się Stasiak.

- A coś ty myślał?

- Kto to dzwonił?

- Jakiś „Rysio”. Nazwiska oczywiście nie podał.

- Dzwonił z automatu?

- Nie. Wyobraź sobie, że facet albo taki frajer, albo taki pewny siebie, że dzwonił z prywatnego mieszkania na Hożej.

- Sprawdziłeś czyje to mieszkanie?

- Oczywiście. Kawalerka jakiejś tancerki z opery. Nazywa się Celina Jarzyńska. Ten „Rysio” to zapewne jej przyjaciel.

Stasiak w zamyśleniu pokiwał głową. Po chwili spytał:

- W tej willi w Konstancinie znalazłeś kokainę?

- Tak. Mieli zamiar przerzucić ją na Zachód. Czekali okazji. A poza tym w rzeczach Krasiewicza znalazłem jeszcze coś, czego nie bardzo rozumiem. Masz czytać.

Stasiak wziął do ręki kartkę papieru i przeczytał: „Proszę spowodować, aby moja żona zmieniła natychmiast miejsce pracy. Ostrzegam, że nie będę dłużej tolerował tych flirtów. Jeżeli pan nie przestanie się interesować moją żoną zniszczę pana. Potrafię to zrobić. Mokrzycki”.

ROZDZIAŁ VIII

Paweł odzyskiwał równowagę ducha. Wprawdzie jeszcze od czasu do czasu wspominał melancholijnie salę operacyjną, ale powoli wciągnął się do nowej pracy, która zaczynała go interesować. W instytucie przenoszono go z działu do działu, aż wreszcie zadomowił się w sekcji badania zmęczenia żołnierzy. Robota była ciekawa i dawała duże pole do popisu dla człowieka rzutkiego, inteligentnego, obdarzonego inicjatywą. Paweł pogłębiał swoje wiadomości z dziedziny neurologii, studiował krajowe i zagraniczne opracowania dotyczące zagadnienia zmęczenia w ogóle i związanych z nim procesów fizjologicznych.

Coraz bardziej absorbowala go ta tematyka, będać dziedziną dotychczas zaniedbaną przez ludzi nauki. Ten rodzaj pracy odpowiadał mu również i dlatego, że nie polegał na ślęczeniu za biurkiem czy siedzeniu w laboratorium. Często musiał wyjeżdżać w teren, miał kontakt z żywymi ludźmi, swoje teoretyczne rozważania mógł natychmiast sprawdzać na konkretnych przypadkach.

Nawiązał teraz bliższy kontakt z Joanną. Kiedyś zajmowała się problematyką zmęczenia organizmu ludzkiego i nawet napisała na ten temat pracę naukową. Widywali się często, prowadzili długie dyskusje fachowe. Paweł opowiadał o swoich wyprawach w teren, o żołnierzach, z którymi miał stały kontakt, o jednostkach wojskowych, które odwiedzał i na terenie których prowadził swe badania. Tematyka była dla niego nowa, pasjonująca, a że z natury był człowiekiem dość impulsywnym, lubiącym podzielić się z kimś swymi wrażeniami i przeżyciami, przeto te rozmowy z Joanną były dla niego czymś bardzo cennym. Zapalał się i opowiadał o rzeczach, o których może nie zawsze powinien był mówić. Podczas jednej takiej rozmowy Joanna powiedziała:

- Słuchaj, Paweł, czy ty zdajesz sobie sprawę z tego w jakiej instytucji pracujesz?

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Nie rozumiem o co ci chodzi. Pracuję w Instytucie Medycyny Wojskowej.

- No właśnie - uśmiechnęła się. - Pracujesz dla wojska, a tego rodzaju robota posiada charakter tajny. Obawiam się, że za dużo mówisz na ten temat.

- Zwariowałaś?! - oburzył się Paweł. - Z kim jak z kim, ale z tobą chyba mogę mówić zupełnie szczerze.

Pogładziła go po dłoni.

- Oczywiście, głuptasie, że ze mną możesz mówić szczerze. Boję się tylko, żebyś w stosunku do innych osób nie był równie szczerzy. Mógłbyś mieć z tego powodu poważne przykrości.

- Bądź spokojna. Z nikim innym nie rozmawiam o tych sprawach.

Któregoś dnia, gdy Paweł wrócił z badań przeprowadzonych na czołgowisku szkolnym pod Wrocławiem, wezwał go do siebie pułkownik Łukański.

No i jak, panie kolego? Jak się u nas czujecie?

Doskonale.

- Zadowoleni jesteście z pracy?

- Bardzo.

- To się ogromnie cieszę - uśmiechnął się serdecznie Łukański. - Właściwie poprosiłem pana do siebie, żeby powiedzieć, że tutaj wszyscy jesteśmy bardzo zadowoleni z pańskiej pracy i że niedługo może pan liczyć na awans.

Paweł skłonił się.

- Niezmiernie miło mi to słyszeć, panie pułkowniku. Przyznaję, że początkowo czułem się tu trochę obco, ale teraz już zaczynam się wciągać w robotę.

Łukański poczęstował Pawła papierosami.

- Na jedną rzecz tylko chciałbym zwrócić pańską uwagę, panie kolego.

Słucham?

- Widzi pan, jest taka sprawa, że pańską osobą może się zainteresować obcy wywiad.

Paweł spojrzał pytająco na pułkownika.

- Nie bardzo rozumiem.

- To proste - Łukański zaciągnął się dymem i rozsiadł się wygodnie w fotelu. - Jeździ pan po terenie, odwiedza pan jednostki wojskowe, widzi pan dużo różnych rzeczy, które mogą być cenną informacją dla obcego wywiadu. Dlatego też chciałbym pana przestrzec, żeby pan o tych sprawach z nikim nie rozmawiał i żeby pan zachował jak najdalej posuniętą ostrożność.

- Mogę pana zapewnić, panie pułkowniku - powiedział z przekonaniem Paweł - że na te tematy nie rozmawiam z żadną niepowołaną osobą.

- Nawet w stosunku do najbliższego otoczenia należy w tych sprawach zachować wielką rezerwę. Żona... serdeczni przyjaciele... Wie pan jak to bywa. Jeden powtórzy drugiemu, drugi trzeciemu i już jakaś wiadomość przedostaje się i uzupełnia informacje naszych wrogów. Nikt właściwie nie działał w złej woli, a wszyscy w jakiś sposób poszli na rękę obcemu wywiadowi. Dlatego też przy tego rodzaju pracy wskazana jest jak najdalej idąca ostrożność. Zbytkiem ostrożności nigdy zgrzeszyć nie można. Chciałbym pana prosić, żeby pan sobie wziął do serca to, co powiedziałem i żeby pan zwiększył czujność.

- Zastosuję się do zaleceń pana pułkownika. Może pan być zupełnie spokojny.

Paweł powtórzył rozmowę z pułkownikiem Joannie.

- A widzisz - powiedziała. - Mówiłam ci. Ty nie masz doświadczenia w tych sprawach. Trzeba bardzo uważać. Możesz się narazić.

- No przecież ja z nikim innym nie rozmawiam, tylko z tobą.

- Czasami też i z Anną.

- Bardzo rzadko.

- A kiedyś rozmawiałeś z profesorem Suchańskim. Sam mi mówiłeś.

- No przecież profesor Suchański nie jest szpiegiem. Nie przesadzajmy.

- Szpiegiem nie jest, ale twoje wiadomości dalej może przekazać.

Paweł niecierpliwie wzruszył ramionami.

- Daj spokój. Mówisz zupełnie tak, jak pułkownik Łukański. Trochę w tym wszystkim jest manii prześladowczej. Nie można w każdym człowieku widzieć szpiega.

- Radzę ci uważać.

- No dobra, dobra, będę uważał. Przyrzekam ci, że na te tematy z nikim innym nie będę rozmawiał.

Tego dnia Paweł później niż zwykle wrócił do domu. Zastał Annę w łóżku.

- Co ci jest? - spytał zaniepokojony. Uśmiechnęła się.

- Nie rób takiej przerażonej miny. Nic mi nie jest. Po prostu głowa mnie boli i mam dreszcze. Wzięłam aspirynę, do jutra wszystko mi przejdzie.

- Jadłaś coś?

- Tak. Byłam na obiedzie. Słuchaj Pawełku, mam do ciebie prośbę.

- Cóż to takiego?

- Pamiętasz Danusię Burzyńską?

- Tę twoją przyjaciółkę? Oczywiście, że pamiętam. Przecież nawet trochę z nią flirtowałam. Miałas od niej wiadomość?

- Właśnie. Telefonował przed chwilą portier z „Bristolu” i powiedział, że jakaś znajoma czy przyjaciółka Danusi przyjechała wczoraj z wycieczką z Paryża, że przywiozła dla nas prezenty i że czeka o dziewiątej w hotelu. Ponieważ mnie piekielnie boli głowa, a ty dobrze mówisz po francusku, więc może byś poszedł?

Paweł skrzywił się.

- Nie bardzo mi się chce, ale ostatecznie. Jak się nazywa Francuzka?

- Czekaj. Mam tu gdzieś zapisane - Anna sięgnęła po kartkę leżącą koło telefonu - Louise Martin. Więc pójdziesz?

- Co mam robić?

- Idź, idź. Może mi Danusia przysłała pończochy. Bardzo by mi się w tej chwili przydały.

Paweł ogolił się, zmienił garnitur i skropił włosy wodą brzoową.

- Cóż ty się tak sztafirujesz? - spytała Anna.

- Chcę zrobić na pani Martin dobre wrażenie.

- No, no, uważaj, żebyś nie zrobił za dobrego wrażenia. Gotowa się w tobie zakochać, jak poczuje boski zapach brzozonej wody. Radzę ci wsadź na wszelki wypadek głowę pod kran.

Za dwadzieścia dziewięć Paweł wyszedł z domu i szybkim krokiem ruszył w kierunku Kruczej. Trolejbusem pojechał na Krakowskie Przedmieście.

- Pani Louise Martin - poinformował go portier - oczekuje pana tutaj w hallu. To ta przystojna brunetka w czerwonej sukni.

Paweł podszedł do dziewczyny i przedstawił się. Powitała go z taką wylewną serdecznością jakby od dawna byli najlepszymi przyjaciółmi.

- Niezmiernie się cieszę z naszego spotkania. Danusia tyle mi opowiadała o panu i o pańskiej uroczej żonie. Oglądałam nieraz wasze fotografie. Wiedziałam, że pan jest niezmiernie interesującym mężczyzną, ale rzeczywistość prześcignęła wszystkie wyobrażenia, jakie powstały w mojej fantazji.

- Może pójdziemy gdzieś na kawę? - zaproponował Paweł.

- Bardzo chętnie. Z panem poszłabym nie tylko na kawę, ale na koniec świata. - Chodźmy, chodźmy. Ale, ale byłabym zapomniała. Danusia przysłała wam skromne upominki. O proszę - sięgnęła po paczki leżące na stole. - Dla pańskiej żony pończochy, szminka i perfumy, a dla pana krawat i wieczne pióro.

- Wspaniałe prezenty - powiedział Paweł. - Proszę serdecznie podziękować Danusi za pamięć.

- Idziemy do kawiarni? - spytała.

- Oczywiście.

- Chwileczkę. Muszę się tylko porozumieć z panem Richterem co do jutrzejszego dnia.

- Któż to jest pan Richter?

- To nasz opiekun. Przyjechałam z wycieczką organizowaną przez paryskie biuro turystyczne. Już bardzo dawno chciałam zwiedzić Polskę, ale dotychczas jakoś mi się nie składało. Monsieur Richter jest właśnie przewodnikiem, prowadzi wycieczkę. O, właśnie odbiera klucz.

Wysoki, szczupły mężczyzna stał pochylony nad ladą i rozmawiał z portierem.

Paweł odruchowo spojrział w ślad za zgrabną Francuzeczką. I nagle znieruchomiał. Monsieur Richter odwrócił się. Ta sama biała czupryna, ta sama opalona, sucha twarz, te same oczy, osadzone pod ciemnymi, krzaczastymi brwiami. Nie ulegało wątpliwości, to był ten człowiek, który się wtedy podał za profesora Mokrzyckiego.

Paweł zrobił parę kroków i zatrzymał się niepewny, jak ma postąpić. Zaczepić tego faceta, czy nie zaczepić? Korciło go jednak, żeby posłyszeć jego głos. Podeszedł i powiedział: - Dobry wieczór panu. Tamten odwrócił się. Coś jakby grymas niezadowolenia przesunął się po jego twarzy, ale trwało to ułamek sekundy.

- Czym mogę panu służyć? - powiedział z uprzejmym uśmiechem.

Paweł był pewien, że to ten sam głos.. - Mam wrażenie, że my się znamy., Monsieur Richter potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale nie przypominam sobie, abym miał przyjemność spotkać pana.

- Czy nie piliśmy już kiedyś razem kawy? - spytał Paweł.

- Na pewno nie. Bierze mnie pan za kogoś innego.

- To może teraz się panowie poznają - zaproponowała Louise.

Uścisnęli sobie dłonie i wymienili nazwiska.

- Pójdzie pan z nami do kawiarni?

- Dziękuję bardzo, ale niestety, jestem zajęty. A więc panno Martin - zwrócił się do dziewczyny. - Jutro spotykamy się jak zwykle w hallu o dziewiątej. Dobranoc.

Louise spojrzała na Pawła.

- Jak się panu podobał nasz opiekun?

- Czarujący człowiek.

- Prawda? - zawołała z zapalem. - Szkoda tylko, że nie jest trochę młodszy.

Poszli do kawiarni. Pomimo swej drobnej postaci mademoiselle Martin odznaczała się doskonałym apetytem. Twierdziła, że była już po kolacji, ale spożyła bez najmniejszego wysiłku sześć ciastek. Nie przeszkadzało jej to mówić dużo i bardzo szybko. Paweł dobrze znał francuski, musiał jednak skupiać uwagę, aby podążyć za biegiem myśli żywiołowej dziewczyny. Opowiadała o Francji, o swych licznych adoratorach, o wycieczkach zagranicznych, o najnowszych filmach i o gwiazdach srebrnego ekranu. Dopiero po dłuższym czasie doszła do wniosku, że wypada coś powiedzieć na temat Danusi Burzyńskiej, której oczywiście ani imienia ani nazwiska nie umiała wymówić.

Paweł z coraz większym roztargnieniem słuchał tego monologu. Nieustannie powracał myślą do siwego dżentelmena, który teraz przedstawił mu się jako Richter. Nie miał żadnej wątpliwości, że to ten sam człowiek. Ale dlaczego, u diabła, wtedy podawał się za profesora Mokrzyckiego? Co się za tym kryło? A może sobowtór? Nie, nie, to niemożliwe. Włosy, nos, oczy, usta, wszystko to mogło być jakimś fantastycznym zbiegiem okoliczności powtórzone przez naturę, ale nie ma na świecie dwóch ludzi o tak identycznym timbrze głosu, głos ten był dosyć charakterystyczny.

Elokwentna Francuzka nagle umilkła i zapanowała niepokojąca cisza. Paweł ocknął się z zadumy: - Oui, oui - powiedział, uśmiechając się niewyraźnie.

Mademoiselle Martin ziewnęła, zasłaniając sobie dłonią usta. - Zmęczona jestem - powiedziała. - Pójdę już chyba spać.

Paweł poderwał się skwapliwie. Podziękował, prosił o przekazanie serdecznych pozdrowień Danusi i powiedział, że chciałby coś przesłać jej z Polski. Umówili się, że Louise zatelefonuje do nich, jak wycieczka wróci z Krakowa. Zapłacił rachunek i wybiegł pośpiesznie na ulicę. Odetchnął z prawdziwą ulgą. Był trochę ogłuszony. Do domu poszedł piechotą. Chciał się przejść i jednocześnie zyskać na czasie.

Przez całą drogę zastanawiał się nad tym, czy powiedzieć Annie o tej dziwacznej historii z tajemniczym panem Richterem. Był tą sprawą tak zaabsorbowany, iż obawiał się, że Anna sama czegoś się domyśli. Nie omylił się.

Wysłuchała opowiadania o spotkaniu z Louise Martin, obejrzała prezenty, które przysłała im Danusia, dopytywała się o to i o owo i wreszcie spytała:

- Co ci jest? Co się stało?

- Nic... - odparł, ociągając się.

- Nie bujaj. Widzę przecież, że nad czymś sobie głowę łamiesz. Rozmawiasz ze mną, a myślisz zupełnie o czym innym. Wyduśże wreszcie co się stało.

- Właśnie nic takiego - próbował się bronić bez przekonania Paweł.

Anna podeszła do niego i niecierpliwie potrząsnęła go za ramiona.

- No, no, nie udawaj. Mów, co masz na wątrobie.

- Właściwie chyba mogę ci powiedzieć - bąknął niepewnie.

- No, słucham - pociągnęła go na tapczan. - Siadaj tutaj i mów.

Paweł opowiedział o liście, który otrzymał wtedy w szpitalu od Mokrzyckiego, o spotkaniu w kawiarni z człowiekiem, który podawał się za męża Joanny, a którego teraz zobaczył w „Bristolu”.

Annę bardzo zainteresowała ta historia.

- To brzmi zupełnie jak jakaś sensacyjna powieść - powiedziała. - Czy jesteś pewien, że to rzeczywiście ten sam facet?

- Jestem zupełnie pewien.

- Tajemnicza sprawa. I wtedy spotkał się z tobą tylko dlatego, żeby odebrać od ciebie list profesora Mokrzyckiego. Do czego był mu potrzebny ten list?

Paweł wzruszył ramionami.

- Ba, żebym ja wiedział.

- A może to sobowtór?

- Myślałem już o tym. Uważam jednak, że trzeba wykluczyć taką ewentualność. Zupełnie identyczni ludzie nie istnieją. Poznałem nawet jego głos. A zresztą, gdybyśmy nawet przyjęli, że to jest sobowtór tamtego faceta, to wcale nie wyjaśnia nam sprawy dlaczego ktoś się wtedy podszył pod Mokrzyckiego.

- To prawda - przyznała Anna. - Dziwne, bardzo dziwne.

- Słuchaj Aniu - Paweł wziął ją za rękę. - Chciałbym cię prosić, żebyś nikomu nie opowiadała o tej całej historii. Nie wiem o co tu chodzi, ale boję się, że mogłyby z tego wyniknąć dla nas niepotrzebne komplikacje.

- A komuż ja bym mogła o tym opowiadać. Bądź spokojny. Ode mnie nikt się niczego nie dowie.

Stało się jednak inaczej.

Na drugi dzień Anna spotkała w sądzie Ewę Zielińską. Dosyć dawno nie widziały się i Ewa chciała pogawędzić z przyjaciółką. W przerwie pomiędzy rozprawami zeszły na dół do bufetu na kawę. Rozmawiały na różne tematy, wreszcie Ewa spytała o Pawła. Anna przez chwilę toczyła walkę wewnętrzną, ale nie wytrzymała. Opowiedziała o tajemniczym panu Richterze, który podawał się za profesora Mokrzyckiego. Prosiła o dyskrecję i Ewa solennie jej to przyrzekła. Przyrzekła, ale oczywiście nie dotrzymała. Z sądu wróciła do domu i przy obiedzie powtórzyła całą historię Tadeuszowi. Tadeusz chwilę zastanowił się i zadzwonił do Downara, a Downar natychmiast skomunikował się ze Stasiakiem.

Siedzieli w pokoju Downara i popijali „Wermut”.

- Ja tego Richtera to mam nie od dziś na oku - powiedział Stasiak. - Na mój nos to on robi jakąś robotę, tylko trudno go nakryć. To bardzo sprytny i inteligentny facet. Jak ja byłbym szefem wywiadu, to bym go bez namysłu zrobił swoim agentem.

- Dałeś ten list Mokrzyckiego do ekspertyzy? - spytał Downar.

- Tak. Jeszcze nie mam wyniku. Sądząc z tego, co od ciebie przed chwilą usłyszałem, to chyba będzie tajnopis.

- Ja też tak myślę. Jeżeli ryzykował tę całą mistyfikację, to znaczy, że...

Zadzwonił telefon. Downar podniósł słuchawkę. To do ciebie.

Stasiak przez chwilę słuchał w milczeniu, powiedział: Dobra, dobra, cześć! - odsunął telefon i wstał.

- Wychodzisz? - zdziwił się Downar - co się stało?

- Zawiadomił mnie Nowacki, że ta tancerczka z Hożej jest wreszcie u siebie w mieszkaniu. Muszę z nią porozmawiać. Może dowiemy się czegoś o „Rysiu”. Czołem.

Celina Jarzyńska mieszkała na czwartym piętrze. Była trochę zdziwiona niespodziewaną wizytą.

Stasiak przedstawił się jako Kazimierz Machocki i powiedział, że reprezentuje „Estradę Szczecińską”.

- Widzi pani, jest taka sprawa, że zespół aktorów z Wybrzeża organizuje program rozrywkowy, z którym można by pojechać w letnim sezonie. Brak nam tancerki solistki, a ponieważ słyszałem dużo o pani talencie, więc chciałbym zaproponować...

- Ależ bardzo chętnie - ucieszyła się Jarzyńska. - Myślałam nawet o tym, żeby związać się na lato z jakimś zespołem.

- Czy pani ma swoje fotografie? Przydałoby się dobre zdjęcie dla celów reklamowych.

Wyjęła z szafy duży album oprawny w skórę i podała mu go. - Proszę, niech pan przejrzy. Może coś się panu spodoba.

Dla zachowania pozorów wybrał dwie fotografie tancerki. Dłuższy czas zatrzymał spojrzenie na podobiznie młodego mężczyzny o kwadratowej, pokrytej pryszczami twarzy. Małe wąskie oczy patrzyły drwiąco.

- Kto to jest ten chłopak? - spytał Stasiak.

- To mój narzeczony. Podoba się panu?

- Sympatyczny. Wygląda na sportowca. Jak się nazywa?

- Ryszard Magus. Jest elektrotechnikiem.

- Dobrze zarabia?

- Bardzo dobrze. Kupił mi ostatnio pierścionek. O, niech pan spojrzy.

Stasiak uważnie obejrzał pierścionek. Perła, brylanciki. Na oko ocenił go na jakieś kilka tysięcy złotych.

- Piękny prezent - powiedział. - Widzę, że pani narzeczony ma szeroki gest.

- O tak. Rysio nie liczy się z pieniędzmi. Lubi wydawać.

- Czy mogę panią prosić o szklankę wody?

Wyszła do kuchni. Stasiak błyskawicznym ruchem wyrwał fotografię „Rysia” i zamknął album.

Czas jakiś rozmawiali jeszcze na temat owej imprezy artystycznej. W pewnym momencie Stasiak powiedział:

- Byłem tu już u pani parę razy, ale tak się zawsze składało, że nie zastawałem pani.

- Bo mnie nie było w Warszawie. Wyjeżdżałam.

- Daleko pani jeździła?

- Do Częstochowy. Mama moja chorowała i musiałam ją pielęgnować.

- Podczas pani nieobecności zapewne narzeczony pani korzystał z tej miłej kawalerki. Skinęła głową.

- Tak. Zostawiłam Rysiowi klucze. Mieszka pod Warszawą w Zalesiu Dolnym. Nie zawsze chce mu się wracać na noc do domu, szczególnie jak się gdzieś zasiedzi.

Spojrzenie Stasiaka padło na mały otwór w ścianie, dzielącej pokój od kuchni. Otwór był kwadratowy prowizorycznie zalepiony gipsem.

- Co to jest? - spytał z uśmiechem. - Wali się ściana?

- Wie pan, że nie mam pojęcia - powiedziała Jarzyńska. - Muszę zapytać Rysia. Jak wyjeżdżałam to tego nie było. Może chciał coś przybijać. Doprawdy nie wiem. Trzeba będzie tę dziurę porządnie załatać i zamalować.

Stasiak już nie interesował się dziurą w ścianie. Myślał o czym innym. Zarejestrował tylko w pamięci, że na przeciwległej ścianie wisiała reprodukcja znanego obrazu Gauguina: dwie malajskie dziewczyny, niosące na płaskiej misie czerwone owoce.

- Więc pani skłonna by była wziąć udział w naszej artystycznej imprezie? - spytał.

- Jak najbardziej. Jestem do dyspozycji.

- To mnie bardzo cieszy. Dziś na noc jadę do Szczecina. Przedstawię zespołowi pani kandydaturę, pokażę im fotografie i zadzwonię do pani za jakieś dwa, trzy dni. A teraz już panią pożegnam. Cieszę się, że panią poznałem.

- Ja również się cieszę - powiedziała zarumieniona tancerka.

Z Hożej Stasiak wrócił trolejbusem do Downara. - Stefuś, szafa gra.

- Widzę, że cię nielicho rozrajcowała ta tancerka - powiedział Downar.

Stasiak potrząsnął głową.

- To nie to, co myślisz. Ja nie lubię takich wyschniętych sikerek. Ważne jest to że mamy coraz więcej elementów w rękach. Wszystko zaczyna się wiązać. Rozumiesz?

- No to gadaj prędzej czego żeś się dowiedział.

- Czekaj, muszę sobie troszkę przeplukać gardło. - Stasiak sięgnął po butelkę i napelnił kieliszki vermouthem. - Więc tak - zaczął, umoczywszy wargi w aromatycznym płynie. - Przede wszystkim mam fotografię tego faceta, który ostrzegął telefonicznie Krasiewicza. O, widzisz. Przypatrz się tej buziuni. To właśnie jest ten nasz Rysio. Pięć lat można mu dać bez żadnego śledztwa. Trzeba go będzie odnaleźć. Podobno mieszka w Zalesiu Dolnym, ale nie sądzę, żeby tam spokojnie siedział i czekał na nas.

- To się załatwi - powiedział Downar. - Co dalej?

- Dalej też mam coś ciekawego. Otóż stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że to zdjęcie doktora Szrota z nagą Magdalenką zostało wykonane w mieszkaniu tej tancerki.

- Skąd wiesz?

- Po pierwsze jest dziura w ścianie, w której zapewne wmontowany był aparat fotograficzny, a po drugie na przeciwległej ścianie wisi reprodukcja obrazu Gauguina. Tę reprodukcję widziałem na zdjęciu. Rozumiesz?

Downar pociągnął z kieliszka spory łyk.

- Rozumiem. Co proponujesz?

- Proponuję, żebyśmy sobie odbyli we dwóch dłuższą rozmowę z panem doktorem Szrotem. Co ty na to?

- Popieram zdanie przedmówcy - uśmiechnął się Downar. - Kiedy chciałbyś to zorganizować?

- Jak najprędzej. Choćby zaraz.

Downar podniósł słuchawkę i nakręcił numer. Posłyszał kobiecy głos. - Halo?

- Czy mogę mówić z panem doktorem Szrotem?

- W tej chwili poproszę męża.

Po upływie dwudziestu minut Paweł zastukał do drzwi kawalerki na Koszykowej.

- Proszę, proszę, panie doktorze - uśmiechnął się gościnnie Downar. - Niech pan się nie gniewa, że trudziliśmy pana, ale mamy parę pilnych spraw do omówienia. Napije się pan kieliszek vermuthu?

- Dziękuję. Chętnie.

Usiedli i Downar wyjął z szuflady biurka paczkę amerykańskich papierosów.

- Potrzebna nam jest pańska pomoc. Paweł zrobił niewyraźną minę.

- Nie wiem, w czym mógłbym być pomocny.

- Jeżeli pan pozwoli, to zadamy panu kilka pytań.

- Słucham?

Stasiak wyjął z kieszeni fotografię Rysia.

- Zna pan tego człowieka?

- Nie, nigdy nie widziałem tej twarzy.

- Na pewno?

- W każdym razie nie przypominam sobie.

- A czy zna pan niejakiego Mariana Krasiewicza?

- Tak, oczywiście.

- Dobrze go pan zna? To pański przyjaciel? Paweł zawahał się.

- No cóż... Mariana znam bardzo dawno. Czy mogę go nazwać moim przyjacielem? Przyjaźń przez duże P to wielka rzecz. Utało się teraz, że przyjaciółmi nazywamy dobrych znajomych.

- Kiedy pan ostatni raz widział Krasiewicza?

- Dość dawno. Kilka tygodni temu.

- W jakich to było okolicznościach?

- Spotkaliśmy się w kawiarni.

- Czy załatwialiście panowie jakieś interesy? Paweł zrobił się czujny.

- Po prostu poplotkowaliśmy sobie trochę.

- Temu Krasiewiczowi nieźle się powodzi, prawda?

- Tak... Chyba tak.

- Czy nie orientuje się pan, panie doktorze, z czego on żyje?

- Prowadzi zdaje się jakieś interesy handlowe.

- Jakie to są interesy?

- Dokładnie nie wiem.

- A czy nie przypuszcza pan, że Krasiewicz zajmuje się niezbyt czystymi sprawami?

- Nie wiem. Nie zastanawiałem się, a on sam nigdy mi nic nie mówił na ten temat.

Downar, który dotychczas w milczeniu przysłuchiwał się tej rozmowie, spytał:

- Czy pan, panie doktorze, byłby skłonny wrócić do pracy w szpitalu?

Paweł był wyraźnie zaskoczony.

- Nie rozumiem. Orientuje się pan chyba, dlaczego byłem zmuszony wycofać się z pracy na klinice.

- Tak, ale chciałbym wiedzieć czy pan nie tęskni za swoim dawnym zawodem?

- Przyzwyczyłem się do nowej roboty - odparł wymijająco Paweł.

- Rozumiem, rozumiem, ale, o ile się orientuję, to pańskim powołaniem była chirurgia.

Paweł nie wiedział do czego zmierza ta rozmowa. Postanowił być ostrożny.

- Oczywiście, że wybrałem sobie tę specjalizację z zamiłowania do chirurgii, ale przyznam się panu, że obecna praca także zaczyna mnie pasjonować.

- Niech mi pan powie zupełnie szczerze, czy chciałby pan wrócić do chirurgii?

Paweł uważnie spojrzał na Downara, tak jakby z jego twarzy pragnął wyczytać prawdziwą intencję tego pytania.

- Tak. Chciałbym być znowu chirurgiem.

- A ja chciałbym panu w tym dopomóc.

- Pan? W jaki sposób?

- Widzi pan, panie doktorze - powiedział Downar, przysuwając się bliżej do Pawła. - Od czasu naszej rozmowy w komendzie sporo się zmieniło, zmienił się także mój pogląd na różne sprawy. W tej chwili jestem skłonny przypuszczać, że te niespodziewane zgony pańskich pacjentów nie były dziełem przypadku.

- Sądzi pan, że...? Downar pokiwał głową.

- Tak. Podejrzewam teraz, że to mogła być jakaś celowa akcja.

- Ależ to zbrodnia! - wykrzyknął Paweł. - Potworna zbrodnia.

- Zastrzegam się - powiedział Downar i zapalił papierosa. - Zastrzegam się, że to jest tylko moja hipoteza, którą chciałbym sprawdzić. Pan mi w tym pomoże, panie doktorze.

- Ja? W jaki sposób?

- Wróci pan do kliniki i będzie pan operował.

- Nigdy się na to nie odważę.

- Musi pan to zrobić. Teraz pański pacjent nie umrze.

- Skąd pan wie?

- Chyba pan nie wierzy w duchy, panie doktorze?

- Czasami zaczynam wierzyć w złe duchy - powiedział w zamyśleniu Paweł.

- No więc jak? Zgadza się pan na współpracę z nami? Pomoże nam pan w rozwiązaniu zagadki pańskich niepowodzeń?

- Nie wiem... naprawdę nie wiem, panie kapitanie. Muszę się zastanowić.

- Zgoda. Niech się pan zastanawia, byle to nie trwało zbyt długo.

Paweł spojrział na zegarek.

- Czy panowie mają jeszcze do mnie jakąś sprawę? Jestem umówiony na mieście i nie chciałbym się spóźnić.

- Chcesz prosić pana doktora o jakieś dodatkowe wyjaśnienia? - spytał Downar, zwracając się do Stasiaka.

- Owszem. Jeżeli pan taki uprzejmy, to chciałbym jeszcze zapytać, czy odwiedził pan kiedyś pewną młodą damę, która mieszka na Hożej? Kawalerka. Czwarte piętro. Taki różowy dom.

- Nie. Nikt z moich znajomych nie mieszka na Hożej - odpowiedział Paweł, nie patrząc Stasiakowi w oczy.

- W takim razie więcej pytań nie mam. Dziękuję panu. Paweł posiedział jeszcze parę minut, a następnie pożegnał oficerów, obiecując zatelefonować w najbliższym czasie.

Szedł wolno Alejami Ujazdowskimi i rozmyślał nad tym co mu powiedział Downar. To była bardzo nęcąca propozycja. Ale czy mógł ryzykować? A jeżeli znowu zoperowany przez niego człowiek umrze?

W domu nie zastał Anny. Znalazł natomiast na biurku kartkę: „Poszłam z Ewą do kina. Nie czekaj na mnie z kolacją”. Był głodny. Usmażył jajka, pokroił kiełbasę i postawił wodę na herbatę. Wszystkie te czynności wykonywał zupełnie automatycznie. Ciągle myślał o rozmowie z Downarem i o tej trochę dziwnej propozycji.

Na tapczanie leżał „Express”. Paweł pochylił się i rzucił okiem na program telewizyjny. Postanowił obejrzeć amerykański western. Właściwie nie miał nic lepszego do roboty. Zaledwie jednak przekręcił gałkę telewizora, gdy zadzwieczał telefon. Głos kobiecy.

- Czy to mieszkanie państwa Szrot?

- Tak. Słucham?

- Czy mogę mówić z panią mecenas?

- Nie ma żony w domu. Wróci późno. A kto dzwoni? Może coś żonie powtórzyć?

- Nie, dziękuję. Ja właściwie do pana, panie doktorze. Dzwonię z polecenia pana Mariana Krasiewicza, który prosił żeby pan był łaskawy zaraz przyjechać na Mazowiecką. Będzie czekał na pana na przystanku trolejbusowym. Pan Krasiewicz prosił także, żeby pan nikomu nie wspominał o tym spotkaniu. - Odłożyła słuchawkę.

Paweł pomyślał chwilę. Ten telefon wydał mu się dziwnie tajemniczy. Dlaczego Marian sam do niego nie zadzwonił? Co to za kombinacja? Zafundował sobie sekretarkę, czy co u diabła? Postanowił jednak pojechać.

Na rogu Mazowieckiej i Traugutta podszedł do niego smukły mężczyzna o pociągłej, oliwkowej twarzy i ciemnych błyszczących oczach. Ubrany był w jasnopopielaty garnitur, ożywiony jaskrawoczerwonym krawatem.

- Czy pan doktor Szrot? - Tak.

- Pan pozwoli, że go zaproszę do mojego wozu.

- Kiedy ja... - próbował oponować Paweł.

- Nic, nic. Wszystko sobie po drodze wyjaśnimy. To właśnie moja sekretarka telefonowała przed chwilą do pana.

- Aha, tak? Sądziłem...

Zanim Paweł zdołał zorientować się w sytuacji, nieznajomy uprzejmie aczkolwiek stanowczo ujął go pod rękę i zaprowadził do oczekującego o kilka metrów dalej samochodu. Paweł zdążył zauważyć, że był to ciemnoszary ford z tabliczką CD. Nieomal siłą został

wepchnięty do wnętrza wozu, w którym siedział już jakiś człowiek. Od razu ruszyli z miejsca, rozwijając dużą szybkość.

Mężczyzna o brązowej twarzy wyszczerzył w uśmiechu zęby, których olśniewająca biel upodobniła go jeszcze bardziej do mulata, czy Włocha z południowej Italii.

- Bardzo przepraszam, że tak trochę bezceremonialnie zaprosiłem pana na tę przejażdżkę, ale mamy do pana pewną dość pilną sprawę.

- Nie rozumiem... - powiedział Paweł i kątem oka spojrzął na draba siedzącego w milczeniu po jego lewej ręce. Gruby, muskularny kark i szerokie bary zniechęcały do stawiania oporu.

Wpadli na most Poniatowskiego i na Grochowskiej zwiększyli szybkość. Kiedy wydostali się na szosę, nieznajomy znowu się odezwał:

- Pan wybaczy, panie doktorze, ale zmuszony jestem pana poprosić o pewną uprzejmość.

- Słucham.

- Niech pan się nie gniewa i pozwoli mi zawiązać sobie oczy.

- Co to wszystko znaczy, do wszystkich diabłów?! - zachnął się Paweł, który zaczynał już tracić cierpliwość i panowanie nad sobą.

Teraz odezwał się ten z lewej. Nie miał cudzoziemskiego akcentu: - Siedz pan cicho i bez żadnych rozróbek. Po co pańska żona ma zostać wdową?

Argument ten trafił Pawłowi do przekonania. Bez oporu pozwolił sobie przewiązać oczy. Po chwili zdawało mu się, że zawracają. - Chcą zmylić ślad - pomyślał i cierpliwie czekał, co z tego wszystkiego wyniknie.

Szum miasta oddalał się, zniknął zupełnie, to znowu się przybliżał. Robiło to takie wrażenie, jakby samochód wyjeżdżał na szosę, a następnie zawracał. Dwukrotnie do uszu Pawła dobiegło dudnienie tramwajów po moście. Całkowicie stracił orientację i jeżeli jego towarzysze tej dziwnej podróży postanowili doprowadzić do tego, żeby nie wiedział, w którą stronę jedzie, to cel ten osiągnęli w zupełności.

Samochód raz zwiększał, a raz zmniejszał szybkość. W pewnym momencie odgłosy miasta zaczęły się gwałtownie oddalać, aż zupełnie zniknęły. Paweł posłyszał charakterystyczny chrzęst żwiru pod oponami. Potem wóz zwolnił i zakołysał się na wybojach. Najwidoczniej zjechali na jakąś boczną drogę. I wreszcie zgrzytnęły hamulce.

Wysiedli. Ktoś wziął Pawła pod rękę i powiedział: - Niech pan uważa. Tu są schody. - Zeszli w dół. Wciągnął w nozdrza zapach wilgoci. Szczęknął klucz w zamku, pchnięto go delikatnie do wnętrza i drzwi zatrzasnęły się za nim.

Poczuł, że jest sam. Zdjął szal, zasłaniający mu oczy i ciekawie rozejrzał się dokoła.

Bez trudu zorientował się, że znajduje się w piwnicy zamienionej na elegancki gabinet. Brak okien, półkoliście sklepiony sufit, ciężkie, obite grubą blachą drzwi. Biurko, półki z książkami, na podłodze duży, puszysty dywan, w rogu stojąca lampa z szerokim abażurem, a przy niej ogromny wolterowski fotel, odwrócony tyłem do drzwi. Drugi, trochę mniejszy fotel stał koło biurka.

- Dobry wieczór, panie doktorze.

Paweł drgnął gwałtownie i odwrócił się w kierunku wolterowskiego fotela, z którego w tej samej chwili podniósł się wysoki, szczupły mężczyzna o bujnej, siwej czuprynie.

- Ach, to pan Richter? Dobry wieczór.

- Proszę, niech pan usiądzie, panie doktorze, o może tam na tamtym fotelu. Bardzo przepraszam, że w taki nieco dziwny sposób zaaranżowałem to nasze spotkanie, ale chciałem z panem spokojnie i bez świadków porozmawiać.

- Ma pan trochę oryginalny zwyczaj zapraszania do siebie gości - powiedział Paweł.

Richter uśmiechnął się.

- Musi mi pan to wybaczyć.

Pawła zaczynała denerwować ta idiotyczna sytuacja.

- Może mi pan wreszcie powie co to wszystko u licha znaczy? Nie mam czasu na głupie rozmowy i proszę mnie natychmiast wypuścić z tego rodzinnego grobu.

- Zapali pan? - spytał Richter, otwierając papierośnicę. Paweł poczuł, że krew uderza mu do głowy. Ogarniała go wściekłość.

- Nie, nie zapalę i niech mi pan da święty spokój. Proszę mnie stąd natychmiast wypuścić! Rozumie pan?

Richter usiadł, zapalił papierosa i przez chwilę przyglądał się Pawłowi z takim zainteresowaniem, jakby podziwiał w ogrodzie zoologicznym jakiś niezwykły okaz nieznanego sobie stworzenia.

- Jeżeli pana tutaj sprowadziłem - powiedział wolno - i jeżeli w tej chwili tracę czas na rozmowę z panem, to najprawdopodobniej mam panu coś ważnego do zakomunikowania i musi się pan uzbroić w cierpliwość, ażeby mnie wysłuchać. Proponuję też, aby pan zrezygnował z tego niezbyt uprzejmego, agresywnego tonu, który nie ułatwi nam rozmowy. Co pan na to, panie doktorze?

- O co chodzi? - warknął Paweł.

- Chodzi o to, że chcielibyśmy prosić pana o pewną drobną przysługę.

- Co to znaczy „chcielibyśmy”? Jacy „my”?

Richter nie od razu odpowiedział. Strzepnął popiół z papierosa i przez chwilę z nadmiernym zainteresowaniem przyglądał się swojej cygarnicze.

- Właściwie bardzo słuszne pytanie, na które tylko częściowo mogę odpowiedzieć. „My” to znaczy, ja i moi zleceniodawcy.

Paweł poruszył się niecierpliwie.

- Czego chcecie ode mnie?

- Widzi pan, panie doktorze, jest taka sprawa, że interesują nas pewne wiadomości, pewne informacje, których pan bez trudu mógłby nam dostarczyć.

Paweł zrobił się czujny. Przypomniała mu się niedawna rozmowa z pułkownikiem Łukańskim.

- Co to za wiadomości?

Richter zgasił papierosa, zatarł ręce i przyjrzał się swoim palcom.

- Och takie tam różne drobne informacyjki - powiedział, usiłując nie nadawać swym słowom zbyt dużej wagi. - Od czasu do czasu coś nam pan przekaże, jakąś niewiele znaczącą wiadomość. Naprawdę nic wielkiego. A zapewniam pana, że my potrafimy to należycie ocenić. Posługujemy się tylko i wyłącznie dobrą walutą, mającą wysoki kurs. Dolary, funty szterlingi, franki szwajcarskie... Co pan będzie wolał. To już będzie zależało od pana. Jeżeli dojdziemy do porozumienia, to w krótkim czasie stanie się pan zamożnym człowiekiem. Będzie pan mógł wyjechać za granicę, zorganizować własne sanatorium, na przykład w Szwajcarii albo we Francji.

- A za cóż to pan ma zamiar tak mi znakomicie płacić? - spytał Paweł.

Richter pochylił się do przodu i powiedział z czarującym uśmiechem.

- Tak, jak to już panu powiedziałem, za informacje.

- Ale jakiego rodzaju mają być te informacje? Jak dotychczas operuje pan samymi ogólnikami.

Richter wyjął z papierosnicy nowego papierosa. Panował nad sobą doskonale, ale widać było, że jest trochę zdenerwowany. Zdawać by się mogło, że opuściła go na chwilę ta niebywała pewność siebie i swoboda w sposobie bycia.

- Pan pracuje w Zakładzie Medycyny Wojskowej, panie doktorze.

- Jest pan dobrze poinformowany.

- Często pan wyjeżdża w teren - ciągnął dalej Richter. - Odwiedza pan różne jednostki wojskowe. Nie jest dla pana rzeczą trudną porobić pewne spostrzeżenia, pewne interesujące notatki. Czasem jakieś ciekawe zdjęcie. Słowem rozległe możliwości. Dla pana to właściwie

drobiazgi bez znaczenia, a dla nas będą to niezmiernie wartościowe informacje, za które dobrze, a nawet bardzo dobrze zapłacimy.

Paweł drżał z oburzenia i podniecenia.

- Jak pan śmie? Jak pan śmie proponować mi coś takiego? - wykrzyknął przez zaciśnięte zęby.

- Niech się pan tak nie ekscytuje, panie doktorze - uśmiechnął się Richter. - No cóż... propozycja jest propozycją. Mnie wolno zaproponować, panu wolno mojej propozycji nie przyjąć.

Paweł zerwał się ze swego miejsca. Krew uderzyła mu do głowy.

- Czy pan przypuszcza, że ja pójdę na robotę szpiegowską, że będę szpiegiem, płatnym szpiegiem?! Proszę mnie w tej chwili stąd wypuścić, bo nie ręczę za siebie. - Postąpił krok z zaciśniętymi pięściami.

Na Richtera wybuch ten nie zrobił najmniejszego wrażenia. Nie poruszył się. Nie wstał z fotela. Widocznie był przyzwyczajony do tego rodzaju reakcji.

- Nie widzę powodu do takiego podniecenia, panie doktorze. Nie jest pan czuły na dobra materialne, to może znajdziemy jakieś inne, bardziej przekonujące argumenty.

Paweł utkwiał niespokojne spojrzenie w twarzy mówiącego.

- Nie rozumiem.

- Cierpliwości. Zaraz postaram się to panu wytłumaczyć w sposób przystępny. Czy pan przypomina sobie taką fotografię - Richter wstał, nie śpiesząc się podszedł do biurka i z szuflady wyjął powiększone zdjęcie. - Proszę, niech pan obejrzy.

Paweł zbladł. To była ta fatalna fotografia, za którą przecież zapłacił temu opryszkowi, zapłacił pięćdziesiąt tysięcy złotych.

- No więc jak? Przypomina pan sobie tę fotografię? - nastawał Richter. - Dość ryzykowna poza. Ta dama w takim zdecydowanym negliżu. Całe szczęście, że pańska żona nie widziała tego zdjęcia. Mogłyby wynikać pewne kłopoty rodzinne.

- Chce mnie pan szantażować? - wykrztusił Paweł.

- Och, nie bawmy się w takie patetyczne słowa, panie doktorze. Po prostu potrzebna mi jest pańska współpraca i usiłuję nakłonić pana, aby pan przyjął moje warunki. W takiej grze stosujemy, niestety, różne metody. To jest niezbędne.

Paweł powziął decyzję.

- Może pan opublikować to zdjęcie w gazetach, może pan pójść z nim do mojej żony - powiedział na pozór spokojnie. - Nie zmusi mnie pan do szpiegowskiej roboty.

- Hm. - Richter schował do kieszeni fotografię i zaczął w zamyśleniu uderzać palcami w papierośnicę. - Widzę, że pan ma, panie doktorze, takie niedzisiejsze, bardzo twarde zasady, dla których jest pan skłonny poświęcić nawet swoje szczęście małżeńskie. Bo przecież pan jest szczęśliwy ze swoją żoną.

- Nic panu do tego - warknął Paweł.

- Myli się pan - uśmiechnął się Richter. - Ja bardzo się tymi sprawami interesuję. My w ogóle interesujemy się życiem prywatnym ludzi, których zamierzamy zaliczyć w poczet naszych współpracowników. To jest jedna z podstawowych zasad naszej działalności.

Paweł wzruszył ramionami.

- Ja się natomiast zupełnie nie interesuję ani waszymi zasadami, ani waszą działalnością. Nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Może skończymy wreszcie tę głupią i niepotrzebną rozmowę i może pan zechce mnie stąd wypuścić.

- Chwileczkę, panie doktorze, chwileczkę. Pan jest człowiekiem w gorącej wodzie kąpanym. To niedobrze. Pewne sprawy wymagają przemyślenia. Nie można tak od razu decydować się. Należy się zastanowić.

- Już się zastanowiłem i proszę skończmy tę rozmowę. Z tą fotografią może pan sobie robić co się panu żywnie podoba. Już raz zapłaciłem za nią pięćdziesiąt tysięcy złotych. Drugi raz nie dam się nabrać na żaden szantaż.

Richter skrzywił się z widocznym niesmakiem.

- Pan ciągle z tym szantażem. To już zaczyna być nużące. Chciałbym poprosić pana jeszcze o chwilę cierpliwości. Mam tutaj w biurku pewne fotokopie, które, jak sądzę, mogą pana zainteresować. - Znowu otworzył szufladę i wyjął z niej jakieś papiery. - O, proszę bardzo. Właśnie są te fotokopie.

Paweł spojrzął i poczuł, że nogi się pod nim ugięły. Richter zadowolony z wrażenia, jakie zrobił na swoim rozmówcy, otworzył papierośnicę.

- Proszę. Może pan zapali. A może kieliszek czegoś mocnego?

Paweł machinalnym ruchem wziął papierosa i usiadł. Teraz już wiedział, że ten człowiek ma go w rękę.

- No cóż panie doktorze? Myślę, że nasza rozmowa nie będzie jednak taka bezowocna, jak to się na początku zdawało. Powoli, z pewnymi trudnościami dojdziemy do porozumienia. Po prostu taki maleńki gentlemen's agreement. Ja nie pokażę nikomu tych recept, a pan przez jakiś czas będzie mi dostarczał pewnych informacji, o których już wspomniałem. Sądzę, że taki układ będzie korzystny dla obu stron. No bo, prawdę mówiąc, gdyby wyszła na jaw ta sprawa, że lekarz, pracownik naukowy, współpracuje ściśle z handlarzami narkotyków, to

chyba mogło by to pociągnąć za sobą niezbyt przyjemne konsekwencje. Jak pan sądzi, panie doktorze?

Paweł milczał. Czuł bolesny ucisk w skroniach. W gardle mu zaschło tak, że nie mógł przełknąć śliny. Richter odczekał chwilę i mówił dalej:

- Pańskie milczenie traktuję jako wyraz zgody. Jestem niezmiernie rad, że wreszcie doszliśmy do porozumienia. Mogę pana zapewnić, że nie pożałuje pan swej decyzji. Współpraca z nami otworzy przed panem zupełnie nowe, niezwykle interesujące perspektywy. Przykro mi tylko, że już się chyba nigdy nie zobaczymy. No cóż... takie jest życie. To należy do naszej strategii. Widzieliśmy się trzy razy, o jeden raz za dużo. Dzisiaj wyjeżdżam z Polski. Może kiedyś spotkamy się jeszcze na terenie Europy Zachodniej, ale to raczej wątpliwe.

- Czy ma pan zamiar długo mnie tu jeszcze trzymać? - spytał Paweł.

- Och, nie. Sądzę, że nasza rozmowa dobiega końca. Więc przyjmuje pan nasze warunki, panie doktorze?

Paweł spuścił głowę. Końcem języka zwilżył popękane wargi.

- Nie mam innego wyjścia. Richter uśmiechnął się.

- Nie tragizujmy, drogi panie, nie tragizujmy. Przekona się pan, że w praktyce to nic znowu takiego strasznego. Dużo jest w tym wszystkim przesady, literatury. W najbliższym czasie któryś z naszych ludzi nawiąże z panem kontakt. Aha, i jeszcze jedna sprawa. Chciałbym pana przeprosić za to, że wtedy wprowadziłem pana w błąd, podając się za profesora Mokrzyckiego. Ja nie jestem profesorem Mokrzyckim, jak to już zapewne zdążył pan zauważyć.

ROZDZIAŁ IX

Komenda Wojewódzka w Gdańsku zawiadomiła, że poszukiwany osobnik kręci się po terenie Trójmiasta i usiłuje dostać się na jakiś frachtowiec. Gdańsk prosił o dalsze dyrektywy. Polecenie Komendy Głównej brzmiało: Nie aresztować, nie przerywać inwigilacji, utrzymać stały kontakt.

Stasiak przyjechał wieczorem. Przed dworcem podszedł do niego wywiadowca i powiedział, że Rysio je kolację w jednej z portowych restauracji. Stasiak zostawił walizkę w przechowalni bagażu i, nie tracąc ani chwili, pojechał taksówką pod wskazany adres.

Informacje okazały się ściśle. W głębi zadymionej sali siedział barczysty mężczyzna o kwadratowej, pryszczatej twarzy. Rozmawiał z ożywieniem z dwoma mocno już podpitymi marynarzami.

Stasiak znalazł w pobliżu wolny stolik, usiadł i zamówił piwo. Czekał cierpliwie, nie spuszczać z oczu trzech mężczyzn. Wreszcie jednak znudziło mu się to zajęcie, wyjął z kieszeni notes, wyrwał z niego kartkę, napisał parę słów i skinął na przechodzącą kelnerkę. - Pani będzie uprzejma zanieść temu panu liścik miłosny.

Uśmiechnęła się, powiedziała „dobrze” i wzięła kartkę. Po chwili Rysio siedział przy stoliku Stasiaka. Spytał:

- Pan coś ode mnie chciał? - Tak.

- Ja pana nie znam.

- Nie szkodzi. Możemy się poznać.

Rysio spojrzał podejrzliwie. Na jego niskim czole pojawiła się głęboka bruzda.

- Czego pan chcesz ode mnie? Stasiak wyjął papierosa i zapalił.

- Ja w sprawie Mariana.

W wąskich, trochę skośnych oczach pojawił się błysk zainteresowania, który jednak natychmiast zgasł.

- Nie znam żadnego Mariana. Nie wiem o kim pan mówi.

Stasiak wyjął garść drobnych z kieszeni, odliczył należność za piwo i położył pieniądze na stoliku. - Może stąd wyjdziemy - zaproponował. - Strasznie tu duszno. Na świeżym powietrzu lepiej sobie pogadamy. Chodź pan. - Rysio bez sprzeciwu ruszył w kierunku wyjścia.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Stasiak spytał:

- Jak sobie radzisz z meliną?

- Różnie. A bo co?

- A bo ja zostawiłem walizkę na stacji. Nie wiem gdzie będę dzisiaj nocował. Do hotelu iść jakoś nie mam chęci.

Rysio nie kwapił się z żadną propozycją. Szedł wolno w milczeniu i kopał napotykaną po drodze kamienie.

- Mam gryps dla ciebie od Mariana - powiedział Stasiak.

- Gryps? Jak to gryps? - W głosie opryszka zabrzmiał niepokój.

- Marian siedzi.

- Bzdura.

- No to masz czytaj. - Stasiak wyjął z kieszeni list, który razem z Downarem wymusili na Krasiewicz. - Znasz chyba charakter pisma Mariana.

- Znam - przebiegł oczami zapisaną kartkę papieru i przybladł nieco. - Do jasnej cholery. Faktycznie siedzi.

- Trzeba się likwidować z terenu - powiedział Stasiak, zniżając głos. Musimy tylko załatwić z towarem. Szkoda. Duża partia.

- Z jakim towarem? - Rysio znowu zrobił się podejrzliwy.

- No jak to z jakim? Z tym z Konstancina.

- To Marian jeszcze tego nie opędzłował?

- Nie miał przez kogo. Słuchaj, a może by Magdalena...

- Ta dziwka nie chce już dla nas pracować - prychnął ze złością Rysio. - We łbie jej się przewróciło. Histeryczka, psiakrew.

- Ale na tę fotografię zgodziła się.

- Takie numery dla żartu to ona lubi, ale wozić nie chce.

- Po diabła Marianowi było takie zdjęcie? - zaryzykował Stasiak. - Bo przecież nie dla rozrywki.

Rysio wzruszył ramionami.

- A cholera go wie. Kazał, zapłacił, to się zrobiło. Nic znowu takiego nadzwyczajnego. Chciał chyba temu facetowi paskudny kawał zrobić. Bo jakby jego żonie takie zdjęcie z gołą babką posłał, to możesz pan sobie wyobrazić.

- Trzeba było trochę forsy wydoić z frajera - powiedział Stasiak.

Rysio nie podjął tego tematu. Zapalił papierosa. Po chwili spytał:

- Dawno pracujesz z Marianem?

- Będzie już przeszło dwa lata.

- Jakie masz pseudo?

- Mów mi Heniek.

- Dobra. Niech będzie Heniek. Ty także spływasz?

- Najwyższy czas się likwidować. Marian na śledztwie będzie sypał. To mięczak.

- Masz rację. Dawniej inaczej o nim myślałem. Marian jest dobry dopóty, dopóki wszystko gra. Ma fantazję, ma dobre pomysły, ale jak coś zaczyna nawalać, to klops. Nie można na niego liczyć.

- Liczyć można tylko na siebie - mruknął Stasiak. - No co, skombinujesz mi jakąś melinę na dzisiejszą noc?

Rysio zawahał się. - W jaki ty właściwie sposób znalazłeś mnie w tej knajpie? - spytał nagle.

Stasiak był przygotowany na to pytanie. Z uśmiechem spojrzał na mówiącego.

- W tutejszej komendzie milicji dowiedziałem się gdzie cię mam szukać.

- Nie wygłupiaj się. Nie lubię takich żartów. Przecież mnie nawet nie znałeś. Nie wiedziałeś jak wyglądam.

Stasiak klepnął poufale opryszka po plecach.

- Coś ty Rysiek...? Za kogo mnie masz? Jak się dowiedziałem, że Marian siedzi, to poszedłem do Celiny i od niej dostałem twoje zdjęcie. Podumałem chwilę i doszedłem do wniosku, że nie możesz być nigdzie indziej jak tylko na Wybrzeżu. Obleciałem wszystkie knajpy w Gdańsku, w Gdyni i w Sopocie, i wreszcie cię zdybałem. Marian prosił, żeby ci dać cynk, no to musiałem to zrobić.

- Za bardzo jesteś o mnie troskliwy - powiedział Rysio. - Aż mi się wierzyć nie chce, żeby ktoś obleciał całe Wybrzeże tylko po to, żeby mnie ostrzec.

- Bywają jeszcze porządni ludzie na świecie. Powinieneś to docenić i skombinować mi jakiś nocleg.

- No dobra - zdecydował się wreszcie Rysio. - Zabiorę cię do ciotki.

- Masz tu ciotkę?

- Ale skąd. Tak ją tylko nazywają. Stara bajzelmama. Przyjmuje na noclegi, jak kogo dobrze zna, oczywiście.

- Daleko to?

- W Gdyni. Musimy pojechać koleją elektryczną.

- No to fajnie - ucieszył się Stasiak. - Skoczę tylko po walizkę.

Na dworcu Rysio zaproponował piwo, ale Stasiak odmówił. Szybkim krokiem ruszył do przechowalni. Nagle poczuł, że mu się robi gorąco. Odwrócił się, chciał się gdzieś schować, ale było już za, późno. Uśmiechnięta twarz byłej kierowniczkki stołówki z Ministerstwa zbliżała się do niego nieuchronnie.

- A, pan major! Co za miła niespodzianka. Kopę lat. Pewnie pan major na urlopiek nad morze. Piękna pogoda. A ja tutaj, panie majorze, już drugi rok prowadzę kantinę marynarską, nawet jestem zadowolona, bo klimat morski mi służy, tylko ten reumatyzm...

Stasiak skoczył ku drzwiom i zaklął straszliwie. Rysio oczywiście zniknął, rozpląnął się tak, jak by go tu nigdy nie było.

Rozradowana niewiasta próbowała jeszcze kontynuować konwersację, ale Stasiak przerwał jej dość opryskliwie: - Innym razem pani mi to wszystko opowie. Teraz nie mam czasu.

Z automatu zadzwonił do komendy i powiedział co się stało. - Poszukajcie go, zatrzymajcie i przyslijcie nam go do Warszawy. Melinę miał w Gdyni u jakiejś starej baby

zwanej „ciotką”. Tam już oczywiście nie wróci, ale melinę spróbujcie rozpracować. Ja wyjeżdżam dziś na noc. Cześć.

Był wściekły. Najchętniej udusiłby tę starą idiotkę, która pokrzyżowała mu wszystkie plany. Ale czyż mógł przewidzieć, że właśnie spotka ją tutaj na dworcu. Co za pech. Od Rysia na pewno dowiedziałby się bardzo wielu ciekawych rzeczy. Bliski już był tego, żeby pozyskać sobie jego całkowite zaufanie. U tej jakiejś „ciotki” wypiliby parę wódek i wtedy już pociągnąłby za język oprycha, jakby mu się żywnie podobało. Niech to wszyscy diabli.

Szczęśliwym trafem dostał przed samym odejściem pociągu sypialne miejsce, ale kiedy znalazł się w wagonie zwątpił w to, czy mu w ogóle będzie potrzebne. Na razie nie myślał o spaniu. Zbyt był zdenerwowany. Ulokował walizkę na siatce, a następnie stanął w korytarzu. Pałac papierosa, patrzył w okno.

- Dobry wieczór.

Odwrocił się i spojrzał zaskoczony. Magdalena zaśmiała się serdecznie, ubawiona jego zdumieniem.

- Zrobił pan taką minę, jak by pan ducha zobaczył.

- Nie spodziewałem się pani tutaj spotkać. Zwiedzała pani Wybrzeże?

Energicznie potrząsnęła głową.

- Nie. Pilnowałam pana.

Stasiak podniósł pytająco brwi, do góry. Wargi mu drżały hamowanym śmiechem.

- Pilnowała mnie pani? - Tak.

- Nic z tego nie rozumiem. Odgarnęła spadające jej na czoło włosy.

- Bałam się, żeby pan nie zrobił jakiegoś głupstwa.

- Pani jest kapitalna - zaśmiał się Stasiak.

- Niech się pan nie śmieje. Wiem, że pan się spotkał z Rysiem. Na pewno chciał pana zaprowadzić do „ciotki”. Mógł być pan już stamtąd nie wrócić.

- Nie przesadzajmy.

- To nie żadna przesada. Pan nie docenia Rysia. Robi wrażenie zwykłego, dość prymitywnego opryszka, ale tak nie jest. To bardzo sprytny facet. Sprytniejszy, niż pan sobie wyobraża. Chciał pana zabrać na noc do „ciotki”, tak?

- Tak. Ale skąd pani zna te wszystkie meliny?

- Mówiłam przecież panu, że kiedyś zabawiałam się w szmugiel. Niech pan wierzy, że to rzeczywiście była dla mnie zabawa, atrakcja. Nie chodziło mi nawet o pieniądze. Nie. Po prostu lubię sensację, mocne wrażenia, przygody.

- To są bardzo ryzykowne przygody - powiedział Stasiak.

- Oczywiście. Już teraz na to nie poszłabym, ale wtedy wydawało mi się, że jestem bohaterką sensacyjnej powieści. Po prostu pisałam powieść.

Uśmiechnął się.

- Żeby pisać sensacyjne czy kryminalne powieści, niekoniecznie samemu trzeba być przestępcą.

- Dopiero niedawno to zrozumiałam.

- Chciałbym pani zadać jedno pytanie.

- Słucham?

- Czy pani rzeczywiście w związku moją osobą pojechała na Wybrzeże?

- Naturalnie. Pojechałam za panem, żeby pana pilnować. Strasznie się bałam, że stanie się panu coś złego.

- Dlaczego to pani zrobiła?

- Dlatego, że pana kocham - powiedziała po prostu. Stasiak był tak zaskoczony tym wyznaniem, że w pierwszej chwili nie wiedział co ma powiedzieć. Dziewczyna przysunęła się bliżej i nie spuszczała oczu z jego twarzy.

- Przyznaję, że jestem trochę... jak by tu określić...? Jestem trochę zdziwiony.

- A pan mnie nie kocha? - spytała i nagle twarzyczka jej posmutniała.

Stasiak był coraz bardziej zażenowany. Krępowała go ta dziwna sytuacja, tym bardziej, iż czuł, że Magdalena jest w tej chwili szczerą, że się przed nim obnaża. Nie chciał jej zranić.

- Wie pani... no cóż... przyznam się, że nie myślałem o tych sprawach, nie miałem czasu zastanowić się.

- Ale przecież ja się panu podobam?

- Tak, tak, oczywiście. To nie ulega wątpliwości, że pani jest uroczą dziewczyną i że mi się pani podoba.

- Tylko jeszcze nie zdążył się pan zastanowić nad tym, czy pan mnie kocha, tak?

- O właśnie - powiedział skwapliwie rad, że może jakoś wybrnie obronną ręką z tego wszystkiego.

Uśmiechnęła się, już znowu była wesoła.

- No to ja zaczekam, aż się pan namyśli. Mam czas.

Umilkli. Za wagonowym oknem czerniła się noc, przecinana od czasu do czasu snopem czerwonych iskier. Stukot kół unosił ich coraz dalej w ciemność. Podróżni ułożyli się do snu. Zostali sami na korytarzu.

- Zdaje się, że zupełnie niepotrzebnie wykupiliśmy sypialne miejsca - powiedziała Magdalena. - Nie wiem jak panu, ale mnie zupełnie nie chce się spać.

- Mnie też nie.

- O czym pan myśli?

- O tej dziwacznej fotografii, do której pani pozowała na Hożej.

Zaśmiała się.

- Och, to głupstwo bez znaczenia.

- Tak pani sądzi?

- Oczywiście.

- Niech mi pani powie po co pani to zrobiła?

- Prosił mnie Marian.

- I nie powiedział pani po co mu było potrzebne takie zdjęcie?

- Oczywiście, że powiedział. Chodziło po prostu o to, żeby zmusić tego faceta do rozwodu. Podobno maltretuje swoją żonę i nie chce się zgodzić na rozwód. Ta fotografia miała być dowodem dla sądu, dowodem jego zdrady.

- A jeśli pani powiem, że ja znam tego człowieka i że jego pożycie z żoną jest idealne?

- To niemożliwe!

- A jednak to prawda. Mogę panią zapewnić, że rzadko można spotkać tak dobrze ze sobą żyjące małżeństwo.

- W takim razie dlaczego Marian?...

- A tego to już ja nie wiem. Musiał mieć jakieś powody, żeby zorganizować tego rodzaju imprezę. - Może szantaż?...

- Chciał wyłudzić w ten sposób od niego pieniądze?! - krzyknęła oburzona Magdalena.

Stasiak przyłożył palec do warg.

- Ciiicho... Nie tak głośno. Ludzie śpią. Wcale nie jest wykluczone, że chciał wyłudzić pieniądze, a może miał jakieś inne cele. Może zależało mu na tym, żeby tego człowieka mieć w ręku.

- To obrzydliwe. I ja się do tego przyczyniłam?

- Trudno zaprzeczyć.

- Czy pan jest pewien tego, że to jest porządny człowiek, dobry mąż?

- Tak. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Była wstrząśnięta.

- To okropne. Jak ja mogłam? Wiedziałam przecież, że Marian to skończony łajdak.

Proszę pana... Ja... ja... ja chciałabym to jakoś naprawić. Co mogę zrobić dla tego człowieka?

Nawet nie wiem, jak on się nazywa. Pokazał mi go Rysio, powiedział o co chodzi. Zgodziłam się. Jestem głupia, nieodpowiedzialna.

- Zbyt mądre to nie było - przyznał Stasiak. - Ale w tej chwili już chyba nie warto zastanawiać się nad tym. To nam nic nie da.

Magdalena przytaknęła ruchem głowy.

- Ma pan rację. To nic nie da. - Nagle zniżyła głos i powiedziała szeptem: - Muszę panu coś wyznać.

Spojrzał na nią z niepokojem. Sądził, że znowu chodzi o sprawy sercowe.

- Niech pani mówi.

Przysunęła się do niego jeszcze bliżej i rzuciła szybkie spojrzenie w głąb pustego korytarza.

- Tu nikt nie może słyszeć, prawda?

- Nie. Wszystkie drzwi pozamykane.

- Bo widzi pan... ja kłamałam.

- Pani?

- Tak. Okłamywałam pana cały czas. Ale teraz mam dosyć. Nie mogę tego dłużej znieść. Ja pana kocham i muszę panu powiedzieć prawdę, choćby się miało nie wiem co stać.

Stasiak czuł, że podniecenie dziewczyny było szczere. Wziął ją za rękę.

- Niech się pani nie denerwuje. Proszę mi powiedzieć wszystko to, co panią gnębi.

Postaram się pani dopomóc, jeśli tylko potrafię.

Spuściła oczy i przygryzła wargę.

- Ja wiem, że pan nie jest z Interpolu i że pan nie nazywa się Wilhelm Drumer.

- Kimże jestem według pani?

- Pan jest z kontrwywiadu. Nazywa się pan Stasiak. Uśmiechnął się.

- Skąd te wiadomości?

- Zna pan barona Boysta, prawda?

- Owszem. Kiedyś go znałem.

- W albumie barona Boysta widziałam pańską fotografię. Zapoznałam się dokładnie z pańskim życiorysem.

- Więc pani...? Skinęła głową.

- Tak. Pracuję dla wywiadu. Jestem szpiegiem.

- I tak się pani do tego z lekkim sercem przyznaje?

- Powiedziałam przecież, że mam dosyć. Zdecydowałam się odkryć przed panem moje karty. Zakochałam się w panu, a poza tym...

- Co poza tym...?

- Poza tym zrozumiałam, że to paskudna robota.

- Jak to się stało, że pani w ogóle zdecydowała się...?

- Groziło mi więzienie. Idiotycznie wdałam się w handel narkotykami. Nakryli mnie. Potrzymani mnie przez kilka tygodni w celi więziennej, w okropnych warunkach. Potem otrzymałam ultimatum, albo dziesięć lat więzienia, albo współpraca z wywiadem. Zabrakło mi odwagi, a zresztą rola Maty Hari pociągnęła mnie swym romantyzmem. Pociągnęła mnie perspektywa nowych przygód, nowych niebezpiecznych sytuacji. Byłam straszliwie głupia.

- Dawno pani działa na naszym terenie z ramienia obcego wywiadu? - spytał Stasiak.

- To moja druga podróż. Nic wielkiego jednak dotychczas nie zdziałalam.

- Czy ojciec pani wie coś o tym?

- Ależ skąd! Ojciec zabiłby mnie, gdyby się dowiedział. Błagam pana niech mu pan nic nie mówi.

- A czy ta fotografia na Hożej ma jakiś związek z pani działalnością?

Potrząsnęła głową.

- Nie, absolutnie nie. W każdym razie ja nic o tym nie wiem. Powiedziałam panu prawdę.

- Wyjątkowo - uśmiechnął się Stasiak.

- Gniewa się pan na mnie, że pana tak oszukiwałam?

- Trudno mówić o gniewaniu się.

Westchnęła i oparła głowę o szybę. - Tak bym chciała, żeby pan mnie kiedyś polubił. Żałuję teraz, że wdałam się w to wszystko. Ale winna jest w dużym stopniu moja matka. Ona zawsze mnie namówi do czegoś takiego.

- Jakie pani ma plany na najbliższą przyszłość? - spytał Stasiak.

Wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem. W tej chwili prześladowuje mnie jedna myśl. Boję się, że wyrzuciłam straszliwą krzywdę temu człowiekowi, z którym pozwoliłam się sfotografować.

- To bardzo prawdopodobne - przyznał Stasiak. - Tym bardziej, że nie wiemy po co im było potrzebne takie zdjęcie.

Spojrzała na niego błagalnie.

- Niech mi pan pomoże.

- W czym mam pani pomóc?

- Chciałabym naprawić jakoś tę krzywdę. Czy sądzi pan, że to byłoby możliwe?

- Nie wiem. Może. Nie zastanawiałem się nad tą sprawą.

- Wspomniał pan, że pan zna tego człowieka.

- Tak. Znam.

- Czy może mi pan powiedzieć kto to jest?

- Sądzę, że wymienienie nazwiska w tej chwili nic pani nie da. Przecież to wszystko jedno, czy on nazywa się Kowalski, Majewski czy też Nowakowski.

- Tak, oczywiście, ale chciałabym wiedzieć czym on się zajmuje, co robi... No po prostu chodzi mi o to, żeby się zorientować w jakim stopniu mogłam mu zaszkodzić tą fotografią.

- Być może, że dowie się pani o tym prędzej niż pani przypuszcza. Na razie nie chciałbym się wdawać w szczegóły.

- Pan mi nie ufa. Stasiak uśmiechnął się.

- Proszę się nie gniewać, ale po tym wszystkim nie może pani ode mnie żądać bezwzględnego zaufania. Chyba pani to rozumie?

Skinęła głową i uśmiechnęła się smutnie. Wyglądała na bardzo przygnębioną.

- Ma pan rację. Boję się, że pan mi już nigdy nie będzie wierzył, a przecież ja niczego więcej nie pragnę.

- Czy pani nie grozi żadna operacja? - spytał nagle Stasiak.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Operacja? Nie. Chociaż... Ostatnio jeden wiedeński lekarz twierdził, że powinnam pozbyć się wyrostka. Miałam coś w rodzaju ataku już dwa razy. Ale nie rozumiem dlaczego pan pyta? Co to ma wspólnego?

- Niedługo to pani wytłumaczę - powiedział Stasiak i zapalił papierosa.

ROZDZIAŁ X

Wiadomość o powrocie Pawła do kliniki była szeroko komentowana w sferach lekarskich. Nikt jednak nie potrafił wytłumaczyć przyczyn tej decyzji i nikt właściwie naprawdę nie wiedział, czy doktor Szrot wraca na stałe do pracy chirurga, czy też ma dokonać tylko tej jednej operacji.

Sprawa ta poprzedzona była wielogodzinną rozmową, w której wzięli udział: Downar, Stasiak, Magdalena i Paweł. Początkowo nie mogli dojść do porozumienia.

Paweł, zobaczywszy Magdalенę, zbladł i chciał natychmiast wyjść z pokoju. Tylko dzięki energicznej postawie Downara udało go się zatrzymać. Zaczęli mu tłumaczyć, że jest to jedyna okazja do wyświetlenia tajemnicy zgonów jego pacjentów.

- Przecież pan jest z powołania chirurgiem - powiedział Downar. - Powinno panu zależeć na tym, aby oczyścić swoją opinię, aby wrócić do pracy, którą pan kocha.

Paweł ponuro spojrział na mówiącego.

- Nie mam prawa nikogo narażać. Któż mi zaręczy, że kobieta, którą zoperuję nie skończy tak jak tamci.

- Ja jestem gotowa ponieść to ryzyko! - zawołała Magdalena.

- A to niby dlaczego? Dlaczego pani miałyby się dla mnie poświęcać?

Spojrziała mu prosto w oczy.

- Dlatego, że zrobiłam panu świństwo i teraz chcę to odrobić. Czy to takie trudne do zrozumienia?

- Może się pani nie trudzić - mruknął Paweł. - Co się stało, to się już nie odstanie.

Stasiak przysunął się do Pawła i powiedział:

- Niech pan da tej dziewczynie szansę. Czyż pan nie widzi, że ona się chce w jakiś sposób zrehabilitować?

Powoli, bardzo powoli kończyli opór Pawła, sięgając po coraz to nowe argumenty. Nie było to rzeczą łatwą, ponieważ w psychice Pawła powstały już kompleksy. Sama myśl o sali operacyjnej napawała go przerażeniem. A jeżeli znowu? Jeżeli znowu?

Wreszcie doszli do porozumienia. Ustalono, że Magdalena będzie symulować atak ślepej kiszki i że nazajutrz przewiezie ją się do kliniki profesora Suchańskiego.

Stasiak i Downar zostali sami. Downar w zadumie spojrział na przyjaciela:

- Czy ty rzeczywiście łączysz tę aferę szpiegowską z nieudanymi operacjami Szrota?

Stasiak nie od razu odpowiedział. Otworzył okno. W pokoju było szaro od dymu.

- No cóż... Sam sobie wielokrotnie zadawałem to pytanie. Przyznam ci się, że tak naprawdę to nie wiem co o tym myśleć. W każdym razie musimy tę sprawę wyjaśnić. Wokół Szrota nawarstwiło się tyle różnych elementów, że trzeba to jakoś po kolei zacząć rozszyfrowywać. Inaczej nie damy rady. Po prostu należy pewne rzeczy eliminować, inne dopasowywać do siebie, kojarzyć. No wiesz, jak to jest?

- Oczywiście, że wiem. Boję się tylko czy uda nam się upilnować tę dziewczynę.

Stasiak zacisnął pięści.

- Upilnuję ją. Powiedz czy Kobiela w dalszym ciągu pracuje w szpitalu?

- Tak. Nie dalej jak wczoraj skarżył mi się, że już ma dosyć noszenia i wożenia chorych.

- O ile się orientuję to sprytny facet.

- Bardzo. A co najważniejsze solidny w robocie. Już niejedną sprawę razem z nim prowadzę.

- Wiesz, czego się najwięcej boję? - powiedział Stasiak.

- Czego?

- Tego, że operacja się uda i że nie będzie żadnych komplikacji.

- No cóż... takie ryzyko oczywiście istnieje.

*

Nadszedł dzień operacji. Przedtem wszystko zostało dokładnie omówione z profesorem Suchańskim. Downar odbył z nim poufną rozmowę, nie wtajemniczając oczywiście profesora we wszystkie szczegóły sprawy. Powiedział, że Paweł jest jego serdecznym przyjacielem, a jego kuzynka Magdalena nie chce słyszeć o tym, żeby ją kto inny operował.

- Nie wiem czy panu wiadomo - powiedział Suchański - że ostatnio doktor Szrot nie miał najszcześniejszej ręki do operacji. W związku z tym nawet zrezygnował z pracy w szpitalu i przeszedł na inne stanowisko.

Downar skinął głową.

- Tak, tak, wiem o tym i moja kuzynka także jest zorientowana w tej sprawie. Nie straciła jednak zaufania do Szrota. Twierdzi, że to jest jedyny człowiek, któremu pozwoli się pokroić.

Suchański rozłożył ręce.

- No... skoro tak, to ja nie będę się sprzeciwiał. Uważałem tylko za swój obowiązek przestrzec państwa.

- Czy te śmiertelne wypadki kładzie pan na karb jakiejś nieudolności doktora Szrota? - spytał Downar.

- Nic podobnego - zaprzeczył z ożywieniem Suchański.

- Wszystkie operacje zostały dokonane najzupełniej prawidłowo i z punktu widzenia medycznego nikt nie może mieć żadnych zastrzeżeń.

- Więc dlaczego wobec tego...?

- Ba, żebym to ja wiedział. W ogóle muszę panu w zaufaniu powiedzieć, że cała ta historia wydaje mi się niesłychanie tajemnicza.

- Podejrzewa pan zbrodnie, panie profesorze?

- Nie wiem... nie wiem, ale to dziwne, bardzo dziwne. Paweł wstał wcześniej. Obudził się przed piątą i już nie mógł zasnąć. Czuł niemiły bezwład w całym ciele. Z trudem podniósł się z tapczanu i starczym, zrezygnowanym krokiem powłókł się do łazienki. To już dzisiaj. Każda minuta zbliżała się do tego czegoś, co się miało stać. Dotychczas wszystko to znajdowało się w kręgu czysto teoretycznych rozważań. Nie czuł, albo może nie chciał czuć całego realizmu sytuacji. Dopiero teraz... teraz kiedy dzieliło go już tylko parę godzin.

Mydłąc twarz przed lustrem, zdał sobie jasno sprawę z konsekwencji swej decyzji. Pojedzie do szpitala i będzie musiał operować. Obrazy niedawnej przeszłości w całej swej grozie stanęły mu przed oczami. Ogolił się pośpiesznie, wziął prysznic i wyszedł z łazienki.

Anna już nie spała. Siedziała w szlafroku przed lustrem i rozczesywała włosy. I ona także była bardzo zdenerwowana, ale nie dawała tego po sobie poznać. Uśmiechnęła się.

- Dzień dobry. Wczesnie się poderwałeś.

Mruknął coś niewyraźnie, usiadł na tapczanie i ręcznikiem wycierał sobie uszy. - Nie będę operował - powiedział.

Spojrzała na niego spłoszona. Przez tyle dni prosiła, tłumaczyła, perswadowała po to, żeby teraz... żeby w ostatnim momencie...

Zbliżyła się do Pawła i objęła go za szyję.

- Błagam cię, kochany, panuj nad nerwami. Popatrz na nią z tak ogromnym smutkiem, że aż jej serce ścisnęło.

- Nie mogę operować. Zrozum. Nie mogę. Nie mam odwagi.

- Musisz się wziąć w garść. Słyszysz?! Musisz. Od tego zależy cała twoja przyszłość, nasza przyszłość. Przecież to jedyna szansa.

Zamknął oczy i przez chwilę siedział nieruchomo, zgarbiony, przytłoczony ciężarem odpowiedzialności, którą miał wziąć na siebie.

- Boję się. Boję się.

- Przestań histeryzować! - krzyknęła energicznie. - Weź się wreszcie w garść. Bądź mężczyzną.

Zerwał się, zaczął biegać po pokoju. Wybuchnął:

- Czy ty nie rozumiesz?! Na miłosierdzie boskie, czy ty nie rozumiesz?! Ja nie mogę, nie mogę. Straciłem wiarę w siebie. Wszyscy tamci ludzie mieli do mnie zaufanie, całkowite zaufanie. Ta dziewczyna także mi ufa. I jeżeli ona...

- Nic jej nie będzie. Przecież wiesz, że wszystko jest zorganizowane.

Bezradnie spojrzał na swoje ręce.

- A może... a może jest coś w moich palcach, co zabija ludzi?

- Paweł! Opamiętaj się! Przestań bredzić! Chwilowe podniecenie opadło z niego zupełnie. Stał pokorny, zawstydzony, ze spuszczoną głową.

- Więc uważasz, że jednak powinienem? - spytał cicho.

- Oczywiście. Ubieraj się. Szybko. Zaraz przyszykuję śniadanie.

Umilkł i już się nie odezwał ani słowem. Posłusznie ubrał się, zjadł śniadanie. Anna odprowadziła go do taksówki.

- Chcesz, żebym z tobą pojechała? Potrząsnął głową.

- Nie. Dziękuję ci. Wolę być sam.

Przez okno samochodu patrzył na błyszczące w słońcu ulice. Ogarnęła go apatia, jakieś zupełne zubożenie na wszystko. Nie myślał ani o Magdalenie, ani o mającej się odbyć operacji. Nie myślał właściwie o niczym... Szum miasta dolatywał do niego z oddali i był dziwnie nierealny. Miał takie uczucie, jakby się nagle znalazł w jakimś ogromnym skafandrze, który go oddzielał od rzeczywistości.

W szpitalu powitano doktora Szrota entuzjastycznie. Siostrzyczki śmiały się do niego, koledzy po fachu ściskali mu dłoń z mniej lub więcej udaną serdecznością. Wszyscy byli w komplecie. Brakowało tylko Joanny, która spędzała urlop w Zakopanem.

Biel korytarzy, białe czepki pielęgniarek, białe fartuchy. Tak dobrze znana atmosfera klinik.

Profesor Suchański zaprosił Pawła do swego gabinetu.

- Bardzo się cieszę, panie kolego, że znowu pana widzę wśród nas - powiedział uprzejmie. - Przy operacji asystować będą Rawicki i Kowalik. Czy to panu dogadza?

- Ależ oczywiście. Bardzo panu profesorowi dziękuję.

- Jak samopoczucie? - spytał Suchański. Paweł uśmiechnął się blado.

- Tak sobie. Raczej dobre. Trochę oczywiście jestem stremowany. Pan profesor rozumie...

- Tak, tak, naturalnie. Rozumiem pana doskonale. No mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Życzę powodzenia.

Na korytarzu Teresa rozmawiała z felczerem z urologii. Kiedy ich mijali, felczer przerwał rozmowę i spojrzał na niego. W głęboko osadzonych szarych oczach Paweł dostrzegł błysk nienawiści. Zdziwił się.

Nie było jednak czasu do rozmyślań. W tej chwili podszedł do niego Rawicki.

- Może obejrzymy sobie pańską pacjentkę? Magdalena leżała w czteroosobowym pokoju. Była pogodna i uśmiechnięta.

„Tamci także się śmiali” - pomyślał Paweł.

- Jak się pani czuje? - spytał Rawicki.

- Doskonale. Nie mogę się już doczekać tej operacji. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam operowana.

- Zawsze kiedyś trzeba zacząć. Zaraz panią zabierzemy. Proszę się nie niepokoić.

Paweł raz jeszcze bardzo uważnie zbadał Magdaleny.

- Serce w zupełnym porządku - powiedział, spoglądając na Rawickiego.

W tej chwili drzwi się otworzyły i posługacz wtoczył do pokoju wózek.

Trudno było się domyśleć, że ten barczysty mężczyzna o dobrodusznej, pucułowatej twarzy reprezentuje Komendę Główną Milicji i jest jednym z najbliższych współpracowników Downara.

- Ależ po co ten wózek? - zaproponowała Magdalena. - Przecież ja mogę pójść na salę operacyjną.

Kobiela wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zawsze lepiej jechać, jak iść. Niech się pani nie obawia. Hamulce w moim „mercedesie” działają pierwszorzędnie.

Paweł ostatni zjawił się na sali operacyjnej. Mył ręce dłużej niż to było konieczne. Instynktownie odwlekał decydującą chwilę. Wiedział, że to nie ma sensu, że już nie może się cofnąć, a jednak... I nagle w uszach zabrzmiał mu obcy, bezosobowy głos: - Czy pan jest gotów, panie kolego?

- Tak.

- Czy możemy zaczynać?

- Tak.

I stało się coś, czego Paweł nie przewidział. Z chwilą kiedy poczuł w palcach twardy kształt lancetu i kiedy przeciął skórę na brzuchu dziewczyny, nagle zniknęło całe zdenerwowanie. Był zupełnie spokojny, opanowany. Ruchy miał pewne, precyzyjne. Znowu był znakomitą maszyną do operowania ludzi.

Operacja nie była trudna i trwała krótko. Paweł wyprostował się i głęboko wciągnął w płuca powietrze. Spojrzał na Rawickiego.

- W porządku?

- W najzupełniejszym porządku.

- Piękne cięcie - zachwycił się Kowalik.

Kobiela odwiózł Magdalenę na łóżko. Powoli opuszczali salę operacyjną.

Profesor Suchański zatrzymał Pawła na korytarzu.

- Jak poszło?

Zupełnie dobrze, panie profesorze.

- To się cieszę, naprawdę ogromnie się cieszę. - Paweł uważnie spojrzał na Suchańskiego. Nie miał całkowitej pewności, czy słowa te były szczerze. „Robię się straszliwie podejrzliwy” pomyślał i poszedł do Magdaleny.

Jeszcze nie obudziła się z narkozy. Spała spokojnie, oddychała rytmicznie. Po wargach jej błękał się ledwie dostrzegalny uśmiezek. Robiła wrażenie małej dziewczynki śniącej o bardzo miłych rzeczach.

Paweł stał długą chwilę przy łóżku i patrzył. Potem zbadał puls pacjentki, sprawdził bandaż, dotknął jej czoła. Znowu pojawił się niepokój. Tamci przecież także dobrze się czuli po operacji, a jednak...

- Panie doktorze...

Drgnął i odwrócił się gwałtownie. Zobaczył uśmiechniętą twarz Downara.

- Ach to pan. Dzień dobry.

- Jak się udała operacja?

- Wszystko w porządku. Operacja miała przebieg najzupełniej prawidłowy. Z punktu widzenia lekarskiego nie przewiduję żadnych komplikacji.

- Może wyjdziemy trochę do ogrodu - zaproponował Downar. - Chciałbym z panem pomówić.

Znaleźli wolną ławkę stojącą pod rozłożystym kasztanem, usiedli i zapalili papierosy.

- Więc twierdzi pan, doktorze, że operacja w porządku?

- W najzupełniejszym.

- Kto panu asystował?

- Doktor Rawicki i doktor Kowalik.

- A czy z profesorem Suchańskim pan rozmawiał? - Tak.

- No i jak profesor odniósł się do pana? Paweł zawahał się.

- Bo ja wiem... Był bardzo dla mnie uprzejmy. Downar spojrzał pytająco.

- Widzę, że pan ma jakieś wątpliwości. - Co to znaczy?

- Nie, nie - zaczął się wycofywać Paweł. - Właściwie nie mam żadnych konkretnych podstaw do tego, żeby wątpić w życzliwość profesora, tylko...

- Tylko co? - nalegał Downar.

- Tylko ta uprzejmość wydała mi się niezbyt szczerą. Ale podkreślam, że mogę się mylić.

Downar na ścieżce narysował patykiem łeb psa. Spytał:

- Czy nazwisko Rawan jest panu znane? Paweł potrząsnął głową.

- Nie... chyba nie. Nie znam nikogo takiego.

- Niech pan sobie dobrze przypomni. Może to któryś z pańskich byłych pacjentów.

Paweł pomyślał chwilę i nagle trzasnął dłonią o poręcz ławki.

- Ależ tak, oczywiście. Teraz sobie przypominam. Rawan to był pacjent, którego operowałem. Młody chłopak. Niestety, umarł.

- Dlaczego umarł?

- Całe wnętrze miał zżarte przez raka. Nikt mu nie był w stanie pomóc. Musiał umrzeć.

- Czy to od jego śmierci zaczęły się te pańskie niepowodzenia z pacjentami?

Paweł spojrzał zdziwiony.

- Tak. Skąd pan wie?

- Nie wiem. Snuję różne domysły. Niech mi pan jeszcze powie, panie doktorze, czy przedtem nie spotkał się pan jeszcze kiedyś z tym nazwiskiem?

- Nie.

*

Dyżurne siostry skończyły rozdzielać wieczorną porcję lekarstw. Światła na salach gasły. Szpitalne życie powoli cichło. Szła noc.

Kobiela walczył z ogarniającą go sennością. Wypił duży kubek czarnej kawy, wypalił parę papierosów. Nic nie pomagało. Pod wpływem otaczającej go ciszy powieki stawały się coraz cięższe, a całe ciało ogarniał rozkoszny bezwład. Spać.

Wiedział, że musi się przemóc, że ani na parę minut nie wolno mu zasnąć. Od tego przecież mogło zależeć życie ludzkie. Wyszedł na korytarz i zaczął spacerować. Korzystając z chwilowej nieobecności siostry Teresy, zajrzał do pokoju, w którym leżała Magdalena. Spała spokojnie. Wszystko było w porządku.

Teresa wróciła i usiadła przy swym stoliku. Spostrzegłszy, że tak chodzi, spytała: - Dlaczego pan się nie położy, panie Władku? Jak mi pan będzie potrzebny, to przecież pana obudzę. Zresztą dzisiaj nie mamy ostrego dyżuru.

- Nie chce mi się spać - mruknął Kobiela. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Dziwne. Dałabym głowę, że pan ledwo się trzyma na nogach.

Przysunął sobie krzesło i usiadł koło niej. - Co pani czyta?

- A, takie tam głupstwa. Jakiś kryminał.

- Lubi pani kryminały?

- Czasem lubię, dla rozrywki.

- Taka młoda kobietka nie powinna czytać o zbrodniach. To niedobrze robi.

- Dlaczego?

- No bo samemu można w końcu stać się mordercą. Bardzo jestem ciekaw czy pani byłaby zdolna kogoś zamordować.

Wzdrygnęła się gwałtownie.

- Co też pan takie rzeczy opowiada, panie Władku? Kobiela już nie był senny. Uważnie obserwował twarz dziewczyny. Po chwili powiedział:

- Hm. No cóż... różnie w życiu bywa, bardzo różnie. Czasem jest taki człowiek, że zdaje się, że muchy by nie zabił, a tu tymczasem wyrzyna majchrem całą rodzinę. Tak się zdarza.

- Siostró, siostró! - zawołał ktoś z dużej sali, gdzie stało kilkanaście łóżek.

Teresa spojrzała na Kobiela.

- Niech pan tu chwilę zostanie. Ja zaraz wracam. Zobaczą co się tam stało.

Zniknęła za drzwiami. W tym momencie zadzwonił telefon. Kobiela podniósł słuchawkę. - Chirurgia... Słucham?

Niski kobiecy głos. Mówiła prędko, była bardzo zdenerwowana. - Proszę powiedzieć doktorowi Szrotowi, że jego pacjentce grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Na miłość boską pilnujcie jej, pilnujcie jej, dzień i noc. To się może stać w każdej chwili!

- Proszę pani - powiedział Kobiela. - Proszę pani... Wróciła Teresa. - Kto to dzwonił? - spytała.

- E, nic. Pomyłka - odparł Kobiela i powiesił słuchawkę.

- Nie idzie pan spać?

- Nie. Jakoś mi się nie chce.

- No, to w takim razie niech mi pan przyniesie kroplówkę do tego małego pokoju.

- Po co pani kroplówka?

- Pan doktor Szrot kazał zaaplikować swojej pacjentce. Twierdzi, że organizm bardzo odwodniony. On w ogóle lubi te kroplówki.

Kobiela spojrzął na zegarek. Dochodziła dwunasta. „Mniej więcej o tej porze dostał kroplówkę ten dziennikarz Warzycki” pomyślał,

- No więc jak? Pomoże mi pan z tą kroplówką?

- Ależ oczywiście.

Przyniósł aparat do pokoju, w którym leżała Magdalena i postawił koło łóżka chorej. Teresa zręcznym ruchem podłączyła do żyły.

- Co się dzieje? - spytała sennie Magdalena.

- Nic, nic, wszystko w porządku. Niech pani leży spokojnie. Robimy kroplówkę. Proszę się nie ruszać.

Teresa pociągnęła Kobiela za rękaw.

- To potrwa jakiś czas. Zajrzę tu za chwilę. Chodźmy. Kiedy znaleźli się na korytarzu, Kobiela przeciągnął się i ziewnął.

- Wie pani, że chyba jednak się trochę położę. Dobranoc. Poszedł do małej salki, gdzie robiono opatrunki i gdzie można się było przespać na ceratowej kanapce. Przez uchylone drzwi obserwował uważnie każdy ruch Teresy. Wyczekał moment, gdy poszła do łazienki. Na palcach podbiegł do pokoju, w którym leżała Magdalena. Ostrożnie nacisnął klamkę i wsunął się do środka.

Przez chwilę stał nie poruszając się. Czekał, aż oczy przywykną do ciemności. Nie było tu zresztą zbyt ciemno. Przez nieszczelnie zasłonięte okno wsączało się światło latarni.

Chorzy spali. Nikt nie zauważył jego wejścia. Powoli, bardzo powoli, krok za krokiem przysunął się do łóżka, które stało niedaleko okna. Usiadł na podłodze pomiędzy łóżkiem, a ścianą. Tuż obok leżała Magdalena.

Czekał, wsłuchany w sapanie i pochrapywanie chorych. Instynktownie czuł, że coś się stanie i że krytyczna chwila się zbliża. Nerwy miał napięte. Pragnienie snu było już bardzo dalekie.

Z dużej sali znowu ktoś wzywał siostrę Teresę. Kobiela słyszał jej oddalające się kroki. I zaraz potem stało się to, na co czekał.

Niewidzialna ręka poruszyła klamkę i drzwi uchylły się bezszelestnie. Na tle jasnej ściany zamajaczyła sylwetka mężczyzny. Wolno ostrożnie zbliżał się do łóżka Magdaleny. W prawym ręku trzymał jakiś przedmiot, który błyskał w świetle latarni.

Kobiela naprężył mięśnie i w chwili, gdy tamten pochylił się nad chorą, skoczył.

Zaczęli się szamotać, sapiąc i klnąc. Kobiela był chłop krzepki, ale tamten zdołał wyrwać się z jego uścisku i rzucił się ku Magdalenie usiłując wbić igłę w ciało dziewczyny. Wtedy Kobiela z całym rozmachem kopnął go w rękę, chwytając mordercę za gardło. Tuż przed sobą zobaczył gorejące wściekłością i nienawiścią oczy szaleńca.

Był wczesny ranek. Siedzieli we dwóch i pili kawę, Kobiela skończył czytać swój raport. Downar klepnął go po plecach.

- Dobrze spisaliście się - powiedział. - Należy się wam premia.

Okrągłą twarz porucznika rozjaśnił pełen zadowolenia uśmiech.

- Niewiele brakowało, a byłbym przespał całą sprawę. Cholernie byłem śpiący. Nie wyobrażacie sobie nawet. Oczy mi się kleiły. Całe szczęście, że się jakoś opanowałem. Byłby wykończył dziewczynę.

- Oczywiście.

Wszedł Stasiak. Był bardzo podniecony.

- Podobno macie mordercę! - zawołał od drzwi. Downar skinął głową.

- Mamy. Tajemnica kliniki profesora Suchańskiego została wyjaśniona.

- Więc jednak ten felczer? - Tak.

- Rozmawiałeś z nim? Przyznał się?

- Nie mógł się nie przyznać. Kobiela schwycił go na gorącym uczynku. W strzykawce miał strofantynę. A poza tym nie usiłował niczego się wypierać.

- Chory umysłowo?

- Oczywiście. Żeby zniszczyć Szrota wykańczał jego pacjentów. Tylko szalenciec mógł obmyślić taką zemstę.

- Świetnie się maskował.

- Znakomicie. Nikomu nie przyszło na myśl, że to wariat. Pracował w klinice urologicznej. Zachowywał się zupełnie normalnie.

Stasiak spojrzął na Kobiela.

- Dawno podejrzewaliście go?

- Dość dawno - odparł porucznik, pociągając ze szklanki duży łyk kawy. - Przede wszystkim zwróciło moją uwagę to, że facet przychodził stale do naszej kliniki i dopytywał się o doktora Szrota. Pozorował niby to wszystko tym, że zakochał się w Teresie. Ale mnie z miejsca podpadł. Zacząłem go uważniej obserwować i od czasu do czasu widziałem u niego w oczach coś takiego, co mnie zastanowiło. Myślę sobie - „A może szmergiel?” - No i faktycznie.

- Cholera! - zaklął Stasiak. - To wprost trudne do uwierzenia. Ilu ludzi ten facet zamordował?

Downar podsunął mu zapisaną kartkę papieru.

- Masz tu wykaz. Warzycki, ta mała Krysia, Bartosik, profesor Piotrowski.

- Wszystkich wykańczał strofantyną?

- Tak. Do kroplówki wstrzykiwał śmiertelną dawkę strofantyny. To jest lek stosunkowo łatwo dostępny na każdej klinice. Tylko w wypadku tej małej dziewczynki zmienił system. Przeciął uziemienie od koagulacji. Porażenie prądem.

- Ale, że też Szrot nie skojarzył sobie tego wszystkiego z operacją dokonaną na tym chłopaku i na tej kobiecie.

- Cóż chcesz? Żonę Rawana operował prawie dziesięć lat temu.

- To też był rak?

- Tak.

- Powinien przecież, do diabła, zrozumieć, że to nie wina lekarza - zdenerwował się Stasiak. - To idiotyczne. Przecież był z tej branży. Nie żaden ciemny kmiotek!

Downar wzruszył ramionami.

- Po prostu facet stracił równowagę psychiczną. Po śmierci żony oszalał, a śmierć syna pogłębiła jeszcze to szaleństwo. Trzeba trafu, że Szrot operował oboje. W chorym umyśle Rawana zrodziła się żądza zemsty. Nie miał jednak zamiaru zabijać lekarza, który, w jego mniemaniu, spowodował śmierć żony i syna. Obmyślił bardziej wyrafinowany rodzaj zemsty. Postanowił złamać karierę Szrota, zabijając jego pacjentów.

Kobiela, który dokładnie znał tę całą historię, przeciągnął się i ziewnął. - Czy jestem jeszcze potrzebny? - spytał. Chętnie bym się trochę przespał.

188

- Oczywiście. Idźcie spać - powiedział Downar. - Zobaczymy się po południu.

Kiedy zostali sami, Stasiak wziął do ręki leżący na stole raport Kobieli, przez chwilę przeglądał go w milczeniu, a następnie podniósł wzrok na Downara.

- Z tego wszystkiego wynika, że sprawa tych zabójstw na klinice nie ma nic wspólnego ze sprawą, która mnie interesuje.

- Sądzę, że sobie pewne fakty kojarzysz - powiedział Downar.

- Masz na myśli to, że łatwo było wykorzystać stan psychiczny Szrota, jego depresję?

Downar skinął głową.

- Myślę, że jest to zupełnie oczywiste.

ROZDZIAŁ XI

Paweł chciał natychmiast wracać na klinikę, okazało się to jednak niemożliwe. Przede wszystkim pułkownik Łukański przeciwstawił się temu bardzo energicznie.

- Bardzo się dziwię, panie doktorze - powiedział zdenerwowany - bardzo się dziwię, że pan w ogóle może mi taką rzecz zaproponować. Rozumiem, że pan ma ochotę wrócić do pańskiego właściwego fachu, ale przecież te sprawy trzeba jakoś poważnie traktować. Zaczął pan tutaj u nas szereg prac i nie ma mowy o tym, żebym się zgodził na pańskie natychmiastowe odejście. To musi jeszcze potrwać przynajmniej kilka miesięcy.

- Wie pan przecież, panie pułkowniku, że ja przyszedłem tutaj zmuszony okolicznościami - próbował bronić się Paweł. - Teraz sytuacja wyjaśniła się i...

Łukański przerwał mu energicznym ruchem ręki.

- Wiem, wiem, doskonale się w tym wszystkim orientuję. Nie zmienia to jednak mojego stanowiska. Musi pan skończyć zaczęłą robotę. Nie chcę o niczym słyszeć.

Tak więc Paweł został nadal w Zakładzie Medycyny Wojskowej i kontynuował swe prace badawcze. Czuł się teraz jak odrodzony. Odzyskał wiarę w siebie, radość życia. Świadomość, że w każdej chwili może wrócić na klinikę, że z zupełnym spokojem może stanąć przy stole operacyjnym była dla niego czymś tak wspaniałym, że wprost nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Wobec tych przeżyć tamte inne sprawy odsunęły się automatycznie na dalszy plan, zacierały się w pamięci, stawały się coraz bardziej odległe, nierealne. Przedziwna przygoda na ulicy Hożej, szantaż, rozmowa z tajemniczym panem Richterem, wszystko to było jakiegoś tak bardzo nieprawdziwe, fantastyczne, że chwilami Paweł nie wierzył, że to się rzeczywiście zdarzyło, starał się o tym nie myśleć. Przekonywał siebie samego, że wraz z wyjaśnieniem sprawy tajemniczych zgonów jego pacjentów wszystkie jego kłopoty skończyły się bezpowrotnie. Niestety, niebawem okazało się, że to były tylko piękne marzenia.

W kilka dni po rozmowie z pułkownikiem Łukańskim wyruszył w podróż służbową. Na Pomorzu miał odwiedzić duży poligon szkolnego pułku czołgów. Przewidywał, że spędzi tam około tygodnia.

Pociąg gnał w ciemność. Koła wagonu wystukiwały na szynach rytm jakiejś melodii. Chłód jesiennej nocy wypełnił korytarz.

Paweł zamknął okno i zaczął przeglądać gazetę, którą w ostatniej chwili kupił na dworcu. Cieszył się myślą, że sam jedzie w przedziale. Nie miał nastroju do rozmowy z przygodnym towarzyszem podróży.

Gwar na korytarzu powoli milknął. Pasażerowie układali się do snu. Paweł nagle poczuł ogarniające go zmęczenie. Ziewnął, wsunął gazetę do kieszeni marynarki i poszedł do ubikacji. Kiedy wrócił spostrzegł, niemile zdziwiony, że ktoś śpi na górnym poślaniu. Garnitur w szarozieloną kratkę wisiał na wieszaku. Rozkoszna perspektywa samotnej podróży rozviała się. Nie było jednak rady. Paweł westchnął i zaczął się rozbierać. Zdziwił go trochę fakt, że jego towarzysz tak błyskawicznie znalazł się pod kołdrą, ale nie zastanawiał się nad tym zbyt długo. Wyciągnął się z rozkosznym uczuciem, nakrył się po głowę i zamknął oczy. I nagle posłyszał ściszony głos:

- Pan doktor Szrot, prawda?

- Tak. Pan mnie zna?

- Proszę, niech się pan nie rusza i niech pan uważnie posłucha tego, co panu powiem.

- Co to ma znaczyć - zdenerwował się Paweł. Już mu się odechciało spać.

- Pan Richter prosił, żeby panu przekazać serdeczne pozdrowienia, panie doktorze.

Paweł poczuł, że niewidzialne kleszcze chwytają go za gardło.

- O co chodzi? - wykrztusił.

- Niech się pan nie rusza i niech pan nie zapala światła. A teraz niech pan słucha uważnie tego, co powiem. Chciałbym, żeby pan dobrze zdał sobie sprawę ze swojej sytuacji. Nie chcemy panu szkodzić, ale pod warunkiem, że będzie pan z nami lojalnie współpracował. Przypominam, że swego czasu wystawił pan recepty na morfinę, których ujawnienie mogłoby położyć kres pańskiej karierze lekarskiej, nie mówiąc już o konsekwencjach wynikających z kodeksu karnego. Poza tym mamy w rękach dowody, że pan pracuje dla obcego wywiadu.

- To kłamstwo! - zawołał Paweł.

- Niech pan zachowuje się spokojnie, panie doktorze. Ludzie śpią. A co do tego, że potrafimy dowieść pańskiej współpracy z obcym wywiadem, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Być może, że było to nieświadome, ale przekazał nam pan szereg interesujących informacji, których nie powinien pan być rozpowszechniać. Bardzo trudno będzie dowieść, że to było nieświadome.

- Czego chcecie ode mnie?

- Niech pan słucha uważnie i może niektóre rzeczy pan sobie zanotuje. Jest wprawdzie tutaj ciemno, ale przy odrobinie dobrej woli... Może pan zapalić lampeczkę znajdującą się nad poduszką. Proszę nie usiłować oglądać mojej twarzy. Właśnie w tej chwili włożyłem maskę.

- Czego chcecie ode mnie? - powtórzył Paweł. Ogarniała go nieodparta chęć, żeby się zerwać z posłania i chwycić draba za gardło. Ten, jakby odgadując jego myśli, powiedział: - Radzę zachowywać się spokojnie. Mam pistolet z tłumikiem i wszelkie nierozsądne poczynania mogłyby się dla pana bardzo smutno skończyć. Proszę mi wierzyć, że to nic trudnego wyrzucić ciało z pędzącego pociągu. Nagie ciało oczywiście. Mam ze sobą pustą walizkę, do której zapakowałbym wszystkie pańskie rzeczy i wysiadłbym na najbliższej stacji. Zidentyfikowanie pańskich zwłok nie byłoby rzeczą łatwą.

Paweł poczuł, że krople zimnego potu spływają mu po plecach. Nie miał wątpliwości co do tego, że to nie były czcze pogrożki i że właśnie tak wyglądałaby sytuacja, gdyby dał się ponieść pierwszemu odruchowi.

A tamten mówił dalej spokojnym, beznamiętnym głosem.

- Mam wrażenie, że wszystko sobie wyjaśniliśmy, panie Szrot. Teraz może się pan przez chwilę skupi. Powiem panu o co chodzi, czego się po panu spodziewamy. Wiemy oczywiście, dokąd pan jedzie. Obiekt ten interesuje nas od dawna i pańska podróż jest nam ogromnie na rękę. W przybliżeniu chodzi nam o następujące informacje: po pierwsze czy jednostka wojskowa, do której pan jedzie rozbudowuje się w chwili obecnej i czy są w robocie jakieś drogi dojazdowe? Po drugie czy jednostka rozmieszczona jest tylko nad ziemią,

czy też i pod ziemią? Po trzecie - czy żołnierze w tej jednostce rekrutują się z fachowców i czy odbywają ćwiczenia w terenie, czy też cały czas pozostają na miejscu? Po czwarte - czy jednostka posiada własne agregaty prądotwórcze i o jakiej mocy? I wreszcie, czy to prawda, że w pobliżu tej jednostki projektowane jest założenie w najbliższym czasie bazy raketowej? To wszystko są oczywiście najogólniejsze pytania. Nie muszę panu wyjaśniać, że każda szczegółowa informacja posiada dla nas kolosalne znaczenie. Zanotował pan, panie doktorze?

- Zanotowałem.

- To doskonale. Proszę się tego nauczyć na pamięć i zniszczyć kartkę. Po pańskim powrocie do Warszawy ktoś z nas skontaktuje się z panem w sposób dyskretny. Otrzyma pan instrukcje co do sposobu przekazania nam zebranych przez pana informacji. A teraz dobranoc.

Paweł nie odpowiedział. Leżał z podłożonymi pod głowę rękami i patrzył w okno. Światła mijanych stacji błyskały na ciemnej powierzchni szyby. Koła wagonu stukwały rytmicznie, skandując jedno słowo: „zabić, zabić, zabić, zabić...”

Po raz pierwszy w życiu Paweł odczuwał tak ogromną nienawiść, że był zdolny do popełnienia zbrodni. Dopiero teraz uświadomił sobie dokładnie, w co chciano go wciągnąć, czego od niego żądano. Nie, nie, nigdy się na to nie zgodzi. Choćby miał do końca życia gnić w więzieniu nie będzie szpiegiem we własnym kraju, nie będzie działał na szkodę swej ojczyzny. Niech go zamkną, niech go sądzą, niech go skazą. Było już zupełnie widno, kiedy zapadł w niespokojny, gorączkowy sen.

Obudził się przed końcową stacją. Wstał i spojrzał na górne łóżko. Było puste, bardzo porządnie zasłane, zupełnie tak, jakby nikt na nim nie spał.

Na dworcu czekał na niego samochód. Młody porucznik trzasnął obcasami i powiedział, że nazywa się Bukowski i że wszyscy bardzo się cieszą z powodu przyjazdu do jednostki doktora Szrota. Paweł z trudem wydobył z siebie kilka uprzejmych słów i napomknął coś o ładnej pogodzie. Bukowski podchwycił ten temat z wyraźnym entuzjazmem. - Lato było piękne. Jesień także zapowiada się ładna. Wiadomo, złota polska jesień. Ciekawe, jaka też będzie zima.

Po wyczerpaniu tematyki związanej z prognozami meteorologicznymi, zaczął mówić o pięknie miejscowego krajobrazu i tak zajęchali na miejsce. Paweł natychmiast zameldował się u komendanta.

Pułkownik Miśniak, barczysty, pięćdziesięcioletni mężczyzna, o pogodnej jowialnej twarzy, przyjął gościa bardzo serdecznie.

- Witamy, witamy, pana doktora. Bardzo się cieszę, że nas pan odwiedził. Zaraz zorganizujemy jakieś śniadanko. Czym chata bogata tym rada. Żołnierski wikt. Trudno, nie mamy tu smakołyków, ale z głodu pan doktor nie umrze.

Paweł zapewnił sympatycznego pułkownika, że nie dręczyły go tego rodzaju obawy, że nie jest wybredny, i że mu kasza z kartoflami w zupełności wystarczy.

- No, tak źle nie będzie. Kawał kiełbaski też się znajdzie - zaśmiał się Miśniak. - A może nawet jakiś schabowy kotlecik się skombinuje.

Paweł, którego niecierpliwiły nieco te gastronomiczne pogawędki, spytał:

- Czy mógłbym, panie pułkowniku, połączyć się z Warszawą?

Misiak spojrzał z pewnym zdziwieniem.

- Już? Tak zaraz po przyjeździe?

- Muszę załatwić pilną służbową sprawę.

- W takim razie poproszę pana do mojego gabinetu, albo raczej do mojej kwatery.

Kiedy znaleźli się w obszernym, bardzo skromnie umeblowanym pokoju, poczęstował Pawła papierosami i powiedział:

- Nie pogniewa się pan panie doktorze, że go zostawię samego. Mam parę spraw do załatwienia. Zostawiam pana sam na sam z telefonem.

Paweł był pełen uznania dla taktu pułkownika. Idąc tutaj cały czas zastanawiał się nad tym, w jaki sposób pozbyć się jego towarzystwa. Zamówił rozmowę z Komendą Główną MO. Nie czekał zbyt długo na połączenie. Na szczęście zastał Downara.

*

Tego samego dnia przed wieczorem przyleciał samolotem Stasiak. Miał na sobie mundur generalski i upozorował swoje przybycie nadzwyczajną inspekcją jednostki. Nikomu nie przyszło na myśl, że inspekcja ma coś wspólnego z przyjazdem doktora Szrota.

Po kolacji Stasiak odwiedził Pawła w jego kwaterze.

- Czy to prawda, co mi powiedział Downar? Paweł skinął głową.

- Tak.

- Czy może mi pan tę całą historię krótko, ale dokładnie streścić?

Stasiak słuchał, paląc papierosy. Od czasu do czasu uśmiechał się.

Paweł skończył i powiedział:

- Pan mi nie wierzy. Stasiak znowu się uśmiechnął.

- No cóż... Cała moja praca opiera się przede wszystkim na niedowiarstwie. Ale niech pan sobie wyobrazi, że w tym wypadku jest inaczej. Mam powody po temu, żeby panu wierzyć. Na pierwszy rzut oka cała ta historia rzeczywiście robi wrażenie

nieprawdopodobnej, ale tak już bywa, że czasem rzeczywistość okazuje się bardziej fantastyczna niż największe fantazje. Niech mi pan powie, czy szantażowano pana tą fotografią już wtedy, kiedy pan pracował w Zakładzie Medycyny Wojskowej?

- Nie. To było znacznie wcześniej.

- Uhm. To znaczy, że sprawa zwerbowania pana do roboty szpiegowskiej nie była przypadkowa. To był konsekwentnie przeprowadzony plan.

- Teraz ja też tak myślę - przytaknął Paweł.

- A jak to się stało, że pan w ogóle zaczął pracować w Zakładzie Medycyny Wojskowej? Kto pana tam skierował?

- Moja koleżanka po fachu. Joanna Mokrzycka powiedziała mi, że był u nich na herbacie pułkownik Łukański i mówił, że poszukuje kogoś do roboty. Ponieważ ja akurat zgłosiłem rezygnację w klinice, więc...

Stasiak pokiwał głową.

- Rozumiem. Zbieg okoliczności. Czy nie za dużo tych zbiegów okoliczności - dodał ciszej i zamyślił się.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytał podejrzliwie Paweł.

- Nie, nie, nic. Tak rozważam to wszystko. Usiłuję stworzyć sobie jakąś teorię w tej całej sprawie.

- I udaje się to panu?

- Częściowo tak. Brakuje mi jeszcze paru ogniwi, ażeby mieć jasny obraz całości. Mam nadzieję, że dopomoże mi pan w zdobyciu tych ogniwi.

- Jak pan to sobie wyobraża?

- Przede wszystkim musi się pan lojalnie wywiązywać z obowiązków szpiega.

- Nie rozumiem...?

Stasiak roześmiał się, widząc przerażoną minę Pawła.

- To proste. Chodzi o to, żeby nie orientowali się, że pan jest ze mną w kontakcie, że pan się zdekonspirował.

- Ach tak. Teraz już rozumiem. Ale oni zażądają ode mnie materiałów informacyjnych. Co wtedy?

- Wszystkie potrzebne materiały dostarczy panu pułkownik Miśniak.

- Pułkownik Miśniak? - zdziwił się Paweł.

- Tak. Materiały te już czekają na pana, panie doktorze. Paweł był coraz bardziej zdumiony.

- Czekają na mnie?

- Oczywiście. Niech pan nie zapomina o tym, że nasz kontrwywiad także przeprowadza swoje plany. Wyjazd pana tutaj został przez nas zaplanowany. Od dawna orientujemy się w tym, że dla obcego wywiadu ta jednostka, w której się obecnie znajdujemy, jest specjalnie interesująca. Dlatego pan tu został delegowany, nie miałem przecież wątpliwości co do tego, że oni skontaktują się z panem. Przypuszczam, że nastąpiło to w pociągu.

- Tak.

- Pociąg to bardzo dogodne miejsce do tego rodzaju kontaktów - mówił dalej Stasiak - Bardziej bezpieczne niż kawiarnia, kino, czy park.

- To pan wiedział, że ja? Stasiak uśmiechnął się.

- Nietrudno się było domyślić. Wpadła mi w ręce ta fotografia i zorientowałem się, że pana szantażują. Nie wiedziałem tylko, czym dodatkowo trzymają pana w szachu, bo przecież to zdjęcie było niewystarczające. Teraz już wiem. Chwył z receptami na morfinę był zupełnie niezły. To już była mocniejsza rzecz. To panu poważnie zagrażało.

- Posiedzę ładnych parę lat - powiedział ponuro Paweł. Stasiak przyjacielsko poklepał go po ramieniu.

- Tak źle nie będzie. Wybronimy pana jakoś. Fakt, że pan dopomoże nam do rozpracowania siatki szpiegowskiej, sąd na pewno uzna jako okoliczność łagodzącą. Muszą też wziąć to pod uwagę, że pan działał pod wpływem ogromnej depresji. W normalnych warunkach nie zrobiłby pan tego.

- Oczywiście, że nie.

- No widzi pan. To wszystko są argumenty dla obrony. Sytuacja była zupełnie niezwykła. Naprawdę trudno się dziwić, że dał się pan wciągnąć w tę całą aferę. Zresztą tamci wiedzieli o tym doskonale.

Paweł zamyślił się. Stanęła mu przed oczami uśmiechnięta twarz Mariana. - Nie przypuszczałem, żeby Krasiewicz... - powiedział cicho. - Kto by się spodziewał.

- Tak. Widzi pan, panie doktorze, jak to nie można mieć zaufania nawet do tak zwanych przyjaciół. Zdawałoby się, że życzliwy facet, dobry kumpel, a tu masz... Wpakował pana w szpiegowską aferę.

- Zgubiła go żądza łatwych i dużych zarobków. Nie cofał się przed niczym, żeby tylko zdobyć pieniądze. Jedna rzecz w tej całej sprawie jest dla mnie niejasna.

- Jaka?

- Dlaczego wtedy Richter udawał profesora Mokrzyckiego i dlaczego odebrał ode mnie tę kartkę?

- Domyślam się, o co chodziło - powiedział Stasiak. - Ale w tej chwili nie chciałbym mówić na ten temat. Mam nadzieję, że w niedługim czasie wszystko będzie zupełnie jasne.

ROZDZIAŁ XII

Plan Stasiaka był konsekwentnie realizowany. Paweł w dalszym ciągu pracował w Zakładzie Medycyny Wojskowej, odbywał częste podróże w teren i specjalnie preparowane informacje przekazywał agentom Herr Richtera. Od czasu do czasu ktoś z siatki szpiegowskiej zmuszony był rezygnować ze swej niechlubnej działalności i znajdował cichy azyl w więzieniu śledczym. Stasiak jednak tak kierował akcją, aby tych aresztowań nie można było sobie w żaden sposób kojarzyć z osobą doktora Szrota.

Obmyślał coraz to nowe preteksty, organizował wokół danego osobnika zręczne sytuacje, stwarzał setki nowych, bocznych akcji. Był niewyczerpany w pomysłach, a wieloletnie doświadczenie w tym zawodzie podsuwało mu coraz to nowe koncepcje.

Paweł, ogarnięty nienawiścią i żądzą zemsty, z całym zapalem współdziałał w niszczeniu podziemnego wroga. Niecierpliwił się tylko, że wszystko to trwa zbyt długo i namawiał do energiczniejszych posunięć. Wtedy Stasiak śmiał się i mówił: - Langsam, langsam, aber sicher. Chi va piano, va sano va lontano. Nie denerwujmy się, panie doktorze. I tak już odwaliliśmy ładny kawał roboty. To są bardzo precyzyjne historyjki. Trzeba umieć przeczekać cierpliwie. Nie wolno robić żadnych gwałtownych i nerwowych posunięć. To tak, jak gra w szachy. Przegrywa ten, kto chce prędko wygrać. Każdy ruch musi być dokładnie obmyślony.

Gra jest jednak tylko grą i zawsze trzeba się liczyć z przegraną.

Jeden z tajnych raportów Pawła wzbudził w Berlinie Zachodnim pewne wątpliwości. Może treść tego maszynopisu zbyt daleko odbiegała od rzeczywistego stanu rzeczy, a może jakiś inny agent przeprowadził badanie tego właśnie terenu na własną rękę? Tak czy inaczej Herr Richter stracił nagle zaufanie do doktora Szrota i polecił wziąć go pod ścisłą obserwację. Obserwacja ta dostarczyła szereg nowych materiałów, które nie tylko rzucały cień podejrzenia na lojalność agenta Z-47, ale nawet nie wykluczały możliwości, iż agent ten prowadzi podwójną grę.

Paweł nic oczywiście nie wiedział o tym wszystkim, i coraz bardziej lekceważył sobie przeciwnika, pomimo iż Stasiak nieustannie nawoływał go do czujności. Wreszcie bomba pękła.

Pewnego wieczoru Anna poszła odwiedzić Elżbietę, a Paweł siedział przed telewizorem, oglądał film z Dzikiego Zachodu i gryzł jabłka.

Zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się męski głos. Był to charakterystyczny, basowy głos z wagonu sypialnego. - Natychmiast pojedzie pan do Żyrardowa. Po wyjściu w Żyrardowie z pociągu proszę zaczekać przed stacją na dalsze instrukcje.

Paweł napisał do Anny parę słów, a następnie wyszedł i z automatu połączył się ze Stasiakiem, który polecił mu ściśle stosować się do wszystkich instrukcji. - Czy ma pan broń? - spytał na pożegnanie.

- Nie - odparł zdziwiony Paweł.

- A umie się pan obchodzić z pistoletem?

- Oczywiście. Byłem w partyzantce.

- Czy pan ma na sobie płaszcz? - Tak.

- To dobrze. Idąc na dworzec niech pan wstąpi coś zjeść. Na rogu Alej Jerozolimskich i Pankiewicza jest taka podła knajpa. Niech pan tam wejdzie i niech pan zje jakiegoś schaboszczaka. Płaszcz niech pan odda do szatni. Jak pan będzie wychodził znajdzie pan nabity pistolet w kieszeni.

- Ale po co to wszystko? - spytał niespokojnie Paweł.

- Po to, panie doktorze, że przewiduję pewne komplikacje. Mogę się oczywiście mylić, ale wydaje mi się, że w obecnej sytuacji ostrożność nie zawadzi.

- Czy pan uważa, że grozi mi niebezpieczeństwo?

- To nie jest wykluczone, ale niech pan będzie spokojny. Nie pozwolimy pana skrzywdzić. A ten pistolet, to tak, na wszelki wypadek.

Paweł poszedł do wskazanej przez Stasiaka restauracji, zjadł serdelki z kapustą i wychodząc rzeczywiście w kieszeni płaszcz poczuł pod palcami pistolet. To dodało mu pewności siebie, ale jednocześnie napełniło go niepokojem. Czyżby rzeczywiście coś mu groziło? A może wiedzą wszystko i chcą go zlikwidować? Pamiętał doskonale, jak to w czasie okupacji wykańczało się ludzi prowadzących dwulicową grę. A on przecież taką właśnie grę prowadził od dłuższego czasu. Jeżeli Stasiak postanowił go uzbroić, to znaczy, że...

Pełen niewesołych myśli wszedł do elektrycznego pociągu odjeżdżającego do Żyrardowa. Baczenie przyglądał się towarzyszom podróży. Właściwie w każdym napotkanym człowieku węszył swego prześladowcę. Wybrał najbardziej zatłoczony przedział. W gromadzie czuł się bezpieczniej. „Do diabła” - myślał. - „Jestem porządnie tchórzem podszyty. Nerwy odmawiają mi posłuszeństwa”. Przypomniał sobie walki partyzanckie. Tak, ale wtedy był młodym chłopakiem, dla którego pojęcie niebezpieczeństwa nie istniało. A poza tym to było coś innego.

Walka w lesie z konkretnym przeciwnikiem. A teraz nie wiadomo skąd może przyjść morderca. Każdy, dosłownie każdy przechodzień, każdy podróżny w pociągu może być właśnie tym człowiekiem, który ma za zadanie go zabić.

W Żyrardowie, stosownie do otrzymanej instrukcji, wyszedł przed stację i czekał paląc papierosa. Po upływie paru minut podszedł do niego mężczyzna w średnim wieku i poprosił o ogień. - Niech pan wyjdzie na szosę - powiedział.

Noc już była zupełna. Zimny wiatr szarpał bezlistnymi gałęziami drzew. W oddali błyszczało miasto.

Paweł stanął na brzegu szosy. Nasunął kapelusz na oczy, podniósł kołnierz jesionki. Zaczynała ogarniać go wściekłość. Miał już dosyć tego wszystkiego.

Zgrzytnęły hamulce. Tuż przy nim zatrzymał się ogromny, ciemny samochód. - Prosimy, panie doktorze. - Paweł został wciągnięty do wnętrza wozu.

- Dokąd mnie wieziecie?

- Na konferencję. - Głos był znajomy, głęboki, trochę chropowaty, głos z wagonu sypialnego.

Paweł odwrócił się ku mówiącemu, ale w ciemnościach nie mógł dojrzeć rysów jego twarzy.

Potężna maszyna rwała naprzód, z szybkością stu kilkudziesięciu kilometrów na godzinę. Paweł patrząc na biejącą w świetle reflektorów szosę, nie wiadomo dlaczego myślał o pasie startowym. Przypomniawszy mu się lot do Paryża. Jakżeż to było dawno. Usiłował pogрузić się we wspomnieniach, żeby nie poddać się rosnącemu z każdą chwilą niepokojowi. Nagle tuż nad uchem posłyszał: - Niech pan odda pistolet,

- Nie mam żadnego pistoletu - odparł cofając się instynktownie w głąb wozu. W tym samym momencie poczuł lufę na żebrach. - Niech pan odda pistolet. - Posłusznie sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął broń. Siedzący obok mężczyzna chwycił go silnie za przegub dłoni i z niezwykłą wprawą wyłuskał mu z ręki pistolet. Wszystko to odbyło się bez jednego słowa.

Godzina mijała za godziną, a nic nie wskazywało na to, żeby ta szalona jazda miała się ku końcowi. Pędzili ciągle z tą samą szybkością. Paweł stracił orientację, w jakim jadą kierunku. Parę razy próbował dowiedzieć się o celu tej nocnej wycieczki, ale albo nie otrzymał żadnej odpowiedzi albo też zbywano go jakimś niewybrednym żartem. Pocieszał się tym, że gdyby go mieli zamiar zabić, to zrobiliby to od razu. Nie było żadnej konieczności jechać na drugi koniec Polski, żeby mu strzelić w łeb. Rozumowanie to jednak nie zdołało przemóc uczucia strachu, które stawało się coraz bardziej natrętne, coraz silniejsze.

Wyobraźnia pracowała gorączkowo. Przed oczami Pawła poczęły przesuwać się obrazy pełne grozy.

Wjechali w las. Białe światło reflektorów załamywało się między pniami drzew. Człowiek siedzący przy kierownicy zmniejszył szybkość i gwałtownie skręcił wóz w lewo. Wóz potoczył się po bocznej drodze. Zatrzymali się przed jednopiętrowym, murowanym domem tak ukrytym w gęstwinie, że trudno się było domyślić jego istnienia. Dwa okna na parterze błyszczały żółtym światłem.

Wprowadzono Pawła do obszernego, starannie umeblowanego pokoju. Klubowe, obite skórą fotele, potężne mahoniowe biurko, na podłodze dywan, a na ścianach dwa stare portrety w złożonych ramach i kilkanaście pożółkłych fotografii, przedstawiających konie wyścigowe. Na kominku płonął ogień.

Paweł rozejrzał się ciekawie dokoła, a nie widząc nikogo, z kim mógłby nawiązać rozmowę, usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Spojrzał na zegarek. Dochodziło w pół do drugiej. Sądząc po szybkości, z jaką jechali, ta dziwna, leśna rezydencja musiała być oddalona od Warszawy o dobrych kilkaset kilometrów. Skrzypnęły drzwi. Wszedł wysoki, szczupły brunet. Czarne, zaczesane do tyłu włosy błyszczały od brylantyny. Nieskazitelnie biała koszula podkreślała ciemną, oliwkową cerę. - Pan pozwoli, panie doktorze, że się przedstawię - powiedział, wyciągając wąską, wypielęgowaną dłoń. - Nazywam się Ernest Cortier. Proszę niech pan siada. Może papierosa? - Mówił poprawnie po polsku z ledwie dostrzegalnym akcentem cudzoziemskim.

Przez chwilę milczeli badając się wzajemnie spojrzeniem. Paweł zauważył, że Cortier mimo pozorów spokoju i całkowitego opanowania, jest bardzo zdenerwowany.

- Niezmiernie mi przykro, panie doktorze, że właśnie ja muszę odbyć z panem tę niezbyt miłą rozmowę.

- Proszę, niech pan mówi.

- Otóż... - Cortier zgasił papierosa, aby natychmiast zapalić nowego. - Otóż sprawa jest, że się tak wyrażę, dosyć drażliwa. Pan pracował dla nas i dotychczas mieliśmy do pana całkowite zaufanie.

- Czy coś się zmieniło? - niemile zdziwił się Paweł.

- Niestety, tak. Od niejakiego czasu zaczęliśmy wątpić w pańską lojalność wobec nas.

- To jest gołosłowne oskarżenie.

- Proszę mi wierzyć, że niczego bardziej nie pragnę jak tego, żeby pańskie słowa pokrywały się z faktycznym stanem rzeczy. Obawiam się jednak, że dość trudno będzie panu obalić dowody, które mamy w rękach.

- Jakiegoż rodzaju są te dowody?

Cortier uśmiechnął się. Pewność siebie Pawła zaczynała go bawić.

- Widzi pan, panie doktorze, nieporozumienie polega na tym, że pan bardzo niedawno z nami współpracuje i z pewnych rzeczy nie zdaje pan sobie należycie sprawy. Mogę pana zapewnić, że gdybyśmy nie mieli dowodów pańskiej zdrady - ostatnie słowo mocno zaakcentował - gdybyśmy nie mieli niezbitych dowodów pańskiej zdrady, to w tej chwili nie znajdowałby się pan tutaj, a ja nie rozmawiałbym z panem na te tematy.

Paweł wzruszył ramionami. Całym wysiłkiem woli opanował podniecenie, które rosło w nim z każdą chwilą. Wiedział jednak, że jedynie zimna krew może go uratować. Za wszelką cenę postanowił grać na zwłokę. - Obawiam się, drogi panie Cortier - powiedział na pozór z zupełnym spokojem - obawiam się, że te „niezbite dowody”, o których pan mówi, pochodzą z niezupełnie wiarygodnego źródła i są może nieco zbyt pochopnie oceniane i zakwalifikowane.

- Zostało dowiedzione ponad wszelką wątpliwość, że pan parokrotnie przekazał nam fałszywe informacje.

- Tak. To się zgadza.

- Więc przyznaje się pan? - zawołał zaskoczony Francuz. Paweł roześmiał się i sięgnął po papierosa.

- Cher monsieur Cortier, wprawdzie uważa mnie pan za nowicjusza w tej branży, a siebie za starego wygę, ale obawiam się, że zarówno pan, jak i pańscy zwierzchnicy, nie doceniają moich uzdolnień. Dostarczałem wam fałszywych informacji, ale powinniście być z tego tylko zadowoleni.

- Zadowoleni? Chyba pan kpi?!

- Nic podobnego. Nie mam i nigdy nie miałem takich zamiarów.

- Wobec tego nie rozumiem. Może mi pan to bliżej wyjaśni.

- Jak najchętniej. Przede wszystkim muszę panu powiedzieć, że w stosunku do mojej osoby popełniście jedno kardynalne głupstwo.

.»()!

- Jakie to głupstwo?

- Zrobiliście za dużo szumu. Ta fotografia z nagą dziewczyną, szantaż, wyłudzenie recept na morfinę. Rozumiem że chcieliście mnie mieć w rękę, ale o wiele prościej mogliście byli dojść ze mną do porozumienia. A poza tym te morderstwa na moich pacjentach...

- Myśmy nie mordowali pańskich pacjentów - zachnął się Cortier. - Wykorzystaliśmy tylko sytuację.

- Ja i tak poszedłbym na współpracę z wami. Zupełnie niepotrzebnie montowaliście te wszystkie skomplikowane historie. Od dawna marzę o tym, żeby się urządzić gdzieś na zachodzie Europy. Wystarczyło stworzyć mi warunki materialne, które umożliwiłyby mi emigrację z kraju. Tutaj przecież nie ma dla mnie żadnych możliwości.

- Nie wiedzieliśmy o tym wszystkim - powiedział Cortier. Paweł uśmiechnął się z pewną pobłażliwością.

- No więc widzi pan. To był właśnie wasz generalny błąd. W takich wypadkach trzeba bliżej zapoznać się z człowiekiem, zorientować się w jego chęciach, marzeniach.

- Do kogo dzwonił pan z automatu, wyszedłszy z domu? - spytał nagle Cortier.

- Do kogo? Do pewnego oficera z kontrwywiadu.

- Może mi pan wreszcie wyjaśni zasady swej gry.

- Sądziłem, że to już nie jest konieczne - powiedział Paweł z drwiną w głosie - Ale jeżeli pan sobie życzy... Otóż byłem zmuszony zdekonspirować się wobec kontrwywiadu. Uprzedziłem ich. Powiedziałem, że zostałem wciągnięty do roboty szpiegowskiej, ale że moje uczucia patriotyczne nie pozwalają mi na to, że wolę raczej więzienie aniżeli działalność na szkodę ojczyzny i tak dalej, i tak dalej. Moje pełne szlachetnych akcentów przemówienie musiało być najwidoczniej przekonujące, bo uwierzyli w mą skruchę i chęć poprawy. Polecono mi współpracować z wami tak, jakby nic się nie stało. Wysłałem do was parę sfingowanych informacji, zyskałem zaufanie kontrwywiadu i teraz właśnie znajduję się u progu drugiej fazy mojego planu. Teraz już miałem zamiar dostarczyć wam raporty w dwóch egzemplarzach jeden egzemplarz sporządzony przez kontrwywiad, a drugi przeze mnie.

- Dlaczego pan nas wcześniej nie poinformował o swojej strategii? - spytał Cortier.

- Nie miałem sposobności. Bałem się, żeby ludzie z kontrwywiadu nie przejęli takiego listu. To było zbyt ryzykowne. Zresztą zdawałem sobie sprawę z tego, że będziecie się chcieli bezpośrednio ze mną skontaktować. Czy ma pan jakieś zastrzeżenia co do mojej taktyki? Cortier w zamyśleniu pokręcił głową.

- Nie. Pańska taktyka wydaje mi się znakomita, pod warunkiem oczywiście, że wszystko co pan mówi jest prawdą.

Paweł bezradnym ruchem rozłożył ręce.

- No cóż... Nie mam pojęcia jakich użyć argumentów żeby pana przekonać?

Cortier wstał. Na jego sniadej twarzy malowało się zmęczenie.

- Za kilka godzin sprawa ta zostanie definitywnie wyjaśniona - powiedział znudzonym głosem. - Na razie trochę odpoczniemy. Dla pana jest pokój przygotowany na górze. Proszę za mną.

Weszli na pierwsze piętro po wąskich, kręconych schodach. Pokój był niski, ze ściętą jedną ścianą. Coś w rodzaju mansardy. Niewielki, pamiętający dawne czasy tapczan, krzywa szafa i dwa bardzo zniszczone krzesła. Wzrok Pawła zatrzymał się nieco dłużej na małym kwadratowym oknie, pod którym stała na taborecie miednica, dzbanek z wodą i wiadro.

- Niech pan nie próbuje oddalić się stąd bez pożegnania - powiedział Cortier. - Dom jest strzeżony, a człowiek, któremu poruczono to zadanie, znakomicie strzela z automatu. Mogłyby nastąpić jakieś przykre i zupełnie niepotrzebne komplikacje.

Paweł wzruszył ramionami.

- Nie mam zamiaru uciekać. Zresztą nie widzę powodu. Sądzę, że odwieziecie mnie tym samym samochodem, którym przywieźliście mnie tutaj.

- Zobaczymy. - Cortier ziewnął dyskretnie, mruknął: - Dobranoc - i wyszedł zamykając drzwi na klucz. Paweł zaś zdjął buty, marynarkę i wyciągnął się na tapczanie. Zamknął oczy. Był piekielnie zmęczony.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, czy spał. Z sennego odrętwienia wyrwał go niespodziewany hałas. Usiadł i przetrął oczy. Tak, nie ulegało wątpliwości, ktoś stukał w szybę.

Paweł wstał i czając się ostrożnie pod ścianą podszedł do okna. Bał się jakiegś zasadzki. - Kto tam? - spytał półgłosem. - Otwórz - posłyszał w odpowiedzi. Głos był mu dobrze znajomy. Ale to przecież niemożliwe... Nerwowym ruchem wyciągnął rękę, szarpnął klamkę i otworzył okno.

Zwinnie wskoczyła do pokoju i położyła mu dłoń na ustach.

- Joanna - Ty? Tutaj?

- Ciiiicho...

- Co ty tu robisz?

- Nie zadawaj głupich pytań. Nie ma czasu na rozmowy. Czy nie rozumiesz, że chcą ci strzelić w łeb. Na razie nie mogą jeszcze dostać połączenia z Berlinem, ale jak się porozumieją...

Patrzył na nią zupełnie oszołomiony.

- Joanna... Ty... ty dla nich pracujesz?

- Mówiłam ci, żebyś nie zadawał głupich pytań. Nie ma chwili do stracenia. Wkładaj moje ubranie, mój płaszcz, mój kaptur. Z łatwością spuścisz się na dół po winorośli. Siadaj do wozu i uciekaj. Ja miałam jechać. Nie zorientują się. Ciemno. No dalej rozbieraj się.

- A co z tobą?

- O mnie się nie bój. Dam sobie radę. Spiesz się. Paweł potrząsnął głową.

- Nie. Ja cię tu nie zostawię. Nie mogę zgodzić się na takie poświęcenie.

Chwyliła go za ramiona i potrząsnęła z całych sił.

- Musisz! Słyszysz?! Musisz. To wszystko przecież przeze mnie. Ja nie pozwolę, żeby cię zastrzelili. Uciekaj, Błagam cię.

- Albo uciekniemy razem - powiedział spokojnie Paweł. - Albo ja tu zostanę.

Spojrzała na niego bezradnie.

- Chodź.

Ściana domu obrośnięta była gęsto dzikim winem. Bez trudu spuścili się na dół. Pochyleni zaczęli biec w kierunku czerniejącego w mroku samochodu.

- Halt! Halt! - Gruchnęła seria z automatu. Joanna upadła. Paweł usiłował ją podnieść. Pod palcami poczuł krew. Wtedy tuż za nim rozległy się strzały i zaraz potem krzyk „Stać! Ręce do góry!” Poznał głos Stasiaka.

ROZDZIAŁ XIII

Poranne mgły snuły się nisko pomiędzy krzakami. Dzień zapowiadał się zimny, ale pogodny. Stasiak prowadził wóz. Twarz miał zmęczoną zszarzałą.

- Jak pan mnie znalazł, majorze? - spytał Paweł.

- Pomogła mi Magdalena. Znała tę kryjówkę. Po pańskim telefonie natychmiast się z nią skomunikowałem. Cały czas prowadził was helikopter. Otrzymywałem raporty, w którym kierunku jedziecie. Na tej podstawie Magdalena mogła mniej więcej wywnioskować, gdzie się zatrzymacie. Zaalarmowałem moich ludzi, którzy właśnie byli w Jeleniej Górze, a sam wsiadłem do mercedesa i pogałem za wami. Przyjechaliśmy w ostatniej chwili. Byliby pana rąbnęli, jak nic. Szkoda tylko, że Mokrzycka... Nie mogę sobie tego psiakrew darować.

- Dla niej to może i lepiej - powiedział w zamyśleniu Paweł. - Fatalna sprawa. Nigdy nie przypuszczałem, że Joanna... Czy pan ją podejrzewał?

Stasiak skinął głową.

- Od pewnego czasu miałem ją na oku, ale tak na dobre to zacząłem się nią interesować od chwili, kiedy dostałem w ręce ten list z pogrózkami, który profesor Mokrzycki napisał do pana.

Paweł spojrzał z zainteresowaniem na mówiącego.

- Nie rozumiem.

- To proste. Joanna Mokrzycka przekazywała swoje szpiegowskie materiały tajnopisem. Jeden arkusz tego tajnopisu przez pomyłkę dostał się w ręce profesora Mokrzyckiego, który właśnie na tym papierze napisał do pana list. Przerazona Mokrzycka

zaalarmowała Richtera, a ten w zręczny sposób odebrał od pana tajnopis, podszywając się pod zazdrosnego męża.

- Sprytnie pomyślane - przyznał Paweł.

- Owszem, dość sprytnie. Tylko widzi pan, w takich sprawach nie można nigdy przewidzieć wszystkiego, żeby nie wiem jak opracować plan działania, zawsze gdzieś coś nawali.

- Czy pan sądzi, że Joanna celowo mnie namówiła na robotę w Zakładzie Medycyny Wojskowej? - spytał Paweł.

- Oczywiście, że celowo. Otrzymała polecenie, żeby obstawić ten teren. Zadanie było trudne, bo jak się dostać do takiej instytucji. Akurat zaczęli umierać pańscy pacjenci i nadarzyła się okazja wsadzić odpowiedniego człowieka do zakładu. Początkowo zupełnie nieświadomie dostarczał pan informacji. Po prostu zwierzał się pan swojej przyjaciółce.

- Nie mogłem wiedzieć, że...

- To jasne i o to nikt nie ma do pana pretensji. Jest to tylko dobrą nauką na przyszłość.

- Ale, ale, a propos. Czy pan wie, że Downar aresztował wczoraj siostrę tego wariata?

- Jakiego wariata?

- No tego felczera, który wykańczał pańskich pacjentów.

- To on ma siostrę? Nie wiedziałem.

- Ma. Nawet niebrzydka dziewczyna. Wiedziała o tych wszystkich sprawach, ale ją terroryzował. Nie miała odwagi, żeby go wydać. Podobno kiedyś telefonowała w nocy do pańskiej żony, prosząc, żeby pan nie operował tego dziennikarza.

- Anna nic mi o tym nie mówiła. Stasiak przyhamował i wziął ostry zakręt.

- Pewnie nie chciała pana denerwować.

*

Anna była zdziwiona powrotem Pawła.

- Już wróciłeś? Myślałam, że wyjechałeś na parę dni. Zmęczony jesteś, biedaku. Poczekaj, zaraz zrobię śniadanie. Ale co to? Skaleczyłeś się? Masz zakrwawiony cały rękaw.

- To krew Joanny - powiedział Paweł i zdjął marynarkę.